

Jerzy Edigey
Pensjonat na Strandvägen

„KB”

Rattslakare zaczyna pisać pamiętnik

czwartek, 8 czerwca

Ten *forste kriminalassistent* robi zupełnie przyjemne wrażenie. Młody, wysoki blondyn. Widać po nim, że uprawiał różne sporty. Jak to u nas w Szwecji, przede wszystkim narciarstwo. A że mieszka w Lund, więc i pływanie w morzu nie musi mu być obce. Pomimo to dziwię się, że takiemu młodemu człowiekowi, liczącemu najwyżej dwadzieścia osiem lat i mającemu tak niski stopień służbowy, który odpowiada zaledwie randze porucznika, zdecydowano się powierzyć tak skomplikowaną sprawę. Na miejscu *polismastare* w Lund mianowałbym *utredningsmanem* kogoś o większym stażu i większym doświadczeniu zarówno kryminalnym, jak i życiowym. U nas, w Uppsali, nasz dyrektor policji Lars Estberg nigdy by nie powierzył dochodzenia w sprawie morderstwa takiemu smarkaczowi, na jakiego wygląda *forste kriminalassistent* Magnus Torg.

Wprawdzie to nie są moje sprawy zawodowe i nie powinienem się przejmować kłopotami czy decyzjami policji z Lund, ale ponieważ przypadkowo i bez mojej woli, jak i inni goście pensjonatu pani Astrid Brands, jestem wplątany w ten tajemniczy wypadek, przeto zależy mi bardzo, żeby sprawę wyświetlono jak najszybciej, a mordercę odnaleziono. Dlatego też postanowiłem służyć swoim doświadczeniem i pomagać koledze Magnusowi Torgowi. Sądzę, że taka pomoc człowieka, który od przeszło piętnastu lat jest lekarzem policyjnym i asystował setkom różnych dochodzeń, będzie dla młodego policjanta wielką wyręką. Zawsze co dwie głowy, to nie jedna. Zwłaszcza kiedy ta jedna jest taka młoda i niedoświadczona. Raczej stworzona bardziej do noszenia czapki niż do myślenia. A swoją drogą, ten Magnus Torg wygląda, jak gdyby urodził się w mundurze. Jaka szkoda, że szwedzka policja kryminalna chodzi w cywilnych ubraniach. Jak pięknie ten młody człowiek wyglądałby w opiętym zielonym mundurze i czapce z szerokim

rondem.

Przyznam się szczerze, że nieraz, będąc jedynie biernym świadkiem różnych skomplikowanych dochodzeń, marzyłem, aby nie tylko być policyjnym oglądaczem trupów czy też opisywaczem ran ciętych lub szarpanych, lecz stać się głównym bohaterem dramatu. Tym, który z paru nic nie znaczących poszlak rozwiązuje zagadkę i demaskuje mordercę. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że te moje ambicje urzeczywistnią się kiedykolwiek, a tym bardziej że spełnią się w małej nadmorskiej miejscowości Lomma, gdzie przypadkowo spędzam dwa tygodnie urlopu w pensjonacie pani Astrid Brands.

Postanowiłem zapisywać w moim podręcznym bloku wszystkie wydarzenia od samego początku, od momentu kiedy zdarzyła się ta straszna rzecz. Będę w moim pamiętniku notował także wszelkie posunięcia Magnusa Torga, prowadzącego śledztwo, oraz moje propozycje, pomysły i przypuszczenia. W ten sposób notatki te staną się wiernymi dziennikiem zbrodni i akcji policyjnej prowadzonej dla ujęcia mordercy. Może w przyszłości uda się je ogłosić jako ciekawą książkę kryminalną, tym różniącą się od tysięcy tego rodzaju powieści, że będzie ona właściwie raportem autentycznych wydarzeń.

Rozpisałem się dość szeroko, a nie powiedziałem jeszcze niczego konkretnego. Trzeba więc, jak to mówili Rzymianie, zacząć *ab ovo* - od samego początku.

Nazywam się Bjorn Nilerud. Mam pięćdziesiąt pięć lat i jestem z zawodu lekarzem. Moja matka była Norweżką. Urodziłem się w Kalmarze. Tam też mieszkaliśmy aż do śmierci ojca. Później matka wróciła wraz ze mną do Norwegii, gdzie ukończyłem szkołę średnią. Medycynę studiowałem w Wiedniu. Wybuch wojny zastał mnie w Norwegii, którą uważałem i uważam po dziś dzień za moją drugą ojczyznę. Brałem udział w ruchu oporu. Aresztowany w 1944 roku, zdołałem zbiec z więzienia i przedostać się na teren neutralnej Szwecji. Przez kilka lat pływałem na statkach szwedzkich jako lekarz okrętowy; później, gdy zdrowiu mojemu nie odpowiadały ciągłe zmiany klimatu, osiadłem w Uppsali. Tam przyjąłem posadę lekarza policyjnego.

Nie jestem żonaty, a z czasem stałem się nawet w pewnym stopniu odludkiem. Mieszkam samotnie i nie utrzymuję bliższych stosunków ani z kolegami z policji, ani z innymi lekarzami w Uppsali. I dobrze mi z tą samotnością. Nie zajmuję się wolną praktyką. W czasie swoich podróży morskich zaoszczędziłem pewną sumkę.

Obracałem nią dość szczęśliwie na giełdzie. Do tego doszedł mały spadek po matce. To wszystko wraz z moim uposażeniem *rattslakare* daje mi pełną niezależność finansową i nie każe gonić za dodatkowymi zarobkami, jak to zazwyczaj robią inni lekarze policyjni. Mógłbym nawet żyć bardziej wystawnie i pozwolić sobie na niejeden luksus, ale te rzeczy mnie nie bawią. Nie mam nawet samochodu, chociaż i ostatni model volvo nie nadszarpnąłby moich rezerw pieniężnych.

Przez lata wędrówek po wszystkich kontynentach poznałem tylu ludzi i tyle krajów, że dzisiaj nie nęcą mnie podróże zagraniczne. Nie jeżdżę do Norwegii lub Finlandii, nie mówiąc już o wypadach do innych państw. Nawet nie interesuje mnie legendarnie tania wódka na polskim promie z Ystad do Świnoujścia, bo na kieliszek dobrego francuskiego koniaku mogę sobie pozwolić i bez wyjeżdżania za granice Szwecji, więcej zaś niż jeden kieliszek nigdy nie piję. Lubię zagrać w brydża, w dobrym towarzystwie, które jednak nie stawia wygrania robra za najważniejszy cel w życiu. Wspominam o tym, bo ta okoliczność miała ważne znaczenie w wydarzeniach przeze mnie opisywanych.

Nie znoszę tłoku. Dlatego też zawsze spędzam urlop przed sezonem lub po jego zakończeniu. Jeżeli jadę nad morze, to najpóźniej w czerwcu. Jeżeli wybieram się na narty, robię to w styczniu, zanim uzdrowiska zapełnią się hałaśliwym tłumem.

W tym roku udałem się nad morze do Lommy, małej miejscowości uzdrowskiej położonej nad Sundem, kilka kilometrów od Malmo. Tu wzdłuż pięknej, piaszczystej plaży biegnie szosa nosząca nazwę Strandvagen, a z kolei wzdłuż niej leżą niewielkie, przyjemne osiedla: Alnarp, Lomma, Bjarred, Vikhog i nieco dalej Barseb. W - każdej z tych miejscowości jest wiele najrozmaitszych hotelików i pensjonatów mogących zaspokoić wszelkie gusta i najróżniejsze możliwości materialne amatorów spędzania urlopu nad morzem.

Ja wybrałem pensjonat pani Astrid Brands. Leży on już za Lommą, mniej więcej na połowie drogi do Bjarred. Jego wielką zaletą jest położenie tuż nad morzem. Od Strandvagen pensjonat, dawny pałacyk bogatego fabrykanta z Malmo, odgradzony jest dużym starym parkiem i gęstym żywopłotem, nie pozwalającym ciekawym oczom zaglądać za jego zieloną ścianę.

Nie muszę chyba dodawać, że pensjonat jest drogi i dostępny jedynie ludziom bardzo dobrze sytuowanym. Na pewno nie zwyczajnym lekarzom policyjnym, ale, jak już przedtem zazaczyłem, stać mnie na trochę luksusu. Tym bardziej w czerwcu, kiedy ceny na Wybrzeżu są jeszcze niskie i nawet pani Brands cieszy się z każdego

gościa i musi stosować w swoim zakładzie przedsezonową taryfę. Co mnie specjalnie zachęciło do wybrania tego, a nie innego pensjonatu, to fakt, że posiada on duży, stary park oraz że jego właścicielka, aby zapewnić swoim gościom możliwie najwięniejszy spokój, stawia warunek: pensjonariusze nie będą mieli samochodów lub będą je garażowali poza terenem je

zakładu. Dzięki temu nie mamy codziennego ryku motorów, panuje tu cisza i spokój, tak potrzebne człowiekowi, który po całorocznej wytężonej pracy ma parę tygodni dla wypoczynku i regeneracji sił.

Przyjechałem w ostatnich dniach maja. U pani Brands zastałem już trzy osoby. Byli to: małżeństwo Egil Tuveson z żoną Klarą i Ingvar Harding ze Sztokholmu. Państwo Tuveson to bardzo sympatyczna para. On jest oficerem marynarki handlowej. Pływa na linii australijskiej. Za ledwie co trzy miesiące jest na kilka dni gościem w domu. Ona młodsza od niego chyba o dziesięć lat. Mają dwoje dzieci w szkołach, w Goteborgu, gdzie pani Klara stale mieszka. Tak się złożyło, że w tym roku pan Tuveson mógł mieć urlop tylko w czerwcu, więc przyjechali we dwójkę do tego pensjonatu. Wyglądają jak gdyby byli w podróży poślubnej. Nie dziwię się. Za parę tygodni oficer znowu popłynie na swoim statku do dalekiej Australii.

Pan Ingvar Harding jest rzutkim kapitalistą. Swoją majątek ulokował w nieruchomościach. Kupuje place pod Sztokholmem, buduje domy i sprzedaje je, by cały proces natychmiast rozpocząć od nowa. Jego, jak i mnie, zabiła do Lommy możliwość całkowitego relaksu w ciszy i samotności. Słuchając pana Hardinga, ile to ma kłopotów i użerania się z przedsiębiorcami budowlanymi, nie dziwię się, że taki odpoczynek po denerwującej pracy jest mu bardzo potrzebny.

W dwa dni po moim przyjeździe, do naszego pensjonatu przybył jeszcze jeden gość. Przyjechała tutaj pani Maria Jansson. Szczupła, dość wysoka pani, w wieku dobrze po czterdziestce, co widać, pomimo że nie szczędzi starań, by zatrzymać kończącą się młodość. Ubrana więcej niż dostаточно, piękna biżuteria i samochód z szoferem, który przywiózł ją ze stolicy - świadczyły, że nasza nowa współlokatorka nie potrzebuje liczyć się z każdym ore. Miła pokojóweczka, Lilljan, śliczna blondynka, taka jakie rodzą się tylko w Skanii, zdradziła mi, że pani Maria jest corocznym gościem pensjonatu i daje jej najwyższe napiwki ze wszystkich, którzy zatrzymują się w pałacyku pani Brands. No tak. Firma „Jansson i syn”, wielki dom handlowo-eksportowy, mający swoje oddziały w wielu państwach, nie tylko na kontynencie europejskim, musi przynosić dobre dywidendy. A pani Maria jest

przecież wdową po Janssonie seniorze.

Mimo swojego bogactwa, a może właśnie dzięki niemu, ta kobieta jest chyba nerwowo chora. Tylko wieczorem schodzi do jadalni na wspólną kolację. Nie ogląda razem z nami telewizji i wyraźnie unika ludzi. Widziałem ją parokrotnie z okien swojego pokoju, jak odbywała samotne spacerunki po plaży. Czasami też zniknęła na długie godziny. Wiem od Lilljan, że nie wracała wówczas na obiady. Kiedy jednak zapytałem ją pewnego dnia, czy była w Malmo, czy w oddalonym tylko o siedem kilometrów Lund, dała mi wymijającą odpowiedź. Za to godzinami rozmawia ze Sztokholmem. Bardzo często w jakimś nieznanym języku. Musi wydawać majątek na te rozmowy.

Drugiego czerwca nasza nieliczna grupka powiększyła się. I znowu o kobietę. Panią Norę Lindner z Halmstadu. Śliczna, wesoła kobietka. Nie ma jeszcze trzydziestki, a już zdążyła dwa razy wyjść za mąż i dwa razy się rozwieść. Nie ulega, dla mnie wątpliwości, że wybrała się do modnej i uczęszczanej miejscowości, jaką jest Lomma, dla wyszukania kolejnego przystanku w swojej karierze małżeńskiej. Była wyraźnie rozczarowana, że w uzdrowisku jest tak pusto, a w pensjonacie pani Brands tylko trzech mężczyzn, z czego jeden dobrze obstawiony.

Z miejsca więc przypuściła szturm do mnie. I to z takim impetem, że musiałem ulec i już na drugi dzień po przyjeździe pięknej Nory wybrać się z nią do Night-Club w Malmo, gdzie patrząc na niekończącą się rozbieranek, zresztą dość dobrze zbudowanych striptiserek, wynudziłem się jak mops. Do tego wyszło na jaw, że i taniec nie jest moją mocną stroną towarzyską. Ogółem więc nie zaimponowałem pięknej rozwódce.

Na szczęście już nazajutrz zjawił się w Lommie pan Gustaw Dalin, wysoki urzędnik czy nawet dyrektor jednego z banków Norrkopingu. Piękna pani szybko więc zrezygnowała z mojej osoby i zajęła się dyrektorem. Jak mi się wydaje, ze znacznie lepszym skutkiem.

Wymieniłem i postarałem się krótko scharakteryzować poszczególne osoby dramatu. Jeszcze tylko parę słów o pani Astrid Brands. Prowadzi ona swój pensjonat już od ośmiu lat. Kim był pan Brands i czy jeszcze żyje? O tym nigdy się nie mówi. W każdym razie pani Astrid kupiła przed ośmiu laty pałacyk wybudowany przez jakiegoś fabrykanta czy armatora z Malmo i urządziła go na ekskluzywny pensjonat. Interes chwycił. Zakład czynny jest przez cztery miesiące w roku, a ponadto na okres świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Pani Brands sama robi zakupy i kieruje

gospodarstwem, stale zatrudniając wykwalifikowaną kucharkę i jedną pokojówkę. Jedynie na sezon przyjmuje jeszcze trochę służby - córek miejscowych rybaków.

Syn właścicielki jest studentem politechniki w Sztokholmie, ale na wakacje przyjeżdża do Lommy i pomaga matce. Jak mi się wydaje, pani Brands żyje samotnie, nie ma żadnego przyjaciela, bądź też załatwia te sprawy bardzo dyskretnie.

Kucharka Ranhild Moberg pracuje tutaj od samego początku i jest osobą godną zaufania. Zajmuje wraz z mężem mały pawilonik przy wjeździe do parku. W zamian za to mieszkanie mąż zimą pali w centralnym ogrzewaniu i uprząta śnieg. Obecnie pan Moberg, który z zawodu jest kierowcą autobusowym w jednym z biur podróży w Malmo, wyjechał na parotygodniową wycieczkę zagraniczną do Hiszpanii. W ogóle latem człowiek ten jest jedynie gościem w Szwecja gdyż obsługuje autobus na zagranicznych trasach.

O naszej pokojówce, Lilljan, już wspomniałem. Dodam jeszcze, że jest córką miejscowego rolnika z Bjarred i, jak to zwykle bywa z pokojówkami, jest w miarę ciekawa i w miarę plotkująca o gościach z pensjonatu. Właśnie dzięki rozmowom z tą dziewczyną zdobyłem tak szczegółowe informacje o współlokatorach i o naszej gospodyni.

A teraz postaram się opisać możliwie jak najszczegółowiej wszystko, co działo się od samego rana w dniu 7 czerwca. Piszę to od razu w dwóch egzemplarzach, bo obiecałem Magnusowi Torgowi, że zrobię opis tych wydarzeń do protokołu, jaki musi sporządzić dla dyrekcji policji w Lund.

Jak sami pamiętacie, dzień siódmego czerwca był od rana dziwnie upalny. Mimo pięknej pogody, nie zdarzającej się prawie o tej porze w Szwecji, ludzie czuli się bardzo źle. Zrozumiałem od razu przyczynę, kiedy rzuciłem okiem na barometr wiszący w halu naszego pensjonatu. Ciśnienie spadało gwałtownie.

Do zwyczajów panujących w pensjonacie pani Brands należy, że śniadania są przynoszone przez Lilljan do pokoju każdego z gości. Natomiast obiady podaje się między pierwszą a drugą, a kolacje o godzinie siódmej są wspólne. Jedynie pani Maria Jansson, jak już wspomniałem, nie stosowała się do tych wymagań gospodyni. Ale tak już jest na świecie, że bogaci cieszą się wyjątkowymi przywilejami. A pani Jansson była wyjątkowo bogata. Nawet jak na szwedzkie stosunki. A przecież ludzi zamożnych u nas nie brakuje.

Tak więc zjadłem śniadanie gdzieś około godziny ósmej. Potem ogoliłem się, ubrałem i zszedłem na dół do salonu, aby przejrzeć gazety. Zapomniałem dodać, że

pałacyk ma dwa piętra. Na parterze znajduje się ładnie urządzony salon, nieco mniejszy pokój zwany nie wiadomo dlaczego biblioteką, chociaż jest tam tylko jedna szafa z książkami, które każdy dawno przeczytał w młodości, oraz obszerna jadalnia. Poza tym na parterze są jeszcze dwa pokoje - prywatne mieszkanie właścicielki - i cztery niewielkie pokoiki pensjonatowe. Są one obecnie nie zajęte, gdyż okna wychodzą nie na morze, tylko na park. A każdy, skoro już przyjechał do Lommy, chciałby jak najwięcej nacieszyć się zielononiebieskimi falami Sundu.

Na pierwszym piętrze jest osiem pokoi i dwa tarasy, na które wychodzą drzwi balkonowe każdego pokoju. W jednym z nich ulokowało się małżeństwo Tuveesson. Sąsiedni zajmują ja, obok zaś mieszka pani Nora Lindner. Za nią, w małym pokoiku, „urzęduje” na razie Lilljan. W pełni sezonu, kiedy wszystkie pokoje są wynajęte, dziewczyna zajmuje pokoi w suterenie, gdzie jest również kuchnia, pralnia i inne pomieszczenia gospodarcze.

Drugie piętro ma taki sam rozkład, jak i pierwsze. Dwa środkowe pokoje z widokiem na morze zajmują: pani Maria Jansson i Gustaw Dalin. Lilljan bardzo narzekała, że siedmioro gości mieszka aż na dwóch piętrach, co zmusza ją do biegania po schodach z ciężkimi tacami. Jest w tym trochę racji, ale, jak już zaznaczyłem, każdy z nas chciał mieć widok na morze, a przed sezonem, przy braku gości, właścicielka musiała się liczyć z tymi żądaniami.

Dodam jeszcze, że wszystkie pokoje na piętrach mają własne łazienki. Na parterze są tylko dwie. Jedna - prywatna pani Brands - i druga, wspólna dla mieszkańców tych czterech pokoi. Łącznie, w pełni sezonu, pensjonat może swoim gościom ofiarować sześć pojedynków i czternaście podwójnych pokoi - razem dla trzydziestu czterech osób. W razie większego tłoku, pani Brands umieszcza jeszcze pensjonariuszy w małym pawilonie, stojącym przy wjeździe do parku. Na parterze mieszka tam wprawdzie kucharka, pani Moberg z mężem, ale na pięterku znajdują się cztery pomieszczenia.

Tak więc około” godziny dziewiątej zszedłem na dół i usiadłszy przy stole, zagłębiłem się w czytaniu „Sydsvenska Dagbladet”. W parę minut po mnie zszedł i pan Dalin, którego zainteresował dziennik z Goteborgu. Jak zauważyłem, jego uwagę przykuły przede wszystkim notowania giełdowe.

Następnie zeszli na dół Klara i Egil Tavmonowie. O dalszym czytaniu nie było już mowy. Zaczęła się ogólna rozmowa o pogodzie. Pani Klara skarżyła się na niespokojny sen dzisiejszej nocy i ból głowy. Jako lekarz wytłumaczyłem jej, że

żadne proszki w tym przypadku nie pomogą. Jest to po prostu reakcja organizmu na gwałtowny spadek ciśnienia i samopoczucie poprawi się, gdy tylko organizm przystosuje się do tej zmiany. Pamiętam też, że pan Dalin tłumaczył nam sytuację atmosferyczną i dodał, że gazeta ostrzega przed sztormem.

W tym czasie pojawił się pan Harding, o którym zapomniałem napisać, że również mieszka na drugim piętrze. On także przyłączył się do naszej rozmowy. Powietrze było tak parne, że po prostu trudno było oddychać. Nikomu z nas nie chciało się ruszyć.

Gdzieś przed dziesiątą ukazała się piękna pani Nora. Tej pogoda nie przeszkadzała. Zeszła na dół tylko w opalaczu - mniejszego chyba byś nie znalazł w całej Szwecji; nie zakrywał, lecz przeciwnie, pokazywał to, czym się pani Lindner mogła słusznie chlubić. Poza tym miała na sobie jakieś bajecznie kolorowe spodnie. Od razu na powitanie rzuciła nam:

- Co za wspaniały dzień! Idziemy natychmiast na plażę.

Na widok tej pięknej kobiety wszyscy mężczyźni odruchowo wciągnęli brzuchy i dumnie wypięli piersi. Nikt też nie śmiał się skarżyć, że pogoda pod psem i nie ma czym oddychać. Nawet pani Klara, nie chąc być gorsza od Nory, zaczęła nas namawiać na tę nieszczęsną plażę. Jedyne ja ośmieliłem się zauważyć, że ziemia jest jeszcze wilgotna i należy wziąć z sobą nie tylko koce, ale również i plastik, żeby nie kłaść się na zdradliwym o tej porze piasku.

- Świetnie - stwierdziła pani Lindner. - Doktor weźmie dla nas wszystko, co będzie uważał za stosowne, i idziemy.

W tym czasie na schodach, które było doskonale widać z tego miejsca salonu, gdzie wszyscy się znajdowaliśmy, ukazała się pani Jansson. Na nasz widok zrobiła ruch, jak gdyby chciała się cofnąć, ale Nora już wołała do niej:

- Pani Mario! Idziemy na plażę.. Bardzo prosimy, niech pani zabierze się razem z nami. Przepiękna pogoda. Słońce jak w środku lipca.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała pani Jansson swoim zwykłym, chłodnym tonem - ale jestem umówiona i spieszę się. Życzę dobrej zabawy.

- Może pani chce skorzystać z mojego wozu? - zaofiarował się pan Harding. - Stoi jak zwykle na parkingu koło stacji autobusowej w Bjarred. Chętnie służę kluczykiem. Ciemnoniebieskie volvo.

- Muszę dodać nawiasem, że pan Harding dopiero przed paroma tygodniami sprawił sobie ten wóz i bardzo chętnie się nim popisывał. Już pierwszego dnia pobytu

tutaj, a przyjechał razem ze mną, uważał się na panią Brands; gospodyni kategorycznie zażądała, żeby samochód usunąć sprzed domu. Pan Harding zaparkował więc wóz przy stacji autobusowej, odległej o dobre półtora kilometra.

- Dziękuję - odpowiedziała pani Jansson - idę tylko do Lommy i chętnie się przejdę. Zresztą to prawie taka sama odległość, jak do pańskiego samochodu.

To mówiąc kiwnęła nam głową i wyszła na dwór. My zaś porozmawialiśmy jeszcze chwileczkę, po czym poszliśmy na plażę. Jedyne ja musiałem iść na górę po płachtę plastikową. Niepotrzebnie się z tym wyrwałem. Ostatecznie, co mnie to obchodzi, że ktoś nabawi się lumbago?

Nawet na plaży było bardzo parno. Pomimo absolutnego braku wiatru fala stale rosła. Widać było, że rybacy z Lommy i z Bjarred przyspieszają powrót z połowu. Niektórzy z nich wyciągali swoje łodzie na brzeg i mocowali je stalowymi linami do wysokich pali.

- Wygląda na to, że idzie huragan - zauważył pan Tuveesson. - Jako marynarz znam się na tym. Nie podoba mi się taka wysoka fala przy pełnym stylu.

- Huragan? Tutaj? Przecież nie jesteśmy gdzieś na Samoa, tylko w Szwecji. Nie na Pacyfiku, lecz nad brzegiem Sundu - śmiała się pani Nora.

- Tutaj też zdarzają się takie sztormy, że nie tylko kutry rybackie, ale nawet większe statki muszą chronić się w portach. Pamiętam, płynąłem kiedyś z Visby do Gdyni i złapała nas taka burza, że już niewiele brakowało, a obejrzelibyśmy dno Bałtyku. Co prawda było to w listopadzie! Ale i w czerwcu potrafi też dobrze dmuchnąć.

Na razie jednak leżeliśmy na plaży i opalaliśmy się w promieniach dziwnie czerwonego słońca. Nasza podwójna rozwódka namawiała nas na kąpiel w spienionych falach! Sundu. Pan Dalin może by i uległ tym namowom. Na szczęście sprzeciwił się temu kategorycznie Tuveesson. Jego, jako wilka morskiego, posłuchała nawet piękna, rozkapryszona pani. Parę minut po pierwszej wróciliśmy - wszyscy do willi. Już pół godziny później spotkaliśmy się w jadalni na obiedzie. Jak zwykle, pani Maria Jansson nie usiadła razem z nami do stołu, chociaż była w pensjonacie. Wiem o tym na pewno, bo kiedy zszedłem na parter, w stołowym nie było jeszcze nikogo. Wstąpiłem więc do biblioteki i czekając na gong, którym Lilljan oznajmiała, że obiad gotów, przeglądałem jakąś książkę wyjętą na chybił trafił z szafy. Wtedy usłyszałem, że pani Jansson rozmawia w halu przez telefon. Oczywiście nie podsłuchiwałem, zauważyłem jednak że rozmowa zaczęta po szwedzku, dalej toczyła się w jakimś

nieznanym mi języku. W parę minut potem rozległ się głos gongu i przeszedłem do jadalni.

Obiad upłynął w przyjemnym nastroju. Pani Lindner żartobliwie docinała kapitanowi, że nie pozwolił nam się kąpać. Pewnie dlatego, aby nie wyszło na jaw, że nie umie pływać bo wszyscy marynarze nie znają tej sztuki i boją się wody.

Kapitan najpoważniej wyjaśniał, że umiejętność pływania przeszkadza ludziom morza. Jeżeli znajdą się w falach oceanu, to tylko dłużej się męczą. A nie umiejąc pływać, toną od razu i mają bezbolesną śmierć. Pani Tuwesson, która nie i ma zbyt wielkiego poczucia humoru, słuchała tych słów z przerażeniem i wpatrywała się w swojego małżonka jak w jakiegoś legendarnego bohatera.

Pod koniec obiadu pan Harding zaproponował, żeby zagrać w brydża.

- Taka piękna pogoda - oburzyła się Nora - mowy o tym nie ma. Zaraz idę na spacer. Mam zresztą parę sprawunków, które muszę załatwić w Lommie. Chyba nie każecie mi panowie iść samej?

Wprawdzie powiedziała „panowie”, ale spojrzenie pięknej Nory skierowane było tylko w jednym kierunku.

Pani pozwoli sobie towarzyszyć? - Dalin szybko zorientował się w sytuacji.

No, jeśli nikt z pozostałych mężczyzn nie kwapi się pomóc biednej kobiecie, to muszę przyjąć pańską ofertę - zgodziła się rozwódka.

W rezultacie umówiliśmy się, że zaczniemy grę o czwartej, gdyż pani Klara chciała trochę odpocząć po obiedzie. Ból głowy nadal jej dokuczał i miała nadzieję, że mała drzemka dobrze jej zrobi. Natomiast Nora zapowiedziała, żeby Dalin wstąpił po nią do jej pokoju nie później niż o wpół do czwartej. Pierwszy wstałem od stołu i poszedłem prosto do swojego pokoju. Nigdy nie śpię po obiedzie, więc leżałem na tapczanie i czytałem książkę. Słyszałem, że gdzieś przed czwartą pani Lindner i jej towarzysz, głośno rozmawiając, schodzili po schodach.

Jestem aż do przesady punktualny, toteż kiedy wskazówki mojego zegarka ustawiły się równo na godzinie czwartej, zszedłem na dół. Jak zwykle byłem pierwszy. Usiadłem w wygodnym fotelu w salonie i czekałem na resztę towarzystwa. W drzwiach stanęła pani Astrid Brands. Zamieniliśmy kilka nic nie znaczących słów. Pani Brands miała na ręku płaszcz. Wyjaśniła mi, że spieszy się do autobusu, bo jedzie do Lund w odwiedziny do jakiejś swojej przyjaciółki. Wzajemnie życzyliśmy sobie wesołej zabawy.

Właśnie wtedy nadszedł pan Harding i z kolei naszej gospodyni zaproponował

użycie swojego volvo. Pani Astrid odmówiła jednak tłumacząc, że jej przyjaciółka robi świetny domowy likier, a to zbyt wielka dla niej pokusa. Woli wyrzec się jazdy samochodem, niż kieliszka tej pysznej nalewki.

Po odejściu pani Brands jeszcze chwilę czekaliśmy na państwa Tuveesson. Zjawili się dopiero dziesięć minut po czwartej. Pani Klara przepraszała nas, ale tak smacznie zasnęła, że mąż nie miał sumienia jej budzić. Za to ból głowy minął, jak ręką odjął.

Zaraz usiedliśmy do stolika i zaczęliśmy nasze brydżowe boje. Pan Harding gra doskonale. To gracz wielkiego formatu. Bezwzględnie najlepszy z nas wszystkich. Pani Klara licytuje z kobiecą ostrożnością. Nigdy nie wychyli się poza poprawność. Przepisy i konwencje to dla niej święta rzecz. Nasz wilk morski odznacza się w grze ogromną fantazją. Potrafi mieć błyskotliwe rozgrywki, jakich nie powstydziliby się na turniejach najlepsi zawodnicy. Ale zaraz potem robi wprost dziecinny błąd. Muszę się pochwalić, że w tej partii nie odstawałem od ogólnego poziomu.

Graliśmy bez przerwy aż do samej ósmej. Rezultaty były minimalne. Najwięcej wygrał pan Harding. Ja schowałem do kieszeni coś ze cztery korony. Jedynym przegranym był Egil. Zemściła się na nim jego mania rekontrowania. Z Hardingiem takie żarty nie przechodzą. Zresztą graliśmy tanio - dwadzieścia pięć ore punkt, więc hazardu nie było.

Kolacja nieco się opóźniła, bo pani Brands wróciła dopiero przed samą ósmą. Nasi „zakochani” również wrócili dobrze po siódmej. Jak się pani Nora pochwaliła, wstąpili na jednego „drinka” do lokalu mieszczącego się na rogu Strandvägen i Fiskaregatan w Lommie. Jednej zresztą z dwóch knajpek czynnych przed sezonem.

Tak byliśmy pochłonięci grą, że nikt z nas nie zauważył, iż szum morza zmienił się w prawdziwy huk fal zalewających coraz większe połacie naszej plaży. Nie było też tak spokojnie, jak po południu. Często uderzały w nasz dom podmuchy silnego wiatru, aż chwiały się drzewa w parku. Lilljan pozamykała wszystkie okna.

Jedliśmy kolację w milczeniu. Było coś złowrogiego w tej wichurze. Pani Jansson i teraz nie zaszczyliła nas swoją obecnością. Jej nakrycie stało puste. Widocznie nie wróciła jeszcze z jednej ze swoich tajemniczych wycieczek. Pani Brands zapytała pokojówkę:

- Czy zaniósłś kolację na górę?
- Nie - wyjaśniła Lilljan - kiedy nosiłam obiad, pani Jansson mówiła, że jeśli

zdaży wrócić, to zejdzie na dół. A jeśli nie, żeby na nią nie czekać, bo wróci później.

Ledwo skończyliśmy jeść, jak rozszalało się piekło. To już nie był zwykły wiatr, a prawdziwy huragan. Nie spadła jeszcze ani kropelka deszczu, jak zaczęły walić pioruny. Takiej burzy nie widziałem chyba nigdy w życiu. Przeszliśmy do salonu i wpatrywaliśmy się w ciemność raz po raz rozjaśnianą błyskawicami. Chwilami robiło się widno jak w dzień. Huk był tak potworny, że trudno było rozmawiać. Pani Klara wyraźnie się bała. Stała przytulona do męża. Nawet pani Nora i pani Brands miały wystraszone wyrazy twarzy. Co do Lilljan, ta zęgnęła się przy każdym głośniejszym piorunie. Przyznaję, że i my, mężczyźni, trochę nadrabialiśmy minę. Żadnemu z nas nie było przyjemnie. Tym bardziej że po dwóch szczególnie wielkich błyskawicach dwa razy zgąsło światło. Wprawdzie tylko na kilka minut, ale nie były to miłe minuty. Widocznie piorun trafił w rozdzielnię. Lilljan zapaliła świecę.

Również i telefon przestał działać. Pani Tuwesson zaczęła się martwić, jak tę burzę przeżywają jej dzieci w Goteborgu, więc kapitan usiłował połączyć się z domem, żeby uspokoić żonę. Niestety, telefon był głuchy, w słuchawce nie odezwał się sygnał.

- To się często zdarza - zauważyła pani Brands - przy każdej silniejszej burzy coś psuje się w miejscowej centralce na poczcie w Lommie i telefony przez parę godzin nie działają. Już nieraz obiecywali to naprawić, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

- Biedna pani Jansson - powiedziała Nora - nie zazdrozczę jej, jeżeli burza schwyciła ją gdzieś po drodze.

- Na pewno nie! - uspokajał piękną panią jej adorator. - Gdyby szła z Lommy do naszego pensjonatu, zdażyłaby, jeszcze przed deszczem. Myślę, że po prostu została w Malmo.

- To pani Jansson wybierała się do Malmo? - zapytałem.

- Coś o tym wspomniała - powiedział Gustaw Dalin - kiedy przed obiadem spotkałem ją na schodach.

Gdzieś po wpół do dziesiątej wyładowania elektryczne nieco się zmniejszyły. Za to otwarły się upusty niebieskie i lunął już nie deszcz, ale jakby ktoś z gigantycznego wiadra wylewał potworne ilości wody. A jednak ta ulewa była dużo lepsza, niż ta sucha burza z piorunami. Nawet uchyliliśmy nieco drzwi werandy, bo w salonie było tak gorąco i duszno, że z trudem się oddychało.

- Pani Brands pamiętała o obowiązkach właścicielki pensjonatu. Zwróciła się do pokojówki:

- Lilljan, czy tapczany posłane? Państwo pewnie chcą wcześniej położyć się po tych emocjach.

- Już idę, proszę pani - i nasza fertyczna *flicka* pobiegła na górę.

Przez chwilę panowała cisza. Rozkoszowaliśmy się świeżym powietrzem. To prawda, że burza oczyszcza atmosferę. Tak się teraz lekko i przyjemnie oddychało.

Wtem gdzieś na górze rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk.

Za chwilę ze schodów zbiegła Lilljan. W jej twarzy nie było ani kropelki krwi. Chwiała się na nogach. Z trudem powiedziała kilka słów:

- Pani Jansson... nie żyje... leży zamordowana na łóżku... Dziewczyna zemdląca. Gdyby nie Tuwesson który stał w pobliżu i zdołał ją pochwycić, upadłaby na dywan.

Zgon nastąpił między piątą a siódmą

Po słowach Lilljan nastąpiła cisza. Obecni zamarli w bezruchu. Była to dziwna scena. Z jednej strony stała grupka kobiet i mężczyzn, z drugiej - Egil Tuwesson trzymał na rękach omdlałą dziewczynę.

Pierwszy oprzytomniałem ja. Podbiegłem i przysunąłem stojący w pobliżu fotel. Kapitan złożył na nim ciało Lilljan. Pochyliłem się nad pokojówką. Parę lekkich uderzeń po policzkach i zaczęła odzyskiwać przytomność. A z nią i reszta zgromadzonych w salonie.

- Co ty bredzisz, Lilljan - pani Brands nie chciała przyjąć do wiadomości tragicznej nowiny.

- Ona nie żyje - powtórzyła tym razem dużo spokojniej dziewczyna - leży na tapczanie. Cała głowa we krwi. To straszne...

Zdecydowałem się.

- Pójdę i zobaczę - powiedziałem.

- To idziemy razem - postanowiła pani Brands. Wszyscy skierowali się w stronę schodów. Zatrzymałem ich.

- Jeżeli prawdą jest, co mówi Lilljan, niech panie raczej zostaną na dole - zaproponowałem. - Morderstwo to nie widok dla kobiecych oczu.

Pamiętam dobrze, że użyłem słowa „morderstwo”, gdyż jako lekarz policyjny,

przyzwyczajony do oglądania różnych makabrycznych scen, zdałem sobie od razu sprawę, że jeśli Lilljan mówi o martwej kobiecie, leżącej na tapczanie z zakrwawioną głową, to musi to być zbrodnia.

- Idę z panem - powtórzyła właścicielka pensjonatu. - To chyba należy do moich obowiązków. Zresztą dużo już w życiu widziałam. Nie lękam się żywych, a tym bardziej martwych.

Z tymi słowami pani Brands zaczęła wchodzić na pierwsze piętro. Podążyłem za nią. Za nami skierowali się również panowie Harding i Dalin oraz, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i niezadowoleniu, również i Nora Lindner. Weszliśmy w tym porządku na drugie piętro. Tu, na końcu schodów, znajdował się mały, prostokątny hall, z którego ośmioro drzwi prowadziło do ośmiu pokoi. Tylko drzwi do pomieszczenia zajmowanego przez panią Jansson stały otworem.

Ze schodów widać było mały korytarzyk. Na lewo znajdowało się wejście do łazienki. Na wprost - perspektywa pokoju. Doskonale zauważyłem część tapczanu stojącego pod ścianą. Na tapczanie zarys postaci kobiecej, przykrytej kołdrą. Głowa zwrócona w stronę ściany. Ciemne włosy rozrzucone na poduszce i jasnoczerwona, wielka plama krwi.

Za moimi plecami rozległ się jęk kobiecy. Nie potrzebowałem odwracać głowy, żeby skonstatować, że piękną Norę zawiodły nerwy. Były jednak słabsze niż jej kobieca ciekawość. Ale nie pospieszyłem z pomocą. Wiedziałem dobrze, że zrobi to ktoś inny, bardziej do tego powołany. Jednym skokiem przebyłem resztę schodów i pierwszy wpadłem do pokoju. Pochyliłem się nad leżącą.

Niestety, już na pierwszy rzut oka można było poznać, że nawet najlepszy lekarz nie jest w stanie nic tu pomóc. Pani Jansson nie żyła.

Rozejrzałem się dokoła. Nie zauważyłem żadnych śladów walki. Pokój robił bardzo przytulne wrażenie. Czystość i porządek panowały aż do przesady. Poza tym wyczuwało się przyjemną, nie za ostrą woń pierwszorzędnych perfum.

Rzeczywiście, cała kolekcja kosmetyków stała na toalecie. Na krześle, tuż przy łóżku, leżała suknia, którą pani Jansson miała na sobie, kiedy widziałem ją ostatni raz, podczas rozmowy telefonicznej. Łatwo było sobie wyobrazić przebieg wypadków. Po powrocie do swojego pokoju Maria zdjęła suknię i położyła się na tapczanie tylko w bieliźnie. Prawdopodobnie zasnęła. Zbrodniarz podkradł się i zadał śmiertelny cios swojej ofierze, gdy ta spała.

Uderzenie zadane czymś ciężkim, może młotkiem lub obuchem siekiery, było

tak silne, że złamało sklepienie czaszki. Stąd tak wielki krwotok. Śmierć nastąpiła tak nagle, że śpiąca nie zdążyła krzyknąć, ani nawet nie obudziła się.

Odruchowo spojrzałem na zegarek. Było właśnie siedem minut po dziesiątej. Wziąłem zmarłą, za rękę. Spróbowałem ją zgąć w stawie. Nie napotkałem wielkiego oporu. Pomacałem mięśnie przedramienia. Stężenie mięśni dopiero się zaczęło, ale ciało było już całkowicie zimne. Przy takim upale i niskim ciśnieniu zwłoki musiały stygnąć przynajmniej przez trzy godziny, zaś stężenie mięśni, tak zwany *rigor mortis*, mógł się rozpocząć dopiero po godzinie, a nawet dwóch od ostygnięcia ciała. Tłumacząc te fachowe wywody na zwykły, ludzki język, oznaczało to, że zbrodnię popełniono najwcześniej o godzinie piątej, najpóźniej - o godzinie siódmej po południu.

Swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się z panią Brands i panem Hardingiem, którzy w tym momencie stali koło mnie, tuż przy tapczanie zmarłej. Norę sprowadził Dalin na pierwsze piętro, do jej pokoju. Swoją drogą, zaimponowała mi pani Brands. Była chyba jeszcze bardziej spokojna i opanowana niż ja. A przecież dla lekarza policyjnego oględziny zwłok są chlebem codziennym. Co innego dla właścicielki wytwornego, ekskluzywnego pensjonatu.

- Trzeba zawiadomić policję - powiedziałem. - Czy w Lomme jest *polisstation*?

- Jest, ale z tamtej strony osiedla. To przeszło trzy kilometry, a nawet więcej - wyjaśniła pani Brands.

- Mają przecież telefon.

- Telefony nieczynne. Już pan Tuveśón sprawdzał. Po burzy i deszczu zwykle przez kilka godzin nie możemy się z nikim połączyć.

- Wobec tego pójdę piechotą - zdecydowałem.

- Pójdę razem z panem - zaofiarował się pan Harding.

- Dojdziemy do stacji autobusowej w Bjarred. To niecałe dwa kilometry. Tam weźmiemy moje auto i pojedziemy na posterunek policji.

- Nie - tłumaczyłem - lepiej od razu iść do Lommy. Bo a nuż pańskie auto nie da się uruchomić po tej burzy?

- No, wie pan! - Ingvar był oburzony. - Przecież to nowiutkie volvo. Ledwie dotarte.

- Właśnie dlatego się boję. Z nowymi samochodami nigdy nic nie wiadomo.

- Chyba nie musimy tu stać - zauważyła pani Brands - pan doktor swoje

zrobił. Tej nieszczęsnej nic nie pomożemy. Nie mogę dłużej na to patrzeć.

Wyszliśmy z pokoju. Przed wyjściem stwierdziłem, że drzwi balkonowe są uchylone. Wyrząłem na taras. Naturalnie niczego tam nie zobaczyłem. Nawet gdyby były jakiegokolwiek ślady, deszcz dawno je zatarł. Zamknąłem więc starannie drzwi. Następnie zgasilem światło w pokoju, zmarłej ono niepotrzebne, i zamknąłem drzwi wejściowe na klucz. Oddałem go pani Brands.

Przed przybyciem policji - wyjaśniłem - do tego pokoju nikt nie może wejść. To bardzo ważne. Myśmy ni-i czego w pokoju nie ruszali, tylko ja sprawdziłem, czy Maria Jansson żyje i kiedy mniej więcej nastąpił jej zgon. Reszta należy do policji. Może znajdą tam jakieś ślady, której pozwolą na zidentyfikowanie zabójcy.

Najlepiej będzie - zaproponowała pani Brands - je-; zeli zalepimy drzwi paskiem papieru i złożymy na nim swoi je podpisy. Wtedy nawet mając klucz, nikt nie odważy siei zerwać pieczęci.

- Ale skąd ją weźmiemy? - zakłopotał się pan Harding.

- To bardzo proste - rzekła właścicielka pensjonatu. Zrobiła parę kroków i otworzyła drzwi pojedynki. Takiej samej, w jakiej na pierwszym piętrze mieszka obecnie pokojówka Lilljan. Okna tego pokoju, który zresztą sąsiadował z pomieszczeniem zajęтым przez zmarłą, również wychodziły na morze. Na biurku znajdowały się przybory do pisania, również i klej. Pani Brands oderwała wąski skrawek papieru. Podpisaliśmy się na nim wszyscy. Następnie właścicielka pensjonatu zwilżyła go klejem i tę prowizoryczną pieczęć umieściła na zamkniętych drzwiach, na wysokości swojej głowy.

Zeszliśmy na dół. Po drodze wzięłem płaszcz. Pan Harding również zaopatrzył się w jakieś okrycie jeszcze na górze. Mieszkał przecież na drugim piętrze, koło pokoju Gustawa Dalina. Ten zaś sąsiadował bezpośrednio z Marią Jansson.

Na dole obaj mężczyźni: Tuvesson i Dalin na próżno usiłowali uspokoić kobiety. Najbardziej histeryzowała Nora Lindner, chociaż i Lilljan nic nie brakowało. Ciągle miały przed oczyma obraz zakrwawionej głowy zmarłej. Tego nie zapomina się tak łatwo.

- Idziemy - zaproponowałem panu Hardingowi.

- Dokąd? - zapytała przez łzy Nora.

- Na posterunek policji. Musimy zawiadomić o tej potwornej zbrodni.

W tej chwili piorun wyrznął gdzieś tak blisko, że aż szyby zadzwoniły w oknach.

- Nigdzie nie pójdziecie! - zawołała histerycznie Nora. - Nie puszcę was. Dosyć już tej jednej, która nie żyje.

- Tak, tak - poparła ją Klara. - Wychodzenie na dwór w taką burzę, to tylko niepotrzebne ryzyko.

- Zmarłej to nic nie pomoże - poparła obie panie właścicielka pensjonatu. - A nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby panom coś się stało.

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów drugi, bodaj jeszcze potężniejszy piorun oświetlił całą okolicę. Huk był tak potężny, że aż mi w uszach zadzwoniło.

- Rzeczywiście - zgodził się pan Tuveson - lepiej nieco poczekać, aż się burza uspokoi. Przecież nie będzie to trwało zbyt długo. Taki spacer otwartą szosą przy tych wyładowaniach elektrycznych nie jest bezpieczny.

Chciałem zaprotestować, ale kiedy spojrzałem na pana Hardinga, zauważyłem, że odwaga opuszcza go coraz bardziej. Zresztą argumenty pani Brands były całkowicie przekonujące.

- Pójdę do kuchni i zrobię mocnej kawy - zaproponowała nasza gospodyni - to nam wszystkim dobrze zrobi.

- Ja mam butelkę koniaku - ofiarował się Tuveson - chętnie łyknę jeden kieliszek. Naszym paniom chyba też nic zaszkodzi.

- Ja zrobię kawę - ofiarowała się Lilljan, która zdołała w końcu opanować swoje nerwy.

- Pójdziemy razem.

Pan Tuveson poszedł na górę po obiecany koniak. Podążyłem za nim. Również i Harding skierował się na schody, aby odnieść płaszcz.

- Wszystko przez tę Brands - zauważył - żeby baba tak nie upierała się z tymi samochodami, mój wóz stałby teraz przed domem. Wsiedlibyśmy i pojechali, deszcz nie deszcz. Ale jej nie można niczego wytłumaczyć. Nie i nie - powtarzała na różne moje argumenty. To przecież śmieszne mieszkać w eleganckim pensjonacie, a mieć swój samochód na publicznym parkingu o dwa kilometry od domu.

Zawsze wożę z sobą małą, podręczną apteczkę. Z zasady nie rozstaję się z nią. Są tam też i środki uspokajające. Wziąłem lek, brom z jodem, i po zejściu na dół zaaplikowałem naszym paniom po łyżce stołowej. Lekarstwo jest łagodne, ale w smaku wybitnie gorzkie. Spodziewałem się, że szybko podziała samą sugestią. Tak też się stało. Już po dziesięciu minutach nasza śliczna rozwódka próbowała się uśmiechnąć.

- Jaki pan doktor dobry. Pomyślał o nas. Przy innych mogłabym umrzeć, a oni by nie zareagowali.

Pod słowem „inni” rozumiało się po prostu „Dalin”. A przecież człowiek ten był bez najmniejszej winy. Przeciwnie, od początku bardzo gorliwie zajął się panią Norą, sprowadził ją najpierw do jej pokoju, a później na parter. Nie jego grzech, że nie miał przy sobie bromu i nie przewidział, że pani Jansson zostanie zamordowana.

Lilljan i pani Brands przyniosły świeżą, gorącą kawę. Była o wiele mocniejsza niż zazwyczaj. Piliśmy ją z wielką przyjemnością, wsłuchując się w ryk morza i szum deszczu za oknami. Pioruny od czasu do czasu rozświetlały niebo błyskawicami.

Nikt z nas nie wymówił ani słowa. Po tych strasznych przeżyciach ostatniej godziny nastąpiła prawidłowa reakcja. Każdy czuł się niesłychanie znudzony i nie tylko nie chciał zabierać głosu, ale nawet myśleć. Siedzieliśmy tak z godzinę. Burza nie zmniejszała się ani troszeczkę. Pan Tuwesson zaproponował:

- Nie ma sensu tak siedzieć i czekać nie wiadomo na co. Nasze panie ledwie trzymają się na nogach. Nam też niewiele brakuje. Co za straszny dzień. Zaczęło się od samego rana. Bez przesady, ale w tym powietrzu czaił się mord.

- To nie powietrze zabiło panią Jansson - zaprzeczyłem - tylko jakiś zbrodniarz z młotkiem w dłoni.

- Nie o to mi chodzi - wyjaśnił Tuwesson. - Mówię jedynie, że od rana byliśmy już zmęczeni i u kresu odporności nerwowej. Wskutek duchoty i spadku ciśnienia. Wszystkim nam należy się choćby parę godzin odpoczynku. Proponuję, żeby pójść spać. Dochodzi już dwunasta i mowy nie ma, żeby burza uspokoiła się przed upływem co najmniej pięciu godzin. Byłoby zresztą nierozsądnie i wręcz dziecinadą tkwić do rana w salonie. Lepiej położyć się i próbować usnąć. Choćby na krótko.

Nie można było odmówić słuszności leniu rozumowaniu. Rozeszliśmy się więc po swoich pokojach. „Dobranoc”, jakie każdy z nas powiedział, brzmiało jak ironia.

- Mam budzik - rzekł pan Harding - nastawię go na szóstą i obudzę pana doktora. Pójdziemy na posterunek.

Podziękowałem poczciwcowi. Kiedy wróciłem do swojego pokoju, byłem tak zmęczony, że tylko zdążyłem zdjąć buty i marynarkę i rzuciłem się na tapczan. Nie był nawet posłany, widocznie Lilljan swoje wieczorne zajęcia zaczęła od drugiego piętra. Potem nie miała na to głowy. Ledwie przyłożyłem głowę do wałka, natychmiast zasnąłem ciężkim, kamiennym snem. Bez żadnych majaków. Obudziło

mnie czyjeś szarpnięcie za ramię. Z trudem otworzyłem oczy. Przede mną stał pan Harding.

- Ma pan mocny sen, doktorze - zauważył - najpierw pukałem do pokoju, ale bez skutku. Na szczęście drzwi nie były zamknięte na klucz. Ale musiałem dobrze panem potrząsnąć, zanim pana obudziłem.

Natychmiast oprzytomniałem, usiadłem na tapczanie. Pan Harding był całkowicie ubrany, nawet w płaszczu. Spojrzałem w stronę okna. Przestało padać, ale niskie chmury pełzały na niebie tuż nad morzem. Było zaledwie pięć po szóstej.

Szybko włożyłem buty i marynarkę. Kiedy zesliśmy na dół, zastałem tam już panią Brands. Nosiła tę samą suknię co wieczorem. Czyżby w ogóle nie kładła się spać?

- Może panowie zjecie śniadanie? - zaproponowała uprzejmie.

- Nie - podziękowałem. - Zawiadomimy posterunek policji o zbrodni i zaraz wrócimy.

- Próbowałam dzwonić, ale telefony jeszcze nie działają.

- Teraz to już nie ma znaczenia. I tak niedługo tam będziemy - zauważył przemysłowiec ze Sztokholmu.

Tym razem nie protestowałem, kiedy po wyjściu na szosę pan Harding skierował swoje kroki w lewo, w stronę Bjarred. W ciągu kwadransa doszliśmy do dużego, drewnianego budynku - stacji autobusowej. Tutaj na małym placu parkingu stało kilka samochodów. Wśród nich ciemnoniebieskie, nowiutkie volvo, aż lśniące od lakieru i błyszczące niklem. Jego właściciel był bardzo dumny, kiedy za pierwszym dotknięciem startera motor od razu zaskoczył.

Jadąc co najmniej setką, przebyliśmy prawie całą, jeszcze pustą o tej porze Lommę i zatrzymaliśmy się przed niewielkim budynkiem z napisem „*Polisstation*”. Musieliśmy się dość długo dobijać, zanim otworzył nam zaspany policjant. Jeden z dwóch, którzy stanowią obsadę tego małego, spokojnego posterunku.

Policjant bez słowa wysłuchał naszego krótkiego opowiadania i bez słowa sięgnął po słuchawkę telefoniczną. Nie doczekał się jednak sygnału, chociaż parę razy stuknął w widełki. Aż zaklął.

Zniechęcony odrzucił słuchawkę.

- Zawsze to samo - powiedział - przy nieco większym deszczu wszystkie telefony w Lommie wysiadają. Nieraz już interweniowaliśmy, żeby to naprawili. Ale teraz złożę taki raport, że im w piąty pójdzie.

Sięgnął po radiotelefon i za chwilę meldował.

- Tu Lomma, tu Lomma. *Extra poliskonstapel* Algot Olsson. Słyszycie mnie?
Przechodzę na odbiór.

Po potwierdzeniu połączenia, Olsson zameldował:

- Popołniono zbrodnię w pensjonacie Brands na Strandvagen. Przysłać natychmiast ekipę policji kryminalnej. Powtarzam: popełniono zbrodnię...

Wyłączył aparat i wyjaśnił nam:

- Zameldowałem w Lund, w tamtejszej dyrekcji policji. Obiecali zaraz przysłać oddział techniczny. Wracajcie do siebie, ja tam też przyjadę, tylko zawiadomię jeszcze *förste poliskonstapla*.

W milczeniu wróciliśmy do pensjonatu. Tym razem pani Brands nie protestowała, kiedy Harding zatrzymał swój wóz przed podjazdem pałacyku. Lilljan była już na nogach. Zaprosiła nas do jadalni, gdzie stały nakrycia na dwie osoby.

Kiedy jedliśmy śniadanie, nadeszła właścicielka. Poinformowaliśmy ją o wszystkim.

- Straszna historia - stwierdziła pani Brands. - Morderstwo i policja w moim pensjonacie. Cały sezon przepadł. Nawet pies z kulawą nogą teraz do mnie nie przyjedzie. Wyobrażam sobie, jaką reklamą robi mi prasa.

- Niech pani się nie obawia - uspokajał ją Harding - u nas w Szwecji jest tylu ludzi żądnych sensacji, że będą się tu pchali drzwiami i oknami.

Jeszcze nie skończyliśmy śniadania, kiedy przyjechał kapral Olsson, a wkrótce potem przed domem zatrzymały się dwa popielate auta z napisem „*Polis*” na czarnym pasie. Z pierwszego samochodu wysiadł młody, przystojny blondyn w towarzystwie starszego pana. Z drugiego wozu wyskoczyło aż trzech ludzi z walizczkami w rękach. Ciekawie rozglądali się wokoło. Skierowałem się w stronę tych dwóch. Jako lekarz policyjny od razu zorientowałem się, kto kim jest. Ten młody, to oficer policji z Lund, mianowany *utredningsmanem* w tej sprawie. Starszy, to na pewno lekarz policyjny z Lund. Ci trzej zaś są z oddziału technicznego: fotograf, daktylotechnik i specjalista od zamków i tym podobnych. Przedstawiłem się:

- Bjorn Nilerud, *rattslakare*.

- O! - zdziwił się blondyn. - Z czyjego ramienia pan tu jest?

- Zwykły przypadek. Po prostu mam urlop i jestem gościem tego pensjonatu. Sądzę - dodałem zwracając się do starszego pana - że mam przed sobą kolegę.

- Tak jest. Doktor Thorsten Ross - przedstawił się. - Cieszę się, że pan kolega znalazł się tutaj. We dwóch łatwiej nam będzie pracować. Czy wolno wiedzieć, gdzie

pan jest zatrudniony?

- W Uppsali. U *polismastare* Larsa Estberga.

Sięgnąłem do kieszeni i podałem blondynowi swoją legitymację służbową. Dopiero kiedy rzucił na nią okiem, coś na kształt życzliwości pojawiło się w jego uśmiechu.

- Mamy nadzieję - powiedział - że pan doktor pomoże nam w tej sprawie. Co za dziwna historia, morderstwo w Lommie! W małej spokojnej Lommie. Aż się wierzyć nie chce.

- Może pan na mnie liczyć, panie... - tu specjalnie zrobiłem przerwę.

Blondyn zrozumiał, bo powiedział:

- Magnus Torg, *forste kriminalassistent* z Lund. Rozkazem *polismastare* mianowany *utredningsmanem* w tej sprawie.

- Będę niezmiernie rad - powiedziałem - jeżeli moja pomoc okaże się pożyteczna. Niestety, wiem niezbyt wiele. Wszystko to wygląda niezmiernie tajemniczo. Ale chodźmy do środka.

W drzwiach stała pani Astrid Brands. Przedstawiłem jej panów z policji, a im wyjaśniłem, że mają do czynienia z właścicielką pensjonatu. Razem poszliśmy na górę. Magnus Torg lekko się uśmiechnął na widok zapieczetowanych drzwi.

- Widzę, że pan, doktorze, już rozpoczął tu pierwsze śledztwo.

- Jestem *rattslakare* - jeszcze raz wyjaśniłem - a więc uważałem, że mam obowiązek...

- Doskonale pan zrobił - pochwalił mnie Torg - ale mam nadzieję, że w pokoju niczego nie ruszono?

- Absolutnie - zapewniłem go. - Jedyne stwierdziłem, że ofiara nie żyje i zrobiłem próby dla stwierdzenia godziny jej zgonu. Uważałem bowiem, że mogę to uczynić o wiele dokładniej niż inny lekarz, który znajdzie się na miejscu zbrodni dopiero po paru godzinach.

- Słusznie - zgodził się Magnus Torg.

- Do jakich wniosków doszedł pan kolega? - zapytał doktor Thorsten Ross.

- Ciało badałem punktualnie pięć po dziesiątej wieczorem. Stwierdziłem początek stężenia mięśni. Ponieważ dzień wczorajszy był wyjątkowo upalny, a w pokoju, gdzie leżała zamordowana było bardzo ciepło, przyjmuję, że zwłoki musiały stygnąć od dwóch do trzech godzin, proces stężenia zaś zaczął się jeszcze godzinę później. A więc morderstwo, moim zdaniem, popełniono między piątą a siódmą

wieczorem.

- Zgadzam się z panem, doktorze - powiedział rattslakare z Lund.

Pani Brands podała oficerowi klucz do pokoju. Magnus Torg włożył go w zamek i przekręcił...

Teraz, wieczorem, spisałem możliwie najdokładniej cały przebieg wydarzeń aż do momentu, kiedy *forste kriminalassistent* osobiście zerwał pieczęcie z drzwi i wszedł do pokoju Marii Jansson, aby oficjalnie rozpocząć śledztwo w sprawie tego morderstwa. Mam nadzieję, że te tak szczegółowe notatki przydadzą się młodemu oficerowi policji znacznie bardziej niż przesłuchania mieszkańców pensjonatu. Ich zeznania, siłą rzeczy, nie mogą objąć wszystkich wydarzeń tamtego tragicznego dnia, gdyż każdy z nich tylko fragmentarycznie brał w nich udział. Poza tym ci ludzie nie mają zdolności tak logicznego rozumowania jak lekarz policyjny, a przypadkowo zetknąwszy się ze zbrodnią, nie potrafili zachować potrzebnego spokoju, żeby być obiektywnymi świadkami.

Numer 38242

Porucznik Magnus Torg otworzył drzwi i pierwszy wszedł do środka. Za nim pośpieszyli dwaj lekarze policyjni oraz trójka policjantów z oddziału technicznego. Swoje walizki zostawili w hallu na drugim piętrze.

W pokoju było bardzo ciepło. Szerokie drzwi balkonowe, dokładnie zamknięte, nie przepuszczały powietrza, a w dodatku słońce, które rozgoniło chmury, operowało wprost w szyby. Poza tym unosił się tu słodkomdły zapach krwi. *Forste kriminalassistent* rozejrzał się więc pobieżnie po pokoju i szeroko otworzył drzwi na taras. Potem dopiero podszedł do tapczanu. Maria Jansson leżała na wznak z głową przechyloną nieco na bok, ku ścianie. Krew na poduszce zaschła już w twardą skorupę. Częściowo też zlepiła ciemną plamą włosy zabitej.

- Została zabita uderzeniem w głowę tak mocnym, że pękło sklepienie czaszki. Stąd ten krwotok - wyjaśnił *rattslakare* Bjorn Nilerud.

Drugi lekarz, ten z Lund, doktor Thorsten Ross, ciekawie pochylił się nad zmarłą. Przyglądał się ranie.

- Uderzenie czymś ciężkim. Młotek albo obuch siekiery - zauważył.

- Fotograf - krótko rozkazał porucznik.

Fotograf policyjny szybko dokonał całej serii zdjęć. Zarówno zabitej, jak i

całego pokoju.

Magnus Torg szczegółowo lustrował pokój. Panował tu całkowity porządek. Na toaletce leżały różne drobiazgi. Na stole obok wazonu z kwiatami znajdował się jakiś ilustrowany magazyn, otwarty na stronie z krzyżówką, w połowie rozwiązana. Obok leżała książka. Tani kieszonkowiec, jaki zazwyczaj kupuje się na urlopie, gdzie lektura jest w programie tylko w razie uporczywie złej pogody. Na krześle można było dostrzec przerzuconą przez jego oparcie sukienkę z szarej wełny. Tuż przy łóżku stały nocne pantofle porządnie ułożone jeden przy drugim, w pozycji „na baczność”.

- Nikt tu niczego nie ruszał? - zapytał oficer policji.

- Niczego - odpowiedziała pani Astrid Brands stojąca przy drzwiach. -
Weszliśmy z doktorem Nilerudem i panem Hardingiem jedynie na chwilę. Kiedy stwierdziliśmy, że Maria Jansson nie żyje, natychmiast opuściliśmy pokój. Przedtem pan doktor zamknął drzwi balkonowe.

- Dlaczego nie daliście od razu znać policji?

- A jak? Telefony przestały działać w całej Lommie w ciągu pół godziny po tym, jak deszcz zaczął padać. O tym, żeby przejść na piechotę te cztery kilometry do posterunku policji w czasie szalejącej burzy, piorunów i ulewy, nie było nawet mowy. Dlatego zapieczętowaliśmy pokój i zaalarmowaliśmy policję wtedy, kiedy stało się to możliwe.

- Dam ja tym druciarzom za te głuche telefony! To się stale powtarza.

- Chyba już od ośmiu lat - poświadczył jeden z policjantów. - Zawsze tłumaczą się, że studzienki źle zbudowano, kabel zaraz zalewa i robi się zwarcie.

- Dlaczego gdzie indziej nie zalewa, tylko w Lommie?

- Nie wiem. Tak tłumaczą.

- Będą się jeszcze lepiej tłumaczyli. Jeden z wywiadowców zajrzał pod tapczan.

- Tam coś leży - powiedział.

Ostrożnie, za pomocą metalowego pręta, który wyjął ze swojej walizki, wyciągnął spod tapczanu duży, ciężki młotek. Żelazo nosiło ślady zakrzepłej krwi. Znajdujący się tam włos zmarłej potwierdzał, że była to broń, której przestępca użył dla zadania zbrodniczego ciosu.

- Ostrożnie, mogą być odciski - zauważył doktor Nilerud.

Policjant spojrział na niego zabójczym wzrokiem:

- Lubię takich, co to ucza policjantów - mruknął. Ujął młotek delikatnie przez

chustkę w jego środku

ciężkości i równie ostrożnie położył na stole. Następnie wyjął z walizki pulweryzator i pokrył powierzchnię trzonka i żelazo jasnoszarym pyłem.

- Nic nie ma - stwierdził.

Odwrócił młotek drugą stroną i powtórzył całą operację.

Pracował drań w rękawiczkach - powiedział - trzymam zakład, że w całym pokoju nie znajdziemy jego odcisków. Teraz nawet zwykły amator zakłada rękawiczki. Kryminalne filmy i książki dobrze ludzi podszkoliły.

- Byłem pewien - stwierdził *forste kriminalassistent* - że niczego nie znajdziemy na tym młotku.

Trzonek młotka jest zupełnie biały. To dowodzi - zabrał głos znowu doktor Nilerud - że kupiono go niedawno i nie używano. W Bjarred i w Lommie jest tylko parę sklepów, gdzie można kupić taki młotek. Może sprzedawca będzie pamiętał, kto ostatnio robił tego rodzaju zakupy?

Nauczyciel, psiakrew - wycedził przez zęby policjant, któremu już przedtem lekarz zwrócił uwagę na ewentualne odciski na narzędziu zbrodni.

Obaj lekarze udali, że nie słyszą tych słów. Porucznik także nie zwrócił uwagi na, bądź co bądź, niezbyt grzeczne uwagi swojego podwładnego. Odpowiedział jedynie Nilerudowi:

- W Lommie i w Bjarred jest tylko parę sklepów, ale już w Lund taki młotek można kupić prawie na każdej ulicy, nawet w większym sklepie spożywczym. A w Malmö takich sklepów na setki. Nigdzie zresztą nie jest powiedziane, że zbrodniarz nabył to narzędzie w Szwecji. Po prostu mógł odjechać sześć koron i osiemdziesiąt bre i pojechać do Kopenhagi. Ani nasza, ani duńska policja nie podejmie się szukania w dwumilionowym mieście sklepu, który sprzedał ten młotek. Nie ma na nim żadnego znaku, żadnej firmy. Podobnych jest tysiące. Oczywiście dla porządku sprawdzimy w Lommie i w okolicy, ale na tym się skończy.

Oficer rozejrzał się po pokoju, potem wyszedł na taras. Uważnie oglądał barierę, koło której biegła rynna.

- Zręczny przestępca od biedy mógłby tędy zjechać na dół - zauważył - ale wykluczone, aby bez drabiny dostał się na górę. Chyba że ten człowiek miał skrzydła.

Tymczasem policjanci z oddziału technicznego szybko i sprawnie dokonywali swoich czynności. Nie zachwyciły ich jednak wyniki. Daktylotechnik wyraził to słowami:

- Do kitu taka robota. Odcisków sporo, ale prawie wszystkie się powtarzają. Większość należy do zmarłej, inne pewnie do mieszkańców pensjonatu.

- Proszę wziąć odciski palców wszystkich mieszkańców pensjonatu i służby - powiedział Magnus Torg. - A także i zdjęcia, i dostarczyć mi jutro rano.

Technicy skończyli swoje zajęcia, zapakowali walizki, a jeden z nich zapytał:

- Czy jesteśmy jeszcze potrzebni?

- Nie. Jedźcie panowie do Lund - odesłał ich porucznik.

- Teraz nasza kolej - rzekł Thorsten Ross.

Lekarz pochylił się nad zmarłą i odkrył kołdrę, którą była przykryta. Kobieta miała na sobie tylko bieliznę. Jej elegancja świadczyła zarówno o dobrym guście pani Marii Jansson, jak też i o tym, że nie musiała liczyć się z każdym ore.

Stężenie mięśni daleko posunięte - stwierdził doktor Ross.

Nic dziwnego - zgodził się Nilerud - kiedy ją ostatni raz oglądałem, była dziesiąta wieczorem. Wtedy ten proces dopiero się zaczął. Teraz mamy już jedenastą w południe następnego dnia.

Doktor Ross przeprowadzał dalsze oględziny zwłok. Jego kolega stał z boku i nie wtrącał się do tych czynności. Przecież to nie jego zadanie i nie jego rejon. On tu jest na urlopie.

- Niech pan patrzy, kolego - zauważył Ross - ona ma tatuaż na przedramieniu. Ciekawe. Jakiś numer...

Na białej skórze zmarłej wyraźnie odcinały się drobne cyferki niebieskiego koloru.

- Trzy, osiem, dwa, cztery, dwa - odczytywał doktor Ross. - Trzydzieści osiem tysięcy dwieście czterdzieści dwa.

- Pierwszy raz coś takiego widzę - stwierdził Nilerud.

- Ja też - zgodził się drugi lekarz. - Trzeba to pokazać *forste*

kriminalassistentowi. Panie Torg...

Magnus Torg w towarzystwie pani Brands oglądał tymczasem inne pomieszczenia pensjonatu, położone na tym samym piętrze. Na wołanie doktora Rossa szybko powrócił do pokoju pani Jansson.

- Co się stało? - zapytał.

- Niech pan patrzy, poruczniku. Zmarła ma na ręku wytatuowany numer.

- Teraz rozumiem, dlaczego pani Jansson chodziła w bluzkach lub w sweterkach z długimi rękawami - pokiwała głową pani Brands - widocznie wstydziła

się tego tatuażu.

- Na pewno nie - odpowiedział Magnus Torg - przeciwnie, mogła być z niego tylko dumna. Zapewniam was.

- Co oznacza ten numer? - zapytał Nilerud.

- Dowodzi, że tę kobietę więziono w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Hitlerowskim obozie koncentracyjnym.

Auschwitz - wzdrygnął się doktor Ross - słyszałem coś o tym. Kiedy przed kilku laty brałem udział w kongresie lekarzy w Polsce, w Krakowie, gospodarze zorganizowali wycieczkę na teren obozu. Wstrząsające wrażenie. Gdyby mnie ktoś zaprowadził do piekła, nic gorszego nie mógłbym tam zobaczyć. W Auschwitz hitlerowcy zamordowali przeszło trzy miliony ludzi. Mężczyzn, kobiet i dzieci.

Ale przecież Szwecja była neutralna - dziwił się doktor Nilerud. - Skąd więc ta kobieta w obozie, gdzie posyłano tylko wrogów Niemiec?

- W Auschwitz zginęło również wiele tysięcy Niemców. Tylko dlatego, że nie myśleli tak jak Hitler.

- No tak - zgodził się Bjorn Nilerud - gdybym nie zdołał uciec z rąk Gestapo wtedy, w 1944 roku w Norwegii, może i ja trafiłbym do któregoś z tych obozów. Oczywiście, gdyby mnie nie rozstrzelano od razu.

- I pan, doktorze, członek ruchu oporu Norwegii, nie wiedział, co oznacza taki numer? - dziwił się Ross.

- Nie skojarzyłem numeru z wojną - tłumaczył się Nilerud. - Zresztą nawet nie wiedziałem, że w obozach hitlerowcy tatuowali więźniów. W Norwegii tego nie robili. Nigdy nie widziałem nikogo, kto był w Oświęcimiu.

- Bo znacznie więcej ludzi tam zginęło, niż przeżyło.

- Ale przecież - upierał się Nilerud - Szwecja była neutralna. Nie wyobrażam sobie, żeby obywatelkę neutralnego państwa mogli hitlerowcy zesłać do obozu. Zbyt liczyli się ze Szwecją.

Doktor Ross machnął ręką:

- Tak się liczyli jak tygrys z komarem. Wprawdzie i ja nie słyszałem o Szwedach w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, ale tego nie można wykluczyć. Mogła wtedy mieszkać w Niemczech lub gdzieś na terenach okupowanych... I na przykład pomogła jakiemuś uciekającemu jeńcowi lub po prostu ukryła Żyda? Hitlerowcy uważali to za zbrodnię, za którą karali rozstrzelaniem. Posłanie do obozu było „łagodną” karą.

- Straszne czasy - wyszeptał Nilerud.

- Kim była ta kobieta? - zapytał Magnus Torg. - Jak dotychczas znam tylko jej nazwisko, ale w Szwecji Janssonów liczy się na dziesiątki tysięcy.

Maria Jansson - wyjaśniła pani Brands - wdowa po Eriku Janssonie. Obecnie współwłaścicielka firmy importowo-eksportowej „Erik Jansson, i syn”.

- Fiuuu! - gwizdnął przez zęby Magnus Torg - znam tę firmę. Mój stryjeczny brat pływa do Brazylii na jednym z transatlantyków tego przedsiębiorstwa. Regularne linie do Ameryki Południowej i do krajów Dalekiego Wschodu. Oddziały chyba we wszystkich większych portach świata. Milionerka. Co ja mówię? Miliarderka! Jedna z najbogatszych kobiet Szwecji. A to krzyk podniesie cała prasa, kiedy dowie się, kogo zamordowano w Lommie. Że też musiało na mnie trafić, niech to diabli!

Biedny *forste kriminalassistent* Nic dziwnego, że tak się przejął. Skompromitowanie się przy prowadzeniu takiej sprawy zaważyłoby na jego karierze; długo by czekał na awans... Ale widocznie przeciwności i niebezpieczeństwa podniecały energię Magnusa Torga, bo zaraz zasypał panią Brands pytaniami:

- Ma pani jej adres domowy?

- Tak jest. Pani Jansson mieszkała w swojej willi nad jeziorem Vallingby w Sztokholmie. Adres firmy w książce telefonicznej.

- Czy pani zawiadomiła ich o śmierci pani Jansson?

- Jeszcze nie.

- Proszę natychmiast wysłać depeszę. Albo lepiej zatelefonować.

- Przecież telefony zepsute.

- Prawda! Niech to diabli... Proszę więc depeszować. Żeby jednak koniecznie ktoś z rodziny natychmiast przyjechał.

Pani Brands skierowała się w stronę drzwi.

- Niech pani jeszcze nie odchodzi. Kobieta zatrzymała się.

- Czy pani Jansson miała jakąś większą sumę pieniędzy? - zapytał oficer.

- Pieniądze? - zdziwiła się właścicielka pensjonatu. - Po co? Miała książeczkę czekową. Czek firmy „Erik Jansson i syn” przyjmie każdy bank w całej Skandynawii i nie będzie badał pokrycia, lecz z miejsca wypłaci żadaną sumę.

- Pani Jansson płaciła zazwyczaj czekami. Chyba że chodziło o jakieś drobne zakupy.

- Trzeba poszukać książeczki czekowej - zdecydował porucznik. - Gdzie ją nosiła?

- Jak każda kobieta, w torebce.

Torebka zmarłej leżała na małym stoliczku, stojącym przy tapczanie.

Magnus Torg wziął ją do ręki i otworzył. Na wierzchu, pomiędzy innymi drobiazgami, leżała w pięknej, safianowej oprawie, książeczka czekowa. Oficer ciekawie oglądał zapiski na grzbietach wydartych czeków. Były to różne, niewielkie sumy. Największa wynosiła kilkaset koron i miała adnotację „zaliczka dla pani Brands”.

Oficer położył książeczkę na stole i kolejno wyjmował inne drobiazgi. Kosmetyczka, długopis, małe portfeli, w nim dwieście trzydzieści koron w banknotach i trochę bilonu. Chusteczka do nosa, małe notatnik z jakimiś zapiskami. W osobnej przegródce parę fotografii. Na nich Maria Jansson w towarzystwie starszego pana i młodego chłopca. I te same osoby w parę lat później. Chłopiec już prawie dorosły. Słowem, nic ważnego, co by mogło rzucić jakieś światło na dramat z wczorajszego wieczoru. Porucznik włożył wszystko do torebki.

- Czy miała jakąś biżuterię? - zapytał.

- Miała - potwierdziła pani Brands - nawet sporo. Widziałam co najmniej dwie bransoletki, złoty zegarek i kilka pierścionków. Nie były to klejnoty o jakiejś specjalnej wartości, ale w każdym razie warte razem kilka tysięcy koron. Pani Jansson mówiła mi kiedyś, że kocha się w pięknej biżuterii i ma bardzo cenne szmaragdy i piękną kolie brylantową. Wspominała mi również i o innych brylantach. Mam wrażenie, że po prostu część swojej fortuny ulokowała w diamentach. Sądzę, że jednak nie przywoziła ich do Lommy. Są albo w kasie pancерnej, w domu, albo w sejfie bankowym.

- A te klejnoty, które przywozła z sobą, gdzie je trzymała?

- Nie mam zwyczaju rewidować bagaży swoich gości - odpowiedziała pani Astrid urażonym tonem.

- Ach, nie myślałem o tym, ale może pani zauważyła? - łagodził porucznik.

- Nie. Chyba pokojówka Lilljan mogłaby na ten temat coś powiedzieć.

- Gdzie ona jest?

- Albo sprząta pokoje, albo pomaga kucharce.

- Proszę ją tu zawołać.

- Lilljan wczoraj pierwsza znalazła panią Jansson bez życia. Dziewczyna aż zemdląła z przerażenia. Dzisiaj, kiedy poleciłam jej sprzątać pokoje, zapowiedziała, że raczej straci posadę, niż w ogóle wejść na drugie piętro tak długo, jak długo

zmarła będzie tutaj się znajdowała.

Magnus Torg zmełł w ustach jakieś przekleństwo, ale opanował się i powiedział spokojnie:

- Dobrze. Nie chciała góra przyjść do Mahometa, pójdzie Mahomet do góry. Proszę, niech pani zaprowadzi mnie do niej. - A zwracając się do pozostałych osób dorzucił - panowie poczekają tu na mnie.

Lilljan znaleziono na pierwszym piętrze. Na pytanie porucznika wyjaśniła, że pani Jansson miała drewniane pudełko z dziwną rzeźbą na wierzchu. Jakieś góry i na ich tle człowiek w okrągłym kapelusiku z fajką w zębach i siekierką na wysokim kijku w ręku. W tym pudełku znajdowały się klejnoty, których aktualnie nie używała oraz mały zegarek. Pudełko zwykle stało w szufladzie toaletki. Poza tym Lilljan udzieliła dość wyczerpujących informacji, jaką biżuterię nosiła bogata Szwedka. Prócz dwóch grubych obrączek z dukatowego złota, były tam jeszcze: pierścionek: z brylantem, taki sam z dużym rubinem, inny pierścień z perłą w otoczeniu brylancików, kolczyki brylantowe oraz dwie bransoletki. Jedna nowoczesna, stylizowany łańcuch z białego złota, inna - stara, w kształcie węża, który zamiast oczu miał dwa brylanciki, a w zębach trzymał duży szafir. Poza małym zegarkiem z bransoletką, był także inny. Większy, złoty, na zwykłym, nylonowym pasku.

- Po co ta kobieta brała z sobą tyle złota? - dziwił się *forste kriminalassistent*.
- Przecież nie leżała w tym wszystkim na piasku.

- Nie - wyjaśniła Lilljan. - Pani Jansson w ogóle rzadko chodziła na plażę. Dużo częściej wyjeżdżała do Malmö, albo do Kopenhagi. Wtedy ubierała się bardzo elegancko. Miała dużo ładnych strojów. Aż dwie duże walizki i podręczny neseser.

Porucznik wrócił na górę i powtórzył lekarzom nowiny zasłyszane u pokojówki.

- Jeden z tych zegarków zmarła ma na ręku - zauważył doktor Ross - kosztowne cacko, całe z platyny, „Pilippe-Patek”, najdroższa szwajcarska fabryka zegarków.

- Nic dziwnego - mruknął Nilerud - mogła sobie na to pozwolić.

Magnus Torg wysunął szufladę toaletki. Wśród różnych rękawiczek, chusteczek do nosa i innych kobiecych fatalaszków, na samym wierzchu spoczywało drewniane, małe pudełeczko. Było tak rzeźbione, jak to opisywała Lilljan, lecz w środku puste.

- Mamy powód zbrodni - stwierdził Nilerud - bandyta zamordował śpiącą i

zrabował jej biżuterię. Widocznie w Malmö albo już nawet w Kopenhadze zauważył damę obwieszoną cenną biżuterią. Potem wysledził, gdzie mieszka i korzystając z nieuwagi służby, wśliznął się na górę. I to na pewno w godzinach porannych, kiedy wszyscy, prócz pani Jansson, byli na plaży.

- Wtedy ukradłby jedynie klejnoty. Nie miałby potrze by mordować - zauważył Magnus Torg.

- Nikt nie mógł wejść do willi nie zauważony przez służbę. Lilljan, jeżeli nie sprząta, siedzi w hallu - powiedziała pani Brands.

- Albo pomaga w kuchni pani Ranhild Moberg - uzupełnił złośliwie doktor Nilerud.

- To wtedy albo ja mam baczenie na cały dom, albo zamyka się drzwi wejściowe na klucz - właścicielka broniła honoru swojego pensjonatu.

- Gdyby przyjąć, że tak było, jak nam przedstawił pan kolega - zabrał głos doktor Ross - to nie byłoby morderstwa. Po prostu zniknęłyby tylko klejnoty.

- Pani Jansson - obstawał przy swojej tezie doktor Nilerud - wyjechała rano do miasta. Nie mówiła nam, dokąd jedzie, ale przypuszczam, że do Malmo. Jak zwykle część biżuterii miała na sobie. Przestępca o tym wiedział, może nawet spotkał ją po drodze i postanowił zaczekać na jej powrót, żeby mieć większy łup?

- Nie trafia mi to do przekonania - upierał się porucznik.

- Dlaczego? - zaperzył się lekarz z Uppsali.

- Zbyt wielkie ryzyko czekać tutaj na kogoś, kogo chce się obrabować i zabić.

- Bardzo niewielkie. Na tym piętrze zajęte są jedynie trzy pokoje. Pięć jest wolnych. W każdym z nich złodziej mógł czekać nie tylko parę godzin, ale choćby i cały dzień.

- A mimo to wątpię w pańską tezę.

- Jest ona dosyć prawdopodobna. Tłumaczy nam cały przebieg zdarzeń.

- Pierwszy raz widzę takiego przestępcę, który dla zdobycia niezbyt cennego łupu, zaledwie kilku tysięcy koron, morduje człowieka. Tym bardziej, jeżeli przy znacznie mniejszym ryzyku może wziąć niewiele mniejszą zdobycz. A w dodatku bodaj najcenniejszy przedmiot, platynowy zegarek z bransoletką, pozostawił na ręku zabitej.

- Mógł go nie zauważyć, albo zbrodniarza zawiodły nerwy. Trzeba dużo odwagi, żeby zdjąć zegarek z ręki osoby, którą się przed chwilą zamordowało.

- Jeżeli mordowało się ją dla zdobycia złota, to nie zabraknie odwagi i na

sięgnięcie po platynę.

Doktor Ross zbliżył się do łóżka i zdjął z ręki pani Jansson platynowe cacko. Podał je porucznikowi. Ten obejrzał klejnot i odłożył go na toaletkę.

- Zegarek jest bardzo charakterystyczny - upierał się Nilerud. - Przestępca obawiał się trudności z jego sprzedażą. Inne klejnoty były tak pospolite, że kupi je każdy jubiler.

- Dziwi mnie też - Magnus Torg nadal nie godził się z tezą lekarza - że bandyta zamordował dla zdobycia kilku złotych drobiazgów, a nie zabrał książeczki czekowej pani Jansson. Przecież każdy oddział każdego banku, w całej Szwecji, honoruje bez sprawdzania pokrycia i autentyczności podpisu czeki do tysiąca koron. A cóż dopiero czeki firmy „Erik Jansson i syn”. Wystarczyło z tą książeczką odwiedzić kolejno banki w Malmö i w pobliskim Lund, aby w ciągu kilku godzin zebrać fortunę wielokrotnie większą niż wartość tych świecełek.

- Może przestępca o tym nie wiedział? - doktor Nilerud nadal nie chciał uznać się za pokonanego.

- Przecież to nie dziecko zamordowało wdowę po starym Janssonie.

- Prości ludzie mogą nie znać przepisów rządzących obrotem czekowym w Szwecji.

- O tym wiedzą nawet chłopcy i dziewczęta z dziewiątej klasy szkoły powszechnej. W kraju, gdzie czek zastępuje pieniądź, każdy orientuje się w tych sprawach. Wykluczam pańską hipotezę.

- To mógł być cudzoziemiec - z tryumfem zawołał *rattslakare*, dumny ze swego nowego pomysłu - włóczy się teraz po całej Szwecji tyłu tych obcych przybłądów. Choćby któryś z tych Jugosłowian, którzy pracują w Malmö i całymi godzinami grają w parku nad kanałem w rzucanie monet. Dla takiego zamordowanie człowieka dla zdobycia garści złota, to tyle, co dla innego nachylenie się po 25 ore leżące na ziemi.

- Znowu się pan myli, doktorze - zauważył Magnus Torg. - Nasze policyjne statystyki stwierdzają, że robotnicy cudzoziemscy zachowują się znacznie spokojniej i postępują bardziej uczciwie niż rodowici mieszkańcy wielkich miast. Tamci przyjeżdżają do Szwecji w ściśle określonym celu: dla pracy przez pewien czas i zaoszczędzenia jak największej sumy pieniędzy. Grają na monety w parku, bo to dla nich dużo tańsza rozrywka niż na przykład pójście do kina. Nawet tej przyjemności sobie odmawiają, chcąc jak najwięcej koron przekazać rodzinie w ojczyźnie.

- Wyjątek mógł się zdarzyć.
- Nie będziemy się tutaj spierali - zakończył porucznik.
- Rozpatrując całe zagadnienie, wezmę pod uwagę i teorię pana doktora

Nileruda. Czy panowie już skończyli?

- Tak jest - stwierdził doktor Ross - to, co można było ustalić na miejscu, już zrobiłem. Resztę problemów wyjaśni sekcja zwłok. Trzeba wezwać karetkę, żeby zabrała ciało do Lund, do prosektorium.

- O, jak to dobrze - ucieszyła się pani Brands - inaczej uciekliby mi goście, a o nowych na razie nie ma co marzyć.

- Będzie pani ich miała - „pocieszył” ją oficer policji.

- Niech tylko prasa dowie się kogo tu zamordowano, zjadą się dziennikarze z całej Szwecji. Każdy będzie chciał zamieszkać w tym domu.

Niech Pan Bóg uchowa - oburzyła się właścicielka pensjonatu - nie wpuszczę nikogo nawet za próg tego domu.

Nie wiem, czy to się pani uda. Ten ludek, jak się go wyrzuca drzwiami, włazi przez okno. Nie ma na nich sposobu.

- Już ja znajdę!

- Do jakich wniosków doszedł pan doktor? - zapytał Magnus Torg.

- Uwzględniając dane dostarczone mi przez pana kolegę Bjorna Nileruda - wyjaśniał doktor Thorsten Ross - przyjmuję, że zbrodni dokonano pomiędzy piątą a siódmą po południu w środę 7 czerwca.

- Podpiszą panowie tego rodzaju oświadczenie?

- Oczywiście - zgodzili się obaj lekarze.

- No to przynajmniej jedno mamy z głowy - stwierdził *forste kriminalassistent* - a więc zabieramy ciało i wracamy do Lund.

- A karetka?

- Zatelefonujemy po nią.

- Przecież telefony nie działają.

- Racja. W takim razie połączymy się radiotelefonem z mojego samochodu i zaczekamy na dole. Wróć tu jeszcze dzisiaj po południu albo jutro rano. Proszę, żeby nikt nie opuszczał pensjonatu, zanim nie zostanie przesłuchany i nie otrzyma ode mnie pozwolenia na wyjazd.

- Moi goście mają siedzieć jak w więzieniu?

- Mogą poruszać się po całej Lommie, ale na razie niech jej nie opuszczają.

Najpóźniej jutro ich przesłucham. Pana doktora Nileruda prosiłbym, żeby sporządził na piśmie jak najdokładniejszy opis wszystkich wypadków przed i po odkryciu morderstwa. Jako załącznik do protokołu przesłuchania. To może mi ułatwić pracę. Przecież pan jest fachowcem. Prawie oficerem policji. Naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że w momencie popełnienia zbrodni lekarz policyjny był na miejscu.

Na te słowa doktor Bjorn Nilerud aż pokraśniał z zadowolenia. Były one pewną rekompensatą za to, że niedawno Magnus Torg tak bezlitośnie obszedł się z koncepcją lekarza dotyczącą morderstwa.

- A pani - *utredningsman* zwrócił się do właścicielki pensjonatu - zabezpieczy wszystkie rzeczy zmarłej. Po zgłoszeniu się kogoś z rodziny przejrzymy je dokładnie i zadecydujemy, co z tym zrobić dalej. Myślę, że poza dokumentami i papierami, wszystko można wydać rodzinie. Od tej chwili odpowiada pani za całość każdego papierka.

- Może pan być całkowicie spokojny - odpowiedziała cierpkim tonem pani Brands. - W moim pensjonacie jeszcze nigdy nic nie zginęło.

- Poza złotem i życiem - ironicznie zauważył porucznik.

Właścicielka pensjonatu obrzuciła policjanta takim spojrzeniem, że gdyby jej życzenia się spełniły, w tym pokoju byłyby już dwa trupy. Magnus Torg nie zraził się bynajmniej złym humorem pani Brands, lecz zapytał ją:

- A co pani robiła wczoraj między piątą a siódmą?

- No wie pan! - kobieta zbladła ze złości.

- *Fru* Brands jest poza wszelkimi podejrzeniami - lekarz z Uppsali wystąpił w obronie swojej gospodyni.

- Wszyscy będą musieli przedstawić mi swoje alibi. Pan też, doktorze.

- Proszę bardzo. Całe popołudnie, aż do kolacji, grałem w brydża, w salonie na dole. Razem z panem Hardingiem i państwem Tuveesson.

- Ja byłem w Lund, u znajomych. Przyjechałam dopiero około ósmej. Łatwo sprawdzić, bo i kierowca autobusu powinien mnie pamiętać, i moi znajomi potwierdzą, kiedy do nich przyjechałam i kiedy wyszłam z ich domu.

- W porządku. Zatem macie państwo alibi. Oczywiście, że je jeszcze sprawdzę. Nawet bez zachęty pani Brands. Ale o tym szczegółowo porozmawiamy w czasie oficjalnego przesłuchania.

Oficer policji równie starannie zamknął drzwi balkonowe, jak to zrobił wczoraj Bjorn Nilerud, a następnie przekreślił klucz w drzwiach. Wszyscy zeszli na

dół.

Magnus Torg rozpoczyna przesłuchania

Już przed czwartą po południu *forste kriminalassistent* Magnus Torg wrócił na Strandvagen, do pensjonatu Astrid Brands. Razem z nim przyjechała urzędniczka dyirekcji policji w Lund. Dziewczyna niosła małą maszynę do pisania i rozgościła się w bibliotece. Torgowi towarzyszyło jeszcze dwóch policjantów w cywilnych ubraniach.

Drugi samochód przywiózł *polismastare* wraz z jednym z *kriminalkommisarie*. Najlepszy dowód, że zabójstwo Marii Jansson uznano w dyirekcji policji za najważniejszą sprawę dnia. Sprawcę należy odnaleźć jak najszybciej, zanim to morderstwo stanie się sensacją całej Szwecji. Nieczęsto się zdarza, żeby ofiarą zbrodni była tak bogata i wpływowa kobieta, jak współwłaścicielka wielkiej, światowej firmy „Erik Jansson i syn”.

Polismastare i *kriminalkommisarie* nie wtrącali się do śledztwa prowadzonego przez *forste kriminalassistent*a. Sami go przecież przed kilku godzinami mianowali *utredningsmanem* w tej sprawie. Trudno byłoby teraz dezawuować porucznika tylko dlatego, że ofiarą zbrodni okazał się ktoś znaczniejszy, niż to przypuszczano na podstawie radio-meldunku *polisstation* w Lomme. Toteż zarówno dyrektor policji, jak i jego komisarz ograniczyli się jedynie do obejrzenia miejsca zbrodni i obserwacji, jak porucznik Magnus Torg radzi sobie z prowadzeniem dochodzenia.

A trzeba przyznać, że młodemu człowiekowi nie brakowało inicjatywy. Najpierw ze swoimi pomocnikami zrewidował dokładnie pokój, jaki zajmowała Maria Jansson. Każda sztuka odzieży i bielizny została pedantycznie przejrzana. Najdrobniejszy skrawek papieru przeczytany. Wszystkie adresy znalezione w notatniku zmarłej były natychmiast przetelefonowane do Sztokholmu dla sprawdzenia, kim są ci ludzie. Cała Lomma skorzystała z tej energii oficera policji. Telefony naprawiono błyskawicznie, co nigdy przedtem się nie zdarzyło.

Niestety, zarówno oględziny pokoju zabitej, jej rzeczy, jak też i dokładna rewizja wszystkich innych pomieszczeń na tym samym piętrze, nie doprowadziły do znalezienia czegoś podejrzanego. Morderca nie pozostawił żadnych śladów.

Równie bezskuteczne okazało się poszukiwanie takich śladów wokół domu i

w parku otaczającym pensjonat. Jeśli nawet takie były, szalejąca burza i deszcz zatarły je całkowicie. Wywiad przeprowadzony w sąsiednich, zresztą dość oddalonych domach, także nie wniósł do sprawy niczego nowego. W Szwecji na ogół ludzie nie interesują się swoimi sąsiadami; mieszkańcy najbliższych willi nawet nie przypominali sobie osoby i wyglądu zabitej, a tym bardziej jej zabójcy.

Na polecenie Magnusa Torga miejscowi policjanci w Bjarred i w Lommie sprawdzili, że w ostatnim czasie nikt w tutejszych sklepach nie kupował młotków podobnych do tego, którym posłużył się morderca.

Słowem kompletne fiasko. Już pierwsze kroki uświadomiły młodemu oficerowi policji, że sprawa zapowiada komplikacje, a wykrycie mordercy nie będzie takie proste, jak to sobie początkowo w Lund wyobrażano.

Dlatego też żaden z wyższych oficerów dyrekcji policji nie kwapił się, aby przejąć z rąk porucznika śledztwo, tak lekką ręką nim obdarzonego. Tak już jest na świecie, że w razie niepowodzenia zwała się winę na tego, który nie może się tłumaczyć. W policji jest tak samo. Przeto każdy w duchu cieszył się, że nie jego spotkało to wyróżnienie, tylko pewnego *forste kriminalassistent*. Ograniczano si(więc do przyrzeczenia mu jak największej pomocy. Magnus! Torg doskonale rozumiał, że ma w ręku swój los. Jeżeli użyM ska w tej głośnej sprawie sukces, jego kariera jest zapewniona. Jeżeli się skompromituje, lepiej od razu szukać innej posady. Porucznik wierzył jednak w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Skoro nic nie wskazuje, że zbrodniarz przyszedł z zewnątrz, to musi się kryć wśród mieszkańców tego luksusowego pensjonatu na Strandvagen. Ale kto nim jest z tej dziewiątki osób mieszkających za zieloną ścianą parku, oddzielającego zgrabny pałacyk od tętniącej ruchem szosy? I jaki też może być motyw tej dziwnej zbrodni? Czyżby tę kobietę zabito jedynie dla kilku pierścionków i bransoletek, jakie miała w swoim ładnie rzeźbionym pudełeczku? Oficer policji postanowił wycisnąć z mieszkańców pensjonatu całą prawdę.

Na pierwszy ogień poszła pokojówka Lilljan.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko, co zdarzyło się tego dnia - Magnus Torg rozpoczął właściwe przesłuchanie, kiedy już sekretarka zapisała personalia dziewczyny.

- Pani Jansson nie zeszła na kolację. U nas w pensjonacie jest taki zwyczaj, że tylko śniadania dostarczamy do pokoiów - tłumaczyła pokojówka. - Jedynym wyjątkiem była pani Jansson, której często zanosila na górę również i obiady. Ale

regułą jest, że kolacje podaje się dla wszystkich w jadalni. Nie dziwiłam się nieobecności pani Jansson na kolacji, ponieważ mówiła, że wybiera się do miasta i uprzedzała” że może wrócić dopiero późnym wieczorem.

- Kiedy mówiła?

- Wtedy, kiedy przyniosłam jej obiad.

- A kiedy pani zabrała puste naczynia?

- Gdzieś koło trzeciej. Sprzątnęłam jadalnię, a potem poszłam na drugie piętro zabrać talerze z pokoju pani Jansson.

- Wtedy pani Jansson jeszcze żyła?

- Chyba żyła.

- Jak to „chyba”?

- Nie widziałam pani Jansson.

- Nie było jej w pokoju?

- Nie wiem. Nie wchodziłam do pokoju ani nie pukałam. Po zjedzeniu posiłku w pokoju nasi goście wynoszą naczynia i stawiają je na stole, który stoi w hallu na każdym piętrze. Wtedy również tacka z talerzami znajdowała się na stoliku, więc wzięłam ją i zesłałam na dół do kuchni.

- A co pani robiła potem?

- Zmyłam naczynia i usiadłam w hallu na dole. Jak nie ma roboty, to zawsze siedzę w hallu.

- Co pani tam robiła?

- Czytałam popołudniówkę „Kvallsposten” i uważałam na wejście.

- A co pani zauważyła?

- Najpierw wyszła z domu pani Nora Lindner z panem Gustawem Dalinem. Potem pani Brands. Nie - poprawiła się - pani Brands wyszła później. Najpierw zszedł z góry pan doktor Nilerud. Dopiero wtedy pani Brands wyszła ze swoich pokoi, porozmawiała z panem doktorem i przechodząc koło mnie poleciła, żebym zesłała na dół pomóc pani Moberg w przygotowaniu kolacji, bo ona wyjeżdża do Lund i wróci dopiero o ósmej. Zaraz po wyjściu z domu pani Astrid, zesłali na dół pani Klara i pan Egil.

- Kto?!

- Przepraszam. Pan kapitan Egil Tuveesson i jego żona Klara Tuveesson.

- Co było dalej?

- Widziałam, jak ci państwo chwilę rozmawiali i zaczęli grać w karty.

- Niechże pani mówi to, co wie. Każde słówko muszę z niej wyciągać! - porucznikowi nie podobało się, że pokojówka odpowiada skąpo na pytania, nie okazując żadnych chęci powiedzenia czegoś ponadto.

- Zaraz potem zamknęłam drzwi wejściowe na zatrzask i zeszłam na dół. Obie z panią Ranhild Moberg byłyśmy w kuchni aż do kolacji.

- Nie wchodziła pani na górę?

- Tylko raz.

- Mówże, dziewczyno! - to było ciężkie przesłuchanie.

- Kiedy, po co?

- To było na kwadrans przed ósmą. Dobrze pamiętam, bo pani Moberg powiedziała, że za piętnaście minut trzeba będzie uderzyć w gong i zacząć podawać kolację. Zerwał się duży wiatr, a na parterze wszystkie okna były pootwierane. Weszłam więc tam i pozamykałam okna i drzwi na taras. Państwo tak byli zajęci grą, że nawet tego nie zauważyli. Zamknęłam również okna w mieszkaniu pani Brands. Pani Brands jeszcze nie wróciła z Lund. Kiedy więc zeszłam z powrotem do kuchni, powiedziałam kucharce, że zaczekamy z kolacją do powrotu pani Astrid. Ona zawsze siadała do wieczornego posiłku razem z gośćmi. Taki panuje u nas zwyczaj.

- Czy w czasie pobytu w kuchni zauważyła pani coś albo usłyszała?

- Nie, nic.

- Pani Moberg wychodziła w tym czasie z kuchni?

- Tak, do magazynku, który znajduje się także w suterenie. Brała stamtąd produkty żywnościowe potrzebne do kolacji.

- A na górę nie wchodziła?

- Na pewno nie wchodziła.

- Co było potem?

- Kiedy pani Brands wróciła z Lund, uderzyłam w gong. Pani Lindner i pan Dalin także już wrócili. Brydża zakończono i gracze przeszli do jadalni.

- A kiedy pani jadła kolację?

- Kwadrans przedtem. Kiedy pozamykałam okna i wróciłam na dół, zjadłyśmy obie, ja i pani Ranhild.

- O czym mówiono przy kolacji?

- Nie słuchałam. Robiłam swoje. Pamiętam tylko, że kiedy pioruny zaczęły bić, ktoś coś wspominał o pani Jansson.

- Co powiedział i kto to mówił?

- Nie pamiętam kto. Ktoś zrobił uwagę, że dla pani Jansson może być niebezpieczny powrót do domu w taką pogodę. Ktoś inny odpowiedział, że pani Jansson na pewno pozostanie w mieście, dopóki burza się nie skończy. Pod koniec kolacji pioruny strasznie były. Panie były wystraszone. Przeszliśmy do salonu. Światło gasło, więc zapaliłam świece. Potem, kiedy zaczął padać deszcz i błyskawice były nieco rzadsze, pani Brands poleciła mi posłać tapczany. Zawsze zaczynam od drugiego piętra. Weszłam na górę i najpierw posłałam w pokoju pana Hardinga. Z kolei udałam się do pani Jansson. W pokoju było ciemno. Kiedy zapaliłam światło i zobaczyłam krew na poduszce i panią Jansson bez życia, z krzykiem zbiegłam na dół. Panowie Tuwesson i Nilerud przyszli mi z pomocą, bo byłabym zemdląca.

- Skąd pani wiedziała, że Maria Jansson nie żyje?

- Przecież leżała z zakrwawioną głową, a wielka kałuża krwi rozlewała się na pościeli.

- Pani zbliżyła się do łóżka?

- Nie. Od razu wybiegłam z pokoju.

- Przecież mogła być ranna i potrzebować pomocy. A pani już wiedziała, że ona nie żyje?

- Gdyby była ranna, też bym uciekła. Nie mogę patrzeć na krew. Jak kiedyś pani Moberg skaleczyła się w dłoń i zobaczyłam, że z ręki tryska czerwony strumień, od razu zemdlalam.

- No dobrze - oficer policji nie był zbyt zbudowany tym tłumaczeniem. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani przymierzała te klejnoty?

- Skąd pan wie?

- Policja dużo wie.

- Przed paru dniami weszłam do pokoju, żeby posprzątać, a pani Jansson jeszcze w nim była. Na stole stała kasetka. Pani Jansson zastanawiała się, co włożyć do tej niebieskiej garsonki, którą wtedy miała na sobie. Powiedziałam „jaka piękna bransoletka”. Wtedy pani Jansson pokazała mi wszystkie pierścionki i nawet pozwoliła mi włożyć je na palce.

- Czy mówiliście coś na temat tych klejnotów?

- Mówiłam, że to wielkie szczęście mieć tyle ładnych rzeczy. Pani Jansson najpierw się śmiała, a potem posmutniała. Powiedziała, że całe jej bogactwo przyszło za późno. Dodała, że kiedy była młodą dziewczyną, w moim wieku, to zamiast cieszyć się życiem, cierpiała nędzę i była stale głodna. Nie wiem, co miała na myśli.

- Bardzo się pani podobały te pierścionki?
 - Bardzo. Szczególnie ten z perłą.. Taki ładny.
 - Widziała pani kiedy ten młotek? - to mówiąc porucznik pokazał wyjęty z teczki duży młotek. Widniały na nim ciemne plamy.
- Dziewczyna nieco zbladła.
- To tym młotkiem - wyszeptała - panią Jansson...
 - Skąd pani to wie?
 - Bo... bo tu są plamy z krwi.
 - Gdzie ten młotek został kupiony?
 - Nigdy nie widziałem tego młotka. W willi są różne narzędzia, również parę młotków, ale tego tam nie było.
 - A co pani robiła przed południem?
 - Sprzątałam pokoje. Pomagałam w kuchni. Siedziałam w hallu.
 - Czy ktoś mógł wejść niepostrzeżenie do willi?
 - To wykluczone. Brama i furtka od szosy są zamknięte. Siatka ma przeszło dwa metry wysokości. Wejście od strony plaży też jest zamykane. A jeżeli nikt nie siedzi w hallu, drzwi wejściowe są zamknięte.
 - Ale z salonu i z jadalnego są drzwi na taras. Można wejść tamtędy.
 - Rano tych drzwi się nie otwiera. Goście jedzą śniadanie w swoich pokojach.
 - No to po południu mógł się tam ktoś zakraść. Czy w czasie obiadu drzwi z jadalnego na taras były otwarte?
 - Nie pamiętam. Chyba były.
 - A czy pani później je zamykała?
 - Nie. Ale w sąsiednim salonie państwo grali w brydża. Między salonem a jadalnią są szerokie, oszklone drzwi. Zresztą zwykle otwarte. Gdyby ktoś tamtędy chciał wejść, grający musieliby go zauważyć.
 - A zanim zaczęto grać w karty?
 - Sprzątałam w jadalni.
 - Cały czas, aż do rozpoczęcia gry?
 - No... nie.
 - Więc ktoś mógł wejść?
 - Jak by się dostał do parku?
 - Może przeskoczył przez siatkę; albo ktoś zostawił otwartą furtkę na plaży.
 - Ta furtka ma sprężynę. Zamyka się sama.

Magnus Torg widząc, że niczego więcej nie dowie się od dziewczyny, zwolnił ją i zaprosił na kolejne przesłuchanie panią Astrid Brands.

Właścicielka pensjonatu wyjaśniła, że przed południem niezbyt dobrze się czuła, więc większą część tego czasu spędziła w swoich pokojach. Parę razy jednak wychodziła, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie swoim trybem. Schodziła na dół do kuchni, wydała kucharce kilka poleceń dotyczących obiadu i kolacji. Zajrzała również do innych pomieszczeń na parterze, aby zobaczyć, czy są posprzątane. Wiedziała, że jej pensjonariusze są na plaży, ale żadnego z nich nie widziała. Nie widziała też pani Jansson.

- Czy pani Jansson zawsze jadła obiady na górze?

- Raczej stale. Chyba tylko pierwszego dnia po przyjeździe zjadła obiad na dole. Zaraz potem przyszła do mnie i prosiła, aby przysyłać jej posiłki na górę.

- Czy podała powód tego dość dziwnego żądania?

- Mówiła, że jest bardzo wyczerpana nerwowo i sam widok ludzi źle na nią wpływa.

- Czy pani to nie zdziwiło?

- Właściciel pensjonatu nie dziwi się niczemu. Z iloma to najrozmaitszymi życzeniami przychodzą do mnie moi klienci...

- Ale na kolację pani Jansson schodziła?

- Także chciała, żeby jej nosić na górę, ale sprzeciwiłam się temu. W moim pensjonacie panuje zwyczaj, że kolację jadamy wszyscy razem. Wytłumaczyłam pani Jansson, że nie można tak się odgradzać od ludzi. Gotowi byliby uważać ją za wariatkę. Niechętnie, ale zgodziła się na to.

- Czy pani może mi powiedzieć coś o zwyczajach pani Jansson?

- Powiedziałabym, że była bardzo „dzika”. Nie brała udziału w ogólnej rozmowie. Na pytania odpowiadała jak najkrócej. Zaraz po skończonym posiłku wstawiała i wychodziła z jadalni.

- Czy ktoś ją odwiedzał?

- Nic o tym nie wiem.

- A ona?

- Prawie stale przebywała poza domem. Zaraz po śniadaniu wychodziła.

- Czy pani wie dokąd?

- Czasami na spacer. Plażą wzdłuż morza. Ale najczęściej jechała do Malmö albo do Kopenhagi.

- Nie wie pani, w jakim celu?
- Może do swojej firmy? Mają przecież filie w Kopenhadze.
- Czy często telefonowano do niej?
- Były telefony. Głównie od syna ze Sztokholmu. Ona też często dzwoniła.
Może słyszała pani jakąś rozmowę? Astrid Brands oburzyła się:
Nie podsłuchuję rozmów moich gości.
Czasami można przypadkowo coś usłyszeć.
- Nie zwracałam uwagi. Mogę jedynie powiedzieć, że niektóre rozmowy prowadzone były w innym języku.
- W jakim? Może po fińsku?
- Nie. Często goszczę tutaj Finów i jestem osłuchana z tym językiem.
- Angielski? Niemiecki?
- Nie. Także nie francuski i nie włoski czy hiszpański. Jakiś język o twardych wyrazach. Wielu z nich rodowity Szwed w ogóle nie potrafiłby wymówić.
- Czy goście telefonując zapisują numery, z którymi się łączą?
- Nie.
- To jak pani rozlicza się z nimi za te rozmowy?
- Wcale się nie rozliczam. Ewentualne rozmowy wkalkulowane są już w cenę pokoju.
- Ooo? - zdziwił się oficer policji.
- To jest nawet dobry chwyt reklamowy: „telefony darmo”.
- Ale czy to się pani opłaca?
- Na pewno. Moi goście przyjeżdżają tu, aby wypoczywać, a nie żeby godzinami rozmawiać przez telefon. Większość drogich, ekskluzywnych pensjonatów stosuje ten system.
- Jak pani myśli, czy ktoś mógł zakraść się niepostrzeżenie do willi? Rano albo po obiedzie?
- Nie. Raczej wykluczone. Z reguły drzwi są zamknięte albo Lilljan siedzi w hallu. Wszyscy goście mają swoje klucze. Zarówno od furtki w ogrodzeniu parku, jak i od domu. Zamki są dobre, drzwi zamykają się automatycznie.
- Wróćmy do wydarzeń po południu. Co pani robiła po obiedzie? Czy pani jadła razem z gośćmi?
- Nie. Bardzo rzadko jadam z nimi obiad. Najczęściej jem w kuchni razem z panią Moberg i z Lilljan. Nieco wcześniej. W ten sposób zawsze mogę jeszcze

interweniować, jeżeli coś nie jest w porządku. Taki interes jak pensjonat, wymaga nieustannego dozoru. Czego się samemu nie dopatrzy, nie będzie dobrze zrobione. Proszę tego nie zrozumieć jako wyrzutu pod adresem służby. Przeciwnie, uważam, że mam bardzo dobrą pomoc. Lilljan jest pracowita, a pani Moberg pracuje u mnie już siedem lat. Doskonale gotuje. Również za uczciwość ich obydwu mogę ręczyć.

- Gdzie pani była w czasie wydawania obiadu?

- Najpierw w kuchni, później wróciłam do siebie na górę. Trochę odpoczęłam, następnie przebrałam się i około czwartej wyszłam z domu. Wtedy w hallu siedziała Lilljan. Zamieniłam jeszcze parę słów z doktorem Nilerudem, a potem chyba z panem Hardingiem. Wiem, że obydwaj mieli grać w karty z państwem Tuveesson. Z przystanku autobusowego w Bjarred pojechałam do Lund. Kierowca musi mnie pamiętać, bo wóz był prawie pusty. Na tamtym przystanku wysiadło nas tylko troje. W Lund byłam u moich znajomych. Proszę, tu jest ich dokładny adres i telefon. Odprowadzili mnie do autobusu. Dziesięć minut po ósmej znalazłam się tu z powrotem. Lilljan czekała na mnie z podaniem kolacji. Potem wszyscy byliśmy razem aż do chwili, gdy usłyszeliśmy krzyk pokojówki na górze.

- Czy pani zna swoich gości?

- O tyle, o ile. Najdłużej znam pana Hardinga. Był przyjacielem mojego nieżyjącego męża. To właśnie pan Harding mnie namówił na założenie tutaj pensjonatu i nadanie mu nieco oryginalnego charakteru. Różnimy się jedynie poglądami na motoryzację, ale uważam, że i ten mój chwyt, zakaz parkowania samochodów na terenie zakładu, jest niezły. Ostatecznie przyjeżdżają do mnie ludzie raczej w średnim wieku, tacy, którzy chcą naprawdę odpocząć, a nie bawić się. Trafiają się czasem wyjątki. Na to nie ma rady. Pan Harding prowadzi duże interesy w stolicy. Przyjeżdża raz albo dwa razy w roku. Zwykle w maju lub w październiku, gdyż w pełni sezonu budowlanego musi pilnować swojego przedsiębiorstwa.

- A inni?

- Pan doktor Nilerud był już przedtem dwa razy. On również nie przyjeżdża w pełni sezonu. Woli odpoczynek wówczas, kiedy w Lommie nie ma tłoku. Pan Gustaw Dalin jest tu pierwszy raz, ale korespondując ze mną powołał się na naszego wspólnego przyjaciela. Niechętnie przyjmuję ludzi, o których nic nie wiem. Mój zakład ma wyrobioną renomę i nie chcę jej stracić.

- A państwo Tuveessonowie?

- Znałam ich, a właściwie jego, jeszcze z czasów, kiedy mieszkałam w

Góteborgu. Ale tutaj są pierwszy raz. Także pierwszy raz goszczę panią Lindner. W pełni sezonu może wolałabym mieć na jej miejscu kogoś innego, lecz sam pan rozumie, że w początkach czerwca nie można zbyt przebierać. Zresztą, od razu zastrzegam się, że nie mam jej nic do zarzucenia.

- A pani Jansson?

- Mieszkała u mnie przed dwoma laty. Ta firma nie potrzebuje oczywiście żadnych rekomendacji. Pamiętam, że przyjechał wtedy do mnie dyrektor filii z Kopenhagi. Szukał na wybrzeżu czegoś odpowiedniego dla swojej szefowej i ktoś mu wskazał w Lommie mój pensjonat. Obgadaliśmy wszystko i w kilka dni później zjawiała się pani Maria.

- Czy wtedy, dwa lata temu, była równie, jak to pani mówi, „dzika”?

Pani Brands zastanowiła się chwilę.

- Nie. Wprawdzie było to zaledwie półtora roku po śmierci jej męża, ale pani Jansson wówczas była w dużo lepszej formie niż ostatnio. Nie stroniła od ludzi, chodziła z nimi na plażę. Urządzano różne wycieczki, a nawet pewnego razu pani Maria zorganizowała małe przyjęcie.

- Kto brał w nim udział?

- Przyjechał jej syn i ten dyrektor z Kopenhagi oraz wszyscy mieszkańcy pensjonatu. Było bardzo przyjemnie.

- Więc pani uważa, że Maria Jansson zmieniła się w ciągu tych dwóch lat nieobecności w Lommie?

- Tak. Tym razem była zupełnie inna. Jak niebo i ziemia.

- Z kolei przed oficerem policji usiadł Egil Tuveson. Wyjaśnił, że jest kapitanem żeglugi wielkiej i obecnie pływa jako pierwszy oficer na wielkim statku regularnej linii utrzymującej łączność pomiędzy portami Europy i Australii. Po obiedzie oboje małżonkowie wrócili do swojego pokoju. Pani Tuveson położyła się, bo od rana narzekała na silny ból głowy, i zaraz zasnęła. On czytał książkę. Ponieważ umówili się na brydża o godzinie czwartej, więc pięć minut przedtem obudził żonę. Zanim jednak pani Klara była gotowa, upłynęło piętnaście minut, tak że zeszli na dół już po terminie. Jeszcze teraz jest mu bardzo przykro z powodu tego spóźnienia.

- Graliście w bibliotece?

- Nie. W salonie. Tam jest wygodniej.

- Czy drzwi do pokoju stołowego były otwarte?

- Tak. Na pewno, bo sam wychodziłem, żeby napić się wody sodowej.

Z tego miejsca, gdzie siedzieliście, widać hall?

Widać. Również i drzwi wejściowe.

- Nikt nie wchodził lub wychodził w tym czasie, gdy siedzieliście przy kartach?

- Nie. Nikt. Dopiero po ósmej przysłała nasza gospodyni, pani Brands.

- Az grających nikt nie opuszczał salonu?

- Było gorąco, a nawet parno. W sąsiednim pokoju stał saturator. Prawie każdy chodził tam łyknąć trochę wody. Żona wychodziła też do łazienki.

- Na górę, do swojego pokoju?

- Po co? Wszystkie urządzenia sanitarne są również na parterze. Na górę nikt nie wchodził.

- Przypomina pan sobie to dokładnie?

- Jak najbardziej.

- Czy pan znał Marię Jansson?

- Nie. Zobaczyłem ją po raz pierwszy dopiero tutaj. Nawet nie wiedziałbym, kim jest ta pani, gdyby nie nasz nieoceniony telegraf bez drutu, *fróken* Lilljan.

- Rozmawiał pan z panią Jansson?

- Kilka razy. Pewnego dnia wyszliśmy z żoną na spacer i spotkaliśmy się na plaży aż za Bjarred. Zarówno Klara, jak i ja bardzo lubimy długie, piesze wycieczki. Rzadko mogę sobie na nie pozwolić. Właśnie na takiej większej wycieczce natknęliśmy się na panią Jansson. Razem wracaliśmy do pensjonatu.

- Czy pamięta pan, o czym rozmawialiście?

- Doskonale pamiętam. Pani Jansson była inteligentną i miłą kobietą.

Wypytywała mnie szczegółowo o moją karierę marynarską. Nadmieniła też, że jej firma właśnie obstałowała nowy, duży tramp. Gdybym chciał objąć jego dowództwo, to żebyśmy porozumiał się z centralą w Sztokholmie. Zapisałem adres.

- Przyjął pan tę propozycję?

- Ani nie przyjąłem, ani nie odrzuciłem. O tym nie można zdecydować w ciągu kilku minut. Zresztą oferta nie była ani zbyt konkretna, ani oficjalna. Ot, po prostu propozycja do dalszej dyskusji. Powiem szczerze, że raczej bym ją przyjął. Z jednej strony byłoby to dowództwo statku, teraz jestem pierwszym oficerem, to jednak różnica. Z drugiej zaś strony sprzykrzył mi się już ten stały spacer do Australii i z powrotem. Tramping jest bardziej urozmaicony. Człowiek ma możliwość wykazania się. Większa odpowiedzialność, ale i większa satysfakcja oraz, co nie jest

bez znaczenia, większe dochody. Pani Jansson zastrzegła się, że jeszcze powróci do tego tematu.

- Nie uderzyło pana nic w tej kobiecie?

- Przede wszystkim język. Mówiła doskonale po szwedzku. Literackim językiem. Była bardzo odczytana w szwedzkiej literaturze, znała historię, ale mogę się założyć, że nie urodziła się Szwedką.

- Akcent?

- Nawet nie. Zresztą w Szwecji jest wiele różnych akcentów. Inaczej mówią w Skanii, inaczej na północy. Raczej sposób wyrażania się. Używanie wyrazów, których Szwed w danej okoliczności by nie powiedział. To wszystko robiło wrażenie, że język ten jest wyuczony, a nie ojczysty.

- Czy pytał pan o to?

- Nie. To przecież prywatne sprawy tej pani.

- Pani Jansson podobno raczej unikała towarzystwa?

- Tak. Nawet pani Brands tłumaczyła nam, że jej nowy gość jest niezbyt zdrowy i dlatego nosi mu się obiady na górę. Tym bardziej byłem zdziwiony, kiedy na wycieczce pani Jansson okazała się przyjemną, wesołą kobietą, jak to się mówi, dobrym kumplem. Zaproponowała nam, żeby za parę dni wybrać się gdzieś dalej we trójkę. Tragiczne wydarzenia w środę oczywiście przekreśliły te plany.

- A tutaj, w pensjonacie, jak się pani Jansson zachowywała?

- Była bardzo nierozmowna. Schodziła wprawdzie na dół na kolację, ale zaraz po posiłkach wracała do siebie. Przy innych spotkaniach ograniczała się tylko do wymiany pozdrowień, a najwyżej paru konwencjonalnych słów o pogodzie.

- A innych gości pensjonatu pan znał?

- Nie. Z dawnych lat znałem tylko panią Brands. Kiedy dowiedziałem się, że prowadzi pensjonat w Lommie, a przeczytałem anons w jakiejś gazecie, przyjechaliśmy tutaj. Dopiero na miejscu zorientowałem się, że to taki wytworny i drogi zakład. Ale nie mieliśmy zamiaru wycofywać się. Ostatecznie raz na kilka lat można zabawić się w milionerów. Tak rzadko mamy okazję być z żoną sam na sam.

Klara Tuveesson całkowicie potwierdziła zeznania męża. Nikt przez cały czas gry w karty nie wychodził z pensjonatu. Nikt z grających nie udawał się na górę. Również i pokojówka nie pokazała się w hallu.

Pan Dalin szczegółowo opowiedział, jak najpierw spacerowali trochę z panią Norą Lindner po Lommie. Jego towarzyszka załatwiła parę drobnych sprawunków.

Potem pisała i wysyłała pocztówki. Z domu wyszli około wpół do czwartej. W hallu widzieli Lilljan. Siedziała tam i coś czytała. Po spacerze pan Dalin zaproponował, żeby wstąpić do tej małej knajpki, która znajduje się w Lommie na rogu Strandvagen i Fiskaregatan. Ale kiedy weszli do restauracji, oboje stwierdzili, że są głodni. Wobec tego kawa zamieniła się w podwieczorek. Wypili po dwa kieliszki polskiej wódki. Takiej, gdzie w butelce pływa jakaś trawa i która nazywa się „Bizon brandy”. Tak się zasiedzieli, że opuścili lokal dopiero wtedy, kiedy wiszący na ścianie zegar z kukułką wykukał wpół do ósmej. Już zaczynały się pierwsze błyskawice i zerwał się dość silny wiatr. Na szczęście szli z wiatrem, więc śpiesząc się zdążyli przed samą ósmą do pensjonatu. Na górę ani pan Dalin, ani jego towarzyszka nie wchodzili. W salonie jeszcze grano, więc trochę kibicowali brydżystom. Najlepiej gra pan Harding. Gdyby nie miał swojego przedsiębiorstwa budowlanego, mógłby równie dobrze żyć z gry w brydża.

- Czy pan zna kogoś z gości pensjonatu?

- Nie. Nikogo. Jestem tu pierwszy raz, ale uważam że to bardzo dobry zakład, a towarzystwo jest odpowiednie i miłe. Zwłaszcza pani Lindner i pan Harding. Znajomość z panem Hardingiem może się przydać. Rozmawialiśmy niedawno o pewnych projektach inwestycyjnych w Kalmarze. Są szanse, że coś z tego wyjdzie. Tak więc pobyt w Lommie może okazać się nie tylko miłym odpoczynkiem w towarzystwie interesujących ludzi, ale również dobrym biznesem.

Pan Dalin wyjaśnił jeszcze, że pani Marii Jansson nie znał. Oczywiście, jako bankowiec jest zorientowany, co to za firma „Erik Jansson i syn”. Jego kontakty z tą panią ograniczały się do paru zdawkowych jedynie słów, wymienianych przy spotkaniach na schodach lub w jadalni.

- Co pan robił po obiedzie?

- Poszedłem na górę. Trochę odpoczywałem, a później przebrałem się i zszedłem na pierwsze piętro po panią Lindner.

- Nie doszły pana jakieś odgłosy z sąsiedniego pokoju?

- Nie. W ogóle na akustykę w pensjonacie pani Brands nie może narzekać. Dom jest bardzo solidnie zbudowany.

- A może słyszał pan, że ktoś wchodził lub schodził po schodach?

- Nie. Pamiętam, że z pokoju jadalnego najpierw wyszedł pan doktor Nilerud. W parę minut po nim państwo Tuvesson. Myśmy, to znaczy pani Nora i pan Harding, trochę dłużej siedzieli przy stole i jednocześnie opuściliśmy pokój. Pani Lindner

poszła na pierwsze piętro do siebie, zaś my dwaj na drugie. Potem w całym domu panowała kompletna cisza.

Nora Lindner potwierdziła zeznania swojego towarzysza. Panowie Harding i Nilerud również kategorycznie twierdzili, że w czasie gry w karty nikt z całej czwórki nie wychodził na górę. W ogóle nikt nie wychodził ani nie opuszczał pensjonatu. Pod tym względem wszystkie zeznania były całkowicie zgodne. Pan Harding zapamiętał nawet, że pani Nora i jej towarzysz wrócili równo za pięć ósma. Był wtedy wychodzącym i żartował, że jeszcze pięć minut, a ta dwójka nie dostałaby kolacji.

Dyrektor policji, który siedział nieco za swoim podkomendnym, uważnie przysłuchiwał się tym zeznaniom. Kiedy ostatni z przesłuchiwanym opuścił bibliotekę, *polismastare* powiedział z sarkazmem:

- Po raz pierwszy zetknąłem się z tak ciekawym wypadkiem. Najpierw ktoś pozbywa się klejnotów wartości kilku tysięcy koron, potem popełnia samobójstwo rozbijając sobie głowę młotkiem. I na dodatek osobiście chowa ten młotek pod tapczan!

Historia pewnej kariery

Dyrektor policji postanowił, że *forste kriminalassistent* Magnus Torg wraz z dwoma swoimi pomocnikami, zamieszka w Lommie, w pensjonacie pani Astrid Brands. Ułatwi to prowadzenie dochodzenia. Łączność z Lund, oddalonym o przeszło dziesięć kilometrów, utrzymywana będzie przez telefon, ewentualnie przez radio. Tym razem pani Brands nie mogła oponować, że samochód z napisem „*Polis*” na stałe umieścił się przed frontem jej pałacyku. Porucznik wybrał na swoją 3iedzibę jeden z pokoi na parterze. Dwaj *konstaple* otrzymali pokój na drugim piętrze.

Już o siódmej rano przed bramą pensjonatu kłębił się mały tłumek. Na Strandvagen stało kilkanaście samochodów. To dziennikarze z Malmo, z pism prowincjonalnych wychodzących w takich miastach, jak na przykład Ystad, także z Goteborgu, a nawet ze Sztokholmu, usiłowali dowiedzieć się czegoś na miejscu zbrodni. Nic dziwnego! Zabójstwo Marii Jansson, jednej z najbogatszych kobiet Szwecji, musiało wzbudzić ogólnokrajową sensację.

Pani Astrid Brands była jednak nieubłagana. Furtkę zamknięto na wszystkie spusty, wynajęty zaś w przewidywaniu tego najazdu portier - syn jednego z miejscowych rybaków - flegmatycznie informował dobijających się do drzwi

dziennikarzy, że nikomu nie otworzy i nikt nie otrzyma informacji.

Kiedy przed dziewiątą rano sytuacja pod bramą stała się krytyczna, Magnus Torg interweniował u właścicielki pensjonatu.

- Na miejscu pani wpuściłbym tych ludzi, a nawet poczęstował filiżanką kawy. Przecież są to przedstawiciele prawie całej prasy szwedzkiej, a także dziennikarze duńskich czasopism z pobliskiej Kopenhagi. Prasa to potęga i niebezpiecznie z nią zadzierać. Wprawdzie nie wejdą do środka, ale tak panią opiszą i wyśmieją, że to może źle odbić się na interesach pensjonatu. Natomiast okazanie im życzliwości zrobi pani reklamę. Notabene reklamę, która nie będzie kosztowała ani grosza.

- Będą biegali, fotografowali i moim gościom nie dadzą chwili spokoju. A potem w tych swoich brukowcach przekręcą wszystkie fakty.

- Można z nim popertraktować, aby nie wymieniali nazwisk pani pensjonariuszy, i wydać im na pastwę Lilljan. Dziewczyna ładna, więc chętnie będą ją fotografowali i robili z nią wywiady. Przecież to ona znalazła panią Jansson bez życia w pokoju na drugim piętrze. A zdjęcia tego elegancko urządzonego pokoju, jak też zdjęcia pałacyku i dobrze utrzymanego parku na pewno pani nie zaszkodzą. Na reklamę wydaje pani sporo koron. Teraz dziennikarze zrobią znacznie lepszą za filiżankę kawy. To nie jest bez znaczenia.

Porucznik wiedział, jakich użyć argumentów wobec właścicielki pensjonatu. Jeszcze się namyślała, jeszcze wysuwała jakieś obiekcje, ale właściwie była już przekonana.

- Pan z nimi załatwi, żeby nie pętali się po całym domu?

- Dobrze. Tylko w salonie i wejście na drugie piętro do pokoju pani Jansson. A co do gości, pokażemy im najwyżej pana Hardinga i doktora Nileruda. Obaj na pewno nieraz mieli do czynienia z dziennikarzami, tak że i teraz poradzą sobie z nimi.

Obydwaj mężczyźni nie mieli żadnych zastrzeżeń do kontaktów z prasą. Oficer policji poszedł w stronę bramy. Dziennikarze poznali go z daleka. Przedstawiciele pism wychodzących w Skanii w dość dosadnych słowach krytykowali metody, jakich używa policja z Lund, nie dopuszczając prasy na miejsce przestępstwa.

- Ależ panowie się mylą! Bardzo chętnie odbędę z nimi konferencję i podzielę się wszelkimi wiadomościami. Zastrzegam, że jest tego niewiele. Również pani Brands chętnie udostępni wam cały swój pałacyk.

- To dlaczego trzymacie nas pod bramą? - denerwował się dziennikarz z „Sydsvenska Dagbladet”.

- Jest jedna mała przeszkoda. Pensjonat jest czynny i ma sporo gości. Interes jest interesem. Pani Brands obawia się, że wasza wizyta wypłoszy jej klientów. Wytłumaczyłem jej, że panom chodzi jedynie o kilka zdjęć willi z zewnątrz, opis pomieszczeń parterowych i pokoju, w którym mieszkała biedna pani Jansson. A poza tym chcecie zobaczyć pokojówkę i z nią porozmawiać, bo ona znalazła zwłoki, oraz z tymi dwoma pensjonariuszami, którzy pierwsi zabezpieczyli miejsce przestępstwa i zawiadomili policję. Wszak prawda?

- Dobrze, dobrze. To nam na razie w zupełności wystarczy.

- Więc proszę. Najpierw chodźmy do salonu, gdzie przy filiżance kawy omówimy całą sprawę.

Portier otworzył bramę i dziennikarze dosłownie wpadli do środka. Raz po raz pstrykały aparaty fotograficzne. W hallu niezbyt proszonych i nie bardzo pożądaných gości witała pani Brands. Dla każdego miała jakieś miłe słowo i uśmiech. Chętnie pozowała do zdjęć. Kiedy już wszyscy umieszcili się w salonie, do którego ściągnięto krzesła z jadalni i nie zamieszkałych pokoi, *fróken* Lilljan wniosła wielką tacę z kawą. I tak musiała obrócić trzykrotnie, zanim obdzielila przybyszy. Teraz głos zabrał Magnus Torg. Przedstawił przebieg wypadków w dniu zbrodni tak, jak to ustalił na podstawie przesłuchania mieszkańców willi. Podkreślił też, że według świadectwa lekarza policyjnego, śmierć pani Jansson nastąpiła w środę między godziną piątą a siódmą wieczorem. Pokazał dziennikarzom młotek - narzędzie mordu. Znowu fotografowie pracowali z zapalem.

- A teraz - porucznik zakończył swój mały referat - oto panna Lilljan, która pierwsza znalazła zwłoki i pierwsza narobiła alarmu.

Dziewczyna bynajmniej nie była spłoszona. Podobała jej się główna rola w tym małym przedstawieniu. Chętnie pozowała do zdjęć i jeszcze chętniej udzielała informacji. Wielokrotnie musiała powtarzać, jak to weszła do ciemnego pokoju na drugim piętrze i po zapaleniu światła zobaczyła makabryczny widok. Panią Jansson leżącą na łóżku, oblaną krwią.

Na prośbę dziennikarzy *fróken* Lilljan wszystko to zademonstrowała w pokoju na drugim piętrze. W dwa dni po tragicznych wypadkach już się nie bała. Ciało pani Jansson zostało zabrane do prosektorium, a cały pokój dokładnie sprzątnięty.

Pani Astrid Brands, asystująca dziennikarzom, zrezygnowała zwrócić ich uwagę na

luksusowe wyposażenie nie tylko tego pokoju, ale całego pensjonatu i jego bardzo dogodne położenie w dużym parku, cofniętym od ruchliwej szosy. Pomysł zrobienia sobie darmowej reklamy, rzucony jako argument przez Magnusa Torga, padł na żyzną glebę. A dziennikarze, pragnący jak najwięcej napisać o sensacyjnym morderstwie, chętnie notowali. Jest rzeczą jasną, że czytelnik chętniej przeczyt o znalezieniu zwłok w luksusowym pokoju, niż na przykład, na stercie siana w polu.

Doktor Nilerud także szczegółowo relacjonował prasie swoją rolę w tych strasznych wydarzeniach. Podkreślał, że jako lekarz chciał ratować życie pani Jansson. Niestety, na wszelką pomoc było za późno. Nie omieszkał przypomnieć, jaka była tego dnia pogoda, i że obaj z panem Hardingiem byli gotowi maszerować cztery kilometry na posterunek policji w burzę i podczas gwałtownego bicia piorunów, Musieli jednak tego zaniechać, ponieważ reszta mieszkańców pensjonatu kategorycznie sprzeciwiła „sic. tak szaleńczej eskapadzie.

Lekarz z Uppsali miał tylko jedno zastrzeżenie. Prosił, żeby go nie fotografowano. Po prostu nie chciał być posądzonym przez swoich kolegów, że się reklamuje. Zabrania tego etyka lekarska. Przeto bardzo prosi... Dziennikarze nie omieszkali w swoich notesach zapisać paru słów o skromności *rattslakare*. Tych hamulców nie miał natomiast pan Harding, który dał się sfotografować. Miał poza tym okazję zaprezentować się jako poważny przemysłowiec ze Sztokholmu, prowadzący wielkie roboty budowlane. To również zostało zapisane.

Magnus Torg mimochodem wspomniał, że ma pewne koncepcje na temat osoby mordercy, ale sprawa jest bardzo trudna i skomplikowana, a jej rozwiązanie może potrwać dłuższy czas. Więc żeby prasa wszystko zrozumiała i nie okazywała zniecierpliwienia. Z pomocą niezastąpionej Lilljan porucznik podał też dziennikarzom dokładny opis zrabowanych klejnotów.

Oficer policji uznał bowiem, że powinien skorzystać z najazdu prasy na Lommę. W ten sposób wszyscy jubilerzy w Szwecji i w Danii zostaną znacznie lepiej ostrzeżeni przed kupnem zrabowanej biżuterii i zobowiązani do zawiadomienia policji o próbach rzucenia kosztowności na rynek, niż by to zrobił specjalny komunikat dyrekcji policji w Lund.

Na ogół dziennikarze byli zadowoleni. Każdy z nich zdobył jakąś drobną wiadomość wyłącznie dla siebie. Taką, jakiej nie będzie miał konkurent. Znający zwyczaje prasy, Magnus Torg czuwał na tym, żeby każdemu podać dodatkowo inne szczegóły swoich spostrzeżeń.

Pani Brands musiała przyznać, że dziennikarze nawet nie próbowali złamać umowy zawartej pod bramą z oficerem policji. Nie zajrzeli do żadnego pokoju zamieszkałego przez gości pensjonatu, ani też nie usiłowali zamienić z nimi choćby jednego słowa.

Po półtoragodzinnej wizycie dziennikarze opuścili willę przy Strandvagen. Ustalono, że następne informacje będą otrzymywali telefonicznie od Magnusa Torga, albo w dyrekcji policji w Lund lub na posterunku w Lommie.

- No, odbyło się bezboleśnie - zauważyła pani Brands, kiedy ostatni z przedstawicieli prasy opuścił jej dom.

- Tylko dlatego - uśmiechnął się porucznik - że na Bliskim Wschodzie dzieją się rzeczy znacznie ważniejsze i one zajmą miejsca na pierwszych stronach gazet. W przeciwnym razie nie wykręcilibyśmy się tak lekko sianem.

W niecałą godzinę później przed bramą pensjonatu zatrzymało się piękne sportowe volvo. Wysiadł z niego mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Wysoki blondyn o niebieskich oczach. Ubrany był z tą niedbałą elegancją, jaka cechuje ludzi mogących pozwolić sobie na obstalowanie garnituru u drogiego krawca. Na dźwięk nazwiska „Helmer Jansson” portier bez słowa szeroko otworzył bramę. Volvo powoli wtoczyło się do środka i zatrzymało obok stojącego tu policyjnego wozu. Pani Brands witała nowego gościa.

- W jakich strasznych okolicznościach spotykamy się znowu. Niech pan przyjmie wyrazy jak najszerszego współczucia.

- Nigdy sobie nie daruję, że przyjechałem tak późno. Niestety za późno. Ale w związku z sytuacją międzynarodową moja obecność w centrali firmy wydawała mi się konieczna. Myślałem, że wieści, jakie otrzymywałem od matki, to zwykle kobiece nerwy. Niestety...

- Panie poruczniku - przedstawiała pani Brands - pan Helmer Jansson, syn pani Marii. *Forste kriminalassistent* Magnus Torg, mianowany *utredningsmanem* w tej smutnej sprawie. A to pan doktor Nilerud z Uppsali.

- Panowie uścisnęli sobie ręce.

- Pani depezę otrzymałem dopiero wczoraj po południu - wyjaśnił przybyły. - Ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Pośpiesznie załatwiłem sprawy nie cierpiące zwłoki i od rana pędzę tutaj swoim wozem. Jak to się stało?

Oficer krótko opisał przebieg wydarzeń. Jansson słuchał uważnie nie zadając żadnych pytań. Kiedy porucznik skończył, dyrektor Jansson zauważył:

- Na drugi dzień po przyjeździe do Lommy matka zatelefonowała do mnie. Była dziwnie zdenerwowana. Prosiła, żebym przyjechał, bo chce mi powiedzieć o jakiejś bardzo ważnej sprawie. Z trudem jej wytłumaczyłem, że w momencie kiedy sytuacja międzynarodowa jest zagmatwana i stoimy w obliczu wybuchu wojny, która w każdej chwili może przekształcić się w zawieruchę światową, muszę czuwać nad interesami naszej firmy. Tym bardziej że zostałem sam. Zdawało mi się, że zrozumiała, ale za dwa dni znowu miałem od niej telefon.

- Czy mówiła, że grozi jej niebezpieczeństwo?

- Za pierwszym razem nic o tym nie wspominała. W tej drugiej rozmowie napomknęła o tym zupełnie wyraźnie. Nadal byłem przekonany, że to tylko kobiece nerwy, bo matka była bardzo przepracowana i ciągnęła ostatkiem sił. Niemniej poradziłem jej, żeby zwróciła się do policji lub wynajęła prywatnego detektywa dla ochrony. Przynależem jej też, że postaram się przyjechać choć na jeden dzień, w niedzielę.

- Czy potem jeszcze dzwoniła?

- Tak. W dalszym ciągu była niespokojna, ale rozmowa dotyczyła głównie interesów naszej firmy. Prosiłem matkę, aby korzystając z tego, że jest w Malmb, wybrała się do Kopenhagi i załatwiła pewne sprawy naszej filii.

- Czy to wykonała?

- Tak. Matka dwukrotnie jeździła do stolicy Danii.

- Czy mówiąc o tym niebezpieczeństwie pani Jansson jakoś je precyzowała?

- Powiedziała jedynie, że ma pewne podejrzenia. Jeśli się nie myli, to jej życiu może zagrażać niebezpieczeństwo.

- Czego to dotyczyło?

- Matka była w Oświęcimiu, a później w Ravensbriick. Straciła całą rodzinę. Jak wielu ludzi, którzy spędzili kilka lat w tym piekle, jakim były hitlerowskie obozy koncentracyjne, miała pewien uraz. W co drugim Niemcu widziała zbrodniarza wojennego. Ostatnio wiele się naczytała o oprawcach z Oświęcimia i różnych wiadomości o ukrywających się hitlerowcach. To wszystko źle wpłynęło na stan jej nerwów. Właściwie od śmierci ojca, to znaczy od czterech lat, nie odzyskała równowagi psychicznej. W tej sytuacji wydawało mi się, że spotkała tu gdzieś jakiegoś Niemca i skojarzyła go sobie z którymś z jej dawnych prześladowców. Wtedy myślałem, że to nerwy, teraz jestem skłonny przypuszczać, że była to prawda. Nigdy sobie nie wybaczę, że nie rzuciłem wszystkiego i natychmiast nie

przyjechałem do Lommy. Być może nie doszłoby do tragedii.

- Gdyby to był zbrodniarz hitlerowski, który poznał swoją ofiarę, raczej by od razu uciekł, a nie włamywał się do willi, aby zrabować klejnoty i zamordować ich właścicielkę.

- Nie wiem - przyznał dyrektor. - Nic nie rozumiem. Przecież to wykluczone, żeby w Szwecji, w dwadzieścia dwa lata po wojnie, działy się takie rzeczy.

- Może pan mi coś opowie o swojej matce. Wiemy, że była w Oświęcimiu, bo miała na ręku wytatuowany numer, ale nic poza tym. Jak to się stało, że hitlerowcy zesłali do obozu koncentracyjnego obywatelkę neutralnego państwa?

- Moja matka była Polką - wyjaśnił Helmer Jansson. - Aresztowano ją i wywieziono z całą rodziną do Oświęcimia w lutym 1942 roku. Tam, od razu na rampie, wszystkich prócz Marii skierowano do komory gazowej. Do Szwecji dostała się dopiero w ostatnich miesiącach wojny. Wtedy była już w Ravensbruck, kiedy na interwencję Folke Bernadotte Himmler zgodził się na ewakuację kilku tysięcy więźniarek z Ravensbriick i więźniów z innych obozów. To była bardzo głośna akcja. Całe społeczeństwo szwedzkie pośpieszyło wtedy z pomocą tym ludziom. Większość z nich wymagała długiego leczenia. Później więźniowie powracali do swoich krajów ojczystych. Najwięcej wśród nich było

- Polaków. Część pozostała jednak w Szwecji. Głównie kobiety, które znalazły mężów wśród obywateli szwedzkich. Jedną z nich była właśnie matka.

- Przepraszam - wtrącił Magnus Torg - to było dwadzieścia dwa lata temu. A przecież pan jest dużo starszy.

Jansson uśmiechnął się lekko.

- Rzeczywiście. Ciągle mówię „matka”, a zapomniałem wyjaśnić, że Maria była drugą żoną mojego ojca. Dla mnie była macochą, ale każdemu bym życzył takiej matki.

- Bajeczki o złych macochach dawno należy wyrzucić na śmietnik - zauważył oficer policji - zwykle one bardziej rozpieszczają i rozpuszczają swoje przybrane dzieci, aniżeli czynią to te, które je urodziły.

- Ma pan rację - przytaknął przybysz ze Sztokholmu. - Mój ojciec miał sklep z artykułami spożywczymi na Styrmansgatan, w pobliżu Karla Plan. Zachowaliśmy zresztą przez sentyment ten sklepik do dziś dnia, chociaż przynosi nam on jedynie sporo kramu, a prawie żadnych dochodów. Ale ani ojciec, ani później matka, nie chcieli nawet słuchać o likwidacji tego niepotrzebnego interesu. Kiedy po okresie

rekonwalescencji byli więźniowie obozów hitlerowskich opuszczali szpitale i domy wypoczynkowe, ci, którzy nie wracali do swojej ojczyzny, znajdowali pracę w różnych przedsiębiorstwach. W ten sposób Maria trafiła do nas. Dziewczyna nie miała nic, nie miała też gdzie mieszkać. Matka wzięła ją do naszego domu. Matka żyła jeszcze dwa lata, lecz prawie cały czas chorowała. Poza pracą w sklepie, Maria pielęgnowała ją z całym oddaniem i jednocześnie troszczyła się o małego chłopca - o mnie. Nawet lekcje odrabiała ze mną, co zresztą pomogło jej w opanowaniu języka tak, że mówiła jak rodowita Szwedka.

- To prawda - potwierdziła pani Brands - nigdy, ani przez chwilę nie pomyślałam, że pani Jansson może być urodzona gdzie indziej niż w Sztokholmie.

- Na łożu śmierci - ciągnął dalej dyrektor - matka uprosiła Marię, aby ta opiekowała się jej synem i poślubiła mojego ojca. Była to niewątpliwie duża ofiara ze strony młodej, dwudziestoletniej i bardzo ładnej dziewczyny, niemniej po śmierci matki Maria wyszła za mąż za mojego ojca. Był on od niej starszy o przeszło dwadzieścia lat. Dla mnie, jak już wspomniałem, była jak najlepszą matką. Dlatego tak ją nazywałem do dzisiejszego dnia, chociaż kobieta ta miała tylko jedenaście lat więcej ode mnie.

- Teraz wszystko rozumiem - stwierdził oficer policji.

- Jak to się często zdarza w takich razach, Maria szczerze przywiązała się do mojego ojca, chociaż, jak zaznaczyłem, na pewno nie wychodziła za mąż z miłości. Ale była zupełnie sama. Wszyscy jej krewni zginęli w czasie wojny. Nie miała do kogo i po co wracać. W ojcu znalazła podporę i opiekę. Znalazła też cel życia. Opiekę nade mną i przekształcenia naszego nędznego sklepiku w wielką, światową firmę.

- Nie do wiary!

- A jednak to fakt. Ta dziewczyna bez żadnego doświadczenia handlowego, bez odpowiedniego wykształcenia ekonomicznego, z chwilą, kiedy zamieniła ładę ekspedientki na kasę szefowej firmy, zmieniła się prawie z dnia na dzień. Szybko poznała tajniki prowadzenia sklepu spożywczego i zauważyła to, czego zazwyczaj ludzie nie umieją dostrzec. To, że chcąc dużo zarobić, trzeba dużo ryzykować. Dlatego kupować w hurtowni kilka ton cukru czy kilkadziesiąt kilogramów kawy, skoro lepiej sprowadzić do Szwecji cały statek z kawą i sprzedawać ją omijając wszystkie oczka pośrednictwa handlowego. Nie wiem, jakich używała argumentów, ale umiała przekonać ojca, że nie warto przez całe życie prowadzić małego sklepiku. Trzeba postawić na jedną kartę i albo mieć dużo więcej, albo bez żalu rozstać się z

tym, co się posiada. Bardzo szybko obok małego sklepu spożywczego pojawiła się początkowo niewiele większa firma „Erik Jansson i syn”. Tym synem byłem ja. Miałem wtedy równo dwanaście lat. Maria natomiast dwadzieścia trzy.

- Trudno uwierzyć - zauważył oficer policji.

- To wprost fantastyczne, zrobić taką karierę handlową. Nie można oczywiście pominąć w tym roli ojca, który był doświadczonym kupcem, znał rynek i miał możliwości kredytowe. Jednakże wszystkie większe interesy rodziły się w jej głowie. Najpierw cukier, kawa. Później wielki zakup węgla z Polski. Kupowała wszystko, co wtedy w Europie i w Ameryce można było kupić. A sprzedawała tam, gdzie można było najlepiej sprzedać. Sprzyjała jej doskonała koniunktura. Europa była wygłodniała i każdy towar był poszukiwany. Podatki w Szwecji były wówczas mniejsze niż obecnie. Dom handlowy „Erik Jansson i syn” rozrastał się z godziny na godzinę. Matka miała nadzwyczajne wyczucie interesu. Szybko też przerzuciła się na własny transport morski i zaczęliśmy zakładać filie w większych portach Europy i kontynentu południowoamerykańskiego. Firma rozwijała się. Ojciec był nominalnie naczelnym dyrektorem, ale przedsiębiorstwem kierowała Maria. Ojciec spełniał tylko rolę hamulca powstrzymującego żonę przed zbyt już wielkim ryzykiem.

- Słucha się tego jak bajki - powiedziała pani Brands.

- A jednak nasza firma ma dziś zasięg światowy i bynajmniej nie jest mitem. Przed czterema laty, po śmierci ojca, zostałem głową przedsiębiorstwa. Właściwie z woli Marii, bo większość akcji była zapisana na jej imię, a pozostały majątek ojciec podzielił w testamencie na dwie równe części. Przyznam jednak, że nie zrobiłem ani jednego większego posunięcia, zanim nie uzgodniłem go z matką. Ostatnie jej wspaniałe pociągnięcie, to zacarterowanie całej flotylii tankowców. To była bardzo niebezpieczna gra. Można się było na niej przewrócić, a jeżeli nie przewrócić, to w każdym razie stracić miliony. Sami państwo rozumiecie, co znaczy posiadanie tonażu do przewozu ropy w chwili, kiedy Kanał Sueski został zablokowany. I jak podskoczą w górę stawki na fracht morski. Znowu Maria wygrała. Tylko tej ostatniej gry nie umiała rozegrać.

- Pan wspominał, że pani Jansson nie miała nikogo z bliższej rodziny - zauważył porucznik.

- Ani z bliższej, ani z dalszej. Wiem o tym dobrze.

- Czy pana matka, tak już za pana przykładem będę nazywał zmarłą, jeździła dużo za granicę?

- Oczywiście. Przecież prowadziła ogromne interesy, rozrzucone po całej kuli ziemskiej.

- A bliżej, w Europie, gdzie bywała?

Wszędzie. Chociaż bardzo niechętnie jeździła do Niemiec. To ten uraz poobozowy. Wzdrygała się na dźwięk mowy niemieckiej. Niemcy, jak pan sam wie, mają zwyczaj dość głośnego zachowywania się. Zwłaszcza, kiedy są na urlopie za granicą. Matkę niesłuchanie to denerwowało.

- A w Polsce bywała? Odwiedziła może miejsce obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu?

- W Polsce też bywała. Niezbyt często. Parę razy jeździła tam na wypoczynek. Leczyła się w jakimś uzdrowisku. Jeździła na nartach w Zakopanem. Mieszkała też nad morzem.

- Komunistyczne władze Polski nie robiły jej trudności z uzyskaniem wizy?

- Nie. Skądże znowu! Przecież prowadziliśmy i prowadzimy duże interesy importowo-eksportowe z Polską. Matka miała bardzo dobre stosunki z ambasadą polską na Karlavagen. Bywała tam na przyjęciach dyplomatycznych, a także należała do Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Polskiej.

- A czy miała jakichś wrogów?

- Człowiek, który kieruje tak wielką firmą, musi mieć, jeżeli nie wrogów, to konkurentów i ludzi zawistnych. To przecież jasne.

- Czy pan podejrzewa kogoś?

- Absolutnie nie. Jedyne motyw zbrodni, jaki mi się nasunął, to zabójstwo matki przez ukrywającego się hitlerowca, którego mogła tu gdzieś spotkać. Już o tym wspomniałem.

- A rabunek klejnotów?

- Właśnie ten rabunek jakoś do tego nie pasuje. W ogóle dziwnie wygląda zabójstwo dla zdobycia kilku pierścionków i bransoletek wartości najwyżej siedmiu czy ośmiu tysięcy koron.

Oficer policji uśmiechnął się.

- Pan jest człowiekiem bardzo bogatym - zauważył - dla pana osiem tysięcy koron jest drobną sumką. Przyznaję, że dla przeciętnego Szweda też nie jest to fortuna, ale w każdym razie stanowi kilkumiesięczny zarobek. Zapewniam pana, że dla znacznie mniejszych kwot mordowano ludzi.

- Tak, to racja - przyznał pan Jansson. - Gdyby potrzebna była moja pomoc,

moje pieniądze i moje wpływy są do pana dyspozycji. Zbrodniarz musi być ujęty i musi ponieść karę. Nigdzie na świecie ten człowiek nie może znaleźć schronienia. Zamordować taką kobietę jak Maria!

Magnus Torg lekko skłonił głowę. Nawet nie uważał za stosowne tłumaczyć młodemu milionerowi, że policja szwedzka ma dostateczne własne środki, aby choć pod ziemią odszukać mordercę. Spytał jedynie:

- Dowiedziałem się, że pana matka w rozmowach telefonicznych często używała jakiegoś obcego języka. Jakiego?

- Władziała biegle zarówno angielskim, jak i francuskim. Znała oczywiście i niemiecki. Z tamtych czasów. Ale raczej nie chciała się nim posługiwać.

- To nie był żaden z tych języków.

Jansson uśmiechnął się i powiedział parę zdań w jakiejś twardej, szeleszczącej mowie. Był to chyba jakiś wiersz, bo poszczególne słowa rymowały się.

- O, właśnie tak samo mówiła pani Jansson, kiedy ją słyszałam - zawołała właścicielka pensjonatu.

- To po polsku - wyjaśnił - w ojczystym języku matki.

- Pan włada polskim?

- Tak. Nauczyła nie tylko mnie, ale i ojca. To się nawet często przydawało przy prowadzeniu interesów. Mogliśmy porozumieć się z naszymi polskimi kontrahentami, jak również porozumieć się z sobą bez ryzyka, że ktoś nas podsłucha i zrozumie. Pan wie, jak rozpowszechnione jest szpiegostwo przemysłowe i handlowe.

- Czy te rozmowy, które pani Jansson prowadziła z panem z Lommy, również odbywały się w języku polskim.

Dyrektor zastanawiał się chwilę.

- Tak - przyznał - matka przeważnie odzywa się do mnie po polsku. Będąc lojalną obywatelką, a nawet patriotką szwedzką, w gruncie rzeczy pozostała Polką. Na pewno myślała po polsku. Tego języka używała zawsze, ile razy mogła się nim posługiwać.

W tym momencie Magnus Torg zauważył, że jakiś mężczyzna wchodzi do pokoju jadalnego przez drzwi prowadzące z tarasu. Przybysz rozejrzał się wokoło, a spostrzegłszy grupkę ludzi siedzących w salonie, skierował się w tamtą stronę. Oficer policji znał tego człowieka. Był to szef reporterów popołudniówki wychodzącej w Malmö „Kvällsposten” redaktor Sven Breman.

Sven Breman uśmiechnął się do porucznika i stając na progu salonu

powiedział:

- Słyszałem, że był tu cały tabun różnych pismaków, ale nie lubię tłoku i postanowiłem wybrać się nieco później. Szczęście mi sprzyja, bo złapałem samego wodza, Magnusa Torga. A ten pan obok, poznaję, to dyrektor Jansson. Panią Brands miałem przyjemność też już poznać. Domyślam się też, że jest tu i pan doktor Nilerud. Chyba wszystkich dobrze rozpoznałem.

Dziennikarz wielce zadowolony z siebie i z efektu, jaki sprawiło jego nagłe pojawienie się, podszedł do stolika i kolejno witał się z obecnymi. Potem opadł na jeden z foteli i zauważył:

- O, piliście kawę. Mam nadzieję, że i dla mnie znajdzie się jakaś filiżanka.

Pani Branda była tak zaskoczona, że odruchowo poleciła Lilljan, która przyszła zebrać puste naczynia:

- Podaj panu filiżankę kawy.

- *Tack sa mycket* - podziękował dziennikarz, kiedy pokojówka spełniła to polecenie. I sam się obsłużył. Wsypał cztery łyżeczki cukru i zamieszał. Łyknął wielki haust czarnego płynu i powiedział od niechcienia: - Teraz możemy porozmawiać o tej potwornej zbrodni. Co pan o niej myśli, *forste kriminalassistent*? Te klejnoty bardzo mi się w tej całej sprawie nie podobają. Gdyby to była książeczka czekowa, nie ulegałoby dla mnie wątpliwości, że to jeden z naszych zmotoryzowanych chuliganów skorzystał z okazji i posunął się nieco za daleko. Może zresztą został złapany na gorącym uczynku?

- Nie - odpowiedział Jansson - wszystko wskazuje, że matkę zabito we śnie. Zrabowano tylko biżuterię.

- Więc nie *raggare* - ciągnął dalej Sven Breman. - Oni są zbyt mądrzy, żeby zabijać dla paru świecidełek.

- Przede wszystkim - zabrał głos Magnus Torg - może pan wyjaśni, redaktorze, w jaki sposób przekonał pan portiera, aby wpuścił pana do środka?

- Och! - roześmiał się dziennikarz - prędzej bym się dogadał z Cerberem, niż z tym chłopiskiem stojącym groźnie przy bramie.

- Więc jak pan tu wszedł?

- Mam swoje sposoby - Sven Breman chciał jak najbardziej zaintrygować przedstawiciela władzy.

- Ciekawy jestem - głos Magnusa Torga zabrzmiał dość ostro. To już nie były żarty.

- Powiem panu przez wzgląd na naszą starą i wypróbowaną przyjaźń. Po prostu wszedłem tu przez dziurę w płocie.

Zapiski lekarza policyjnego

Tak więc mamy w domu pełno policji. Dyrektor Helmer Jansson zabawił w Lommie kilka godzin. Sprowadził tu kierownika swojej filii z Kopenhagi i polecił mu dopilnowanie wszelkich formalności związanych z wydaniem rodzinie ciała Marii Jansson. Pogrzeb odbędzie się w Sztokholmie. Zaraz po obiedzie jedyny z żyjących obecnie współwłaścicieli firmy „Erik Jansson i syn” pognął swoim wyścigowym wozem z powrotem do stolicy. Zdążył jednak jeszcze rozmawiać przez telefon z Londynem, Paryżem, Hamburgiem i Genewą. Taka jest niewola wielkich interesów, że nawet na żałobę po matce nie ma czasu.

Ten reporter z „Kvällsposten” też narobił dobrego bigosu. Widocznie policja z Lund trochę zasiedziała się bez ruchu, skoro *konstaple* zlekceważyli sobie podstawowy obowiązek dokładnych oględzin miejsca przestępstwa i jego najbliższego otoczenia. Doskonale sobie przypominam, jak nasz młody *forste kriminalassistent* z całą powagą twierdził, że zabójca musiałby mieć skrzydła i przylecieć na nich na balkon, aby dostać się na drugie piętro. A tymczasem okazało się, że skrzydła były niepotrzebne. Wystarczyła dziura w płocie! Nie tyle w płocie, co dokładniej mówiąc w metalowej siatce, jaka otaczała nasz park.

Długo będę pamiętał zdziwiony i nieco głupawy wyraz twardego porucznika, kiedy Sven Breman na pytanie Magnusa Targa, w jaki sposób reporter dostał się do pensjonatu, spokojnie odpowiedział „po prosta przelazłem przez dziurę w płocie”. Naszego dzielnego *utredningsman*a zupełnie zamurowało. Pierwsza zareagowała pani Astrid Brands:

- Pan zrobił dziurę w moim ogrodzeniu?

- Nie potrzebowałem, łaskawa pani. Ktoś przedtem wykonał to zadanie bardziej fachowo, niż ja bym to potrafił - wyjaśnił spokojnie dziennikarz. - Moją skromną zasługą jest odnalezienie tego zamaskowanego wejścia. Skorzystałem z niego, żeby napić się kawy w tak miłym towarzystwie.

- Gdzie jest ta dziura? - zapytał porucznik.

- Tam, gdzie ten duży kasztanowiec - reporter pokazał ręką.

- Proszę nas tam zaprowadzić.

- Nawet kawy wypić nie dadzą - Sven Breman udawał niezadowolenie. - Niegościnna ta policja z Lund. No, ale trudno, czego to się nie robi dla naszej kochanej władzy. Chodźcie.

Dziennikarz wstał z fotela, przeszedł przez salon i pokój jadalny, po czym schodami zszedł z tarasu do parku. Ominął klomb pełny kolorowych kwiatków i przecinając trawnik skierował się w stronę dużego, rozłożystego kasztanowca, rosnącego tuż przy ogrodzeniu. Z obu stron siatki rosły również wysokie krzewy. Sven rozchylił je i wskazał palcem. Rzeczywiście, tuż za grubym pniem drzewa siatka była przecięta od dołu aż prawie do samej góry. Wystarczyło odchylić siatkę, aby powstała szpara, którą bez trudu dorosły człowiek mógł wejść lub wyjść z parku.

Magnus Torg przyglądał się siatce.

- Przecięta ostrymi nożycami. Najwyżej przed paru dniami, bo miejsce przecięcia nie zdążyło jeszcze szernieć.

- Miło mi, że mogłem oddać naszej wszystkowiedzącej policji tą drobną przysługę - podkpiwał sobie dziennikarz.

- Polecam się na przyszłość.

- Do diabła! - żarty redaktora musiały dobrze dotknąć Magnusa Torga. - Przecież moi ludzie mieli polecenie dokładnego zbadania całego terenu. Już ja im pokażę.

Porucznik pobiegł w stronę pensjonatu, aby powrócić ze swoimi dwoma pomocnikami. Gęsto się tłumaczyli:

- Obeszliśmy cały ogród. Tutaj krzaki i drzewa zasłaniają dostęp. Siatka trzymała się sztywno i była dostatecznie naciągnięta. Skąd mogliśmy przypuszczać, że ten drań ją przeciął.

- Muszę dodać - Sven Breman postanowił ratować policjantów - że kiedy szukałem sposobów dostania się do środka, omal nie przegapiłem tej dziury, tak dobrze jest zamaskowana. W paru miejscach przecięcia związane były kawałkami drutu. Leżą one gdzieś w trawie, bo po rozwiązaniu rzuciłem je na ziemię. Drut trzymał mocno i był prawie niewidoczny. To utrudniało odkrycie przejścia.

- Jeżeli pan je odkrył, oni powinni byli to zrobić tym bardziej - denerwował się porucznik. - Jeżeli samemu czegoś się nie dopilnuje, to takie są skutki. My się głowimy, w jaki sposób morderca dostał się do budynku pensjonatu, a tu dziura, że bez mała samochodem można wjechać...

- Jest drut - jeden z *konstapli* podniósł z ziemi kawałki metalu - dziurę

maskowano niedawno. To jest zwykły drut, taki, który na powietrzu rdzewieje już po kilku dniach. A tymczasem ten jest zupełnie czysty.

- Najlepszy dowód, że to morderca pani Jansson torował sobie tędy drogę - dorzucił redaktor Breman.

- Przeszedłem przez dziurę na zewnątrz. Cały teren aż do Strandvägen pokryty był różnymi krzakami. Można więc było zupełnie niepostrzeżenie podejść od szosy do siatki i spokojnie operować przy niej nożycami. Nachyliłem się i próbowałem odnaleźć jakieś ślady. Na próżno. Deszcz wszystko dokładnie spłukał.

Kiedy wróciliśmy z powrotem do salonu, dziennikarz dopił kawę i zwracając się do Magnusa Torga powiedział:

- Przysługa za przysługę. Pokazałem wam drogę, którą tu przyszedł morderca. Gotów jestem przemilczeć fakt, że potrzeba było dopiero dziennikarza, aby ją odnalazł, bo nasza wspomniała policja z Lund boi się widocznie włączyć w krzaki, żeby nie zakurzyć ubrań. Za to teraz pan, poruczniku, powie mi szczerze, jak daleko posunęło się śledztwo. Wprawdzie tej hołocie, która była tu przede mną, naopowiadał pan przeróżnych dub smalonych, ale chciałbym porozmawiać poważnie.

- Magnus Torg od dawna znał dziennikarza. Wiedział, że Sven Ereman jest jednym z najlepszych reporterów szwedzkich. Miał też ostre pióro. Potrafił bez litości wyśmiać tych, którzy mu się narazili. Jednocześnie można było na nim polegać. Nigdy nie zdradził tajemnicy, jeżeli to mogłoby zaszkodzić akcji policji. Oficer wolał mieć w redaktorze sojusznika niż wroga. Zdecydował się więc na opowiedzenie wszystkiego, łącznie z hipotezą wysuniętą przez Helmera Janssona.

- Oczywiście, redaktorze, mówię to panu w zaufaniu i liczę na pańską dyskrecję. To nie są na razie wiadomości do druku.

- Wiem i bardzo tego żałuję. Koncepcja pana Janssona bardzo ciekawa, chociaż trochę nieprawdopodobna. Ale nie można jej wykluczyć. Pani Jansson mogła spotkać na ulicy w Malino lub w Kopenhadze jakiegoś Niemca, byłego funkcjonariusza obozu w Oświęcimiu. Poznała go, a i on spostrzegł, że jest zdemaskowany. Wyśledził, gdzie ta kobieta mieszka i postarał się o jej zlikwidowanie.

- Niezupełnie odpowiada mi koncepcja pana redaktora - powiedziałem. - Gdyby tak się zdarzyło, to wystarczyłoby, aby ten Niemiec wsiadł w pierwszą napotkaną taksówkę i zniknął z oczu pani Jansson. A później jak najszybciej opuścił Szwecję, lub Danię. Trudno jednak uwierzyć, żeby zbrodniarz wojenny do tej pory

spokojnie żył sobie w Danii lub w południowej Szwecji. Minęło przecież dwadzieścia lat. Ten człowiek musiałby stykać się z wieloma ludźmi, którzy mogli go zdemaskować. Wielu Duńczyków było w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Tysiące cudzoziemców odwiedza co roku Szwecję. Wśród nich na pewno są osoby mogące rozpoznać zbrodniarza wojennego. Przychyłam się do teorii, że pani Jansson rzeczywiście spotkała kogoś, kto przypominał jej jednego z oprawców oświęcimskich i to ją tak zdenerwowało. Natomiast zginęła z ręki zupełnie innego człowieka, który zląkomił się na jej klejnoty. Jej syn twierdził, że ostatnio była przemoczona i zdenerwowana. Widziała urojone niebezpieczeństwo, a nie dostrzegła prawdziwego.

- Nie ma pan, doktorze, żadnego argumentu na poparcie tej tezy.

- Mam - odpowiedziałem - nie jeden. Przede wszystkim kradzież klejnotów.

Następnie przygotowanie kradzieży czy też od razu opracowanie planu morderstwa z dużą znajomością terenu. Ten człowiek musiał obserwować zwyczaje przyszłej ofiary i obyczaje panujące w pensjonacie. Inaczej nie zdołałby dostać się do środka. To rozpoznawanie terenu trwało przynajmniej dwa dni. Przez ten czas morderca kręcił się na pewno koło naszej willi. Przy swoim podejrzliwym usposobieniu pani Jansson zauważyłaby, że jest śledzona przez człowieka, którego podejrzewa o zbrodnie popełnione w Oświęcimiu. Jej obawy zamieniłyby się w pewność. Wtedy usłuchałaby rady syna i o wszystkim zawiadomiła policję. A tymczasem nie zrobiła tego. Więc widocznie nie zwracała uwagi na śledzącą ją osobę. Klejnoty to motyw zrozumiały. Tamta teoria, choć bardziej pociągająca, nie wytrzymuje próby życia.

- Nie wierzę w tak dziwny zbieg okoliczności - zaproponował oficer policji.

- Myślę - zauważył dziennikarz - że klucz do rozwiązania zagadki kryje się w nie znanych nam jeszcze faktach, a mianowicie w tym, co robiła pani Jansson od przybycia do Lommy? Wiemy, że dwukrotnie odwiedziła Kopenhagę w sprawach firmy. Czasami rano spacerowała samotnie po plaży. Ale najczęściej wychodziła z domu zaraz po obiedzie i wracała dopiero na kolację, albo jeszcze później.

Utrzymywała widocznie jakieś tajemnicze kontakty z nieznanymi nam ludźmi. Może jeden z nich okazał się jej zabójcą.

- Tak - zgodziłem się - pan redaktor ma rację. "W życiu tej kobiety jest jakaś tajemnica. Nawet w dniu śmierci, kiedy rano prosiliśmy ją, aby poszła razem z nami na plażę, wymówiła się umówionym spotkaniem. Także później, przy obiedzie, zapowiadała pokojówce możliwość powrotu dopiero po kolacji.

- Człowiek nie szpilka. Jutro cała prasa przyniesie dokładne opisy morderstwa

i całą masę zdjęć, między innymi pani Jansson. Sądzę, że da to jakiś odzew. Może zgłoszą się do policji informatorzy, którzy udzielą interesujących wiadomości - mówił Sven Breman. - Na pańskim miejscu, *forste kriminalassistent*, nie czekałbym jednak na to, lecz rozesłałbym swoich ludzi z fotografią zamordowanej do Malme, Lund i innych miejscowości. Pokazywałbym to zdjęcie kierowcom autobusów, taksówkarzom, kelnerkom w kawiarniach. Słowem wszystkim, którzy z racji wykonywania swojego zawodu mają kontakty z licznymi klientami. Może ktoś z nich przypomni sobie Marię Jansson i będzie mógł opowiedzieć nam coś o niej i jej towarzystwie. Nie wyobrażam sobie, żeby zawsze była samotna.

Magnus Torg lekko się uśmiechnął i powiedział:

- Już od wczoraj tym się zajmujemy. Na razie bez żadnego rezultatu.

Oczywiście akcja prasowa narobi trochę szumu koło tej sprawy, ale trudno przesądzić, czy da jakieś wyniki.

Jest jeszcze jedno zagadnienie - zauważył dziennikarz. - W jaki sposób morderca dostał się do pensjonatu i jak zdołał go opuścić nie będąc zauważonym przez nikogo. Wprawdzie udało się i mnie sforsować ogrodzenie, ale gdy pojawiłem się na tarasie, porucznik Torg wykrył moją obecność, chociaż przyznaję, chciałem zrobić kawał i spróbować niepostrzeżenie dostać się aż na drugie piętro.

- Teraz, po morderstwie - tłumaczyłem - czujność jest znacznie większa, niż przedtem. Wprawdzie słyszeliśmy, że Liiljan albo siedzi w hallu, albo zamyka drzwi na zatrask, ale to raczej teoria. Przypuszczam, że w praktyce było zupełnie inaczej i często nie tylko drzwi, ale również i furtka wejściowa stały otworem. Zresztą dlaczego miałyby być inaczej? Nikt nie potrzebował się niczego obawiać. Kradzieże należą tu do rzadkości.

- Pan się myli, doktorze - zaprotestowała pani Brands. - Wstęp do pensjonatu nie był tak ułatwiony, jak pan sądzi. To nie teoria, że drzwi były albo pod nadzorem, albo zamknięte. Bardzo tego pilnowałam. Nie chodziło nawet o złodziei, chociaż moi goście są z reguły ludźmi zamożnymi, u których jest co ukraść. Choćby książeczkę czekową. Przede wszystkim zależało mi na zapewnieniu mieszkańcom pensjonatu absolutnego spokoju i ciszy. Gdyby furtka była nie zamykana, mielibyśmy w parku zawsze pełno różnych ciekawskich; pod pozorem zapytania się o coś, chcieliby zobaczyć, co się dzieje w tym białym domu, kryjącym się w cieniu drzew. Ci ciekawscy wtargnęliby i do środka willi. Przekonałem się o tym w czasie pierwszych dwóch lat prowadzenia pensjonatu, kiedy te rygory jeszcze nie obowiązywały. Wtedy

codziennie przychodziło tu sporo osób. Jedni przypuszczali, że tutaj mieści się kawiarnia; inni zmyślali powody wejścia do środka.

- Szwed nie interesuje się swoimi sąsiadami, ale kiedy już wybierze się na wycieczkę lub urlop, chciałby wszystko zwiedzić i wszędzie zajrzeć. A umieszczanie na bramie pensjonatu tabliczki z napisem: „Osobom obcym wstęp wzbroniony” byłoby przecież antyreklamą. Dlatego pilnuję zamykania drzwi.

- Jednakże doskonale pamiętam, że kiedy pierwszy raz wszedłem do tego domu, w hallu nie zastałem nikogo. Musiałem głośno krzyknąć, aby sprowadzić jakąś żywą duszę. Mogłem wtedy spokojnie wejść na drugie piętro. To samo zrobił morderca.

- O, przepraszam, doktorze - oburzyła się Astrid Brands. - Pan zapomniał dodać, że wszedł pan razem z posłańcem ze sklepu, który stale dostarcza mi towary. Ten człowiek ma klucz do furtki i dzięki temu dostał się pan do środka. Potem obaj weszli nie frontowymi drzwiami, lecz schodkami w dół, do sutereny. Posłaniec wszedł do kuchni, pan zaś wewnętrznymi schodami na parter, do hallu.

- To jest obojętne, jaką drogę wybrałem. Faktem jest, że znalazłem się w hallu, a nikt mnie nie zauważył. Nigdzie nie jest powiedziane, że morderca nie posłużył się takim samym sposobem dostania się do środka. W tej sprawie istnieje tylko jeden pewnik. Ten, że zbrodniarz przyszedł z zewnątrz, a nie kryje się pomiędzy mieszkańcami tego domu. Wszyscy mają alibi nie do podważenia. Na pewno pan porucznik już dobrze sprawdził.

- Tak - przyznał Magnus Torg - nikogo z mieszkańców pensjonatu: ani właścicielki, ani gości, ani służby nie można podejrzewać o tę zbrodnię. Nie dlatego, że trudno byłoby znaleźć jakiś sensowny motyw morderstwa, ale ponieważ każde z nich ma alibi nie do podważenia. Co prawda pan doktor Nilerud uważa, że mam zbyt niski stopień służbowy i za mało doświadczenia do prowadzenia śledztwa w tak skomplikowanej sprawie, jednakże alibi wszystkich mieszkańców tego domu sprawdziłem bardzo dokładnie.

- Muszę przyznać, że bardzo się zmieszałem tą uwagą. Porucznik widocznie poczuł się dotknięty moimi uwagami na początku pamiętnika. Zupełnie zapomniałem, że piszę to przez kalkę, i że odpisy daję oficerowi prowadzącemu śledztwo. Rzeczywiście, to było nietaktem z mojej strony. Powinienem być tę pierwszą kartkę moich zapisków odpowiednio zmienić. No, ale trudno, stało się.

- Że morderca przyszedł z zewnątrz, o tym dobrze wiemy, bo znamy drogę,

którą dostał się do parku - mówił Sven Breraan. - Chodzi tylko o to, kiedy i jak dostał się na drugie piętro?

- Mógł to zrobić jedynie przed godziną czwartą po południu. Zszedłem na dół, na brydża, pięć przed czwartą. Usiadłem w salonie. Zaraz potem nadeszła pani Brands. Później reszta partnerów. Wykluczone, aby człowiek ten mógł wśliznąć się do hallu i na schody w czasie naszej gry. Ktoś z nas musiałby go zauważyć.

- Może tak się zacietrizewiliście w grze, że morderca nie tylko do hallu, ale i do salonu mógł wejść nie zauważony?

- Nie! Graliśmy bardzo spokojnie. Zresztą te drewniane schody trochę skrzypią. Nawet na palcach, starając się zachować ciszę, nie można wejść na górę bezszelestnie. A przecież zabójca pani Jansson nie tylko wszedł, ale i wyszedł.

- Z wyjściem sprawa łatwiejsza. Jeśli był zręczny, to spuścił się po rynnie. Oglądałem taras na drugim piętrze. Rynna jest tuż obok i wygląda solidnie. Utrzymałaby ciężar człowieka. Mógł próbować skoku z balkonu na drugim piętrze na taki sam na pierwszym, a zejść stamtąd na parter to żadna sztuka.

- Jeszcze jeden argument na poparcie mojej tezy - że nie należy łączyć mordercy pani Jansson z osobą jakiegoś mitycznego zbrodniarza hitlerowskiego. Przecież były esesman miałby dzisiaj dobrze pod pięćdziesiątkę. W tym wieku ludzie nie potrafią sprawnie spuszczać się po rynnach z drugiego piętra, ani skakać po balkonach.

- To racja - przyznał dziennikarz. - Z którejkolwiek strony patrzę na tę sprawę, dochodzę do wniosku, że nic nie wiem.

- Tak samo i ja - przyznałem otwarcie.

- Ja też nic nie wiem - powiedział porucznik - ale będę wiedział. Jestem tego tak pewny, jak jest się pewnym, że po nocy przychodzi dzień.

Magnus Torg w dalszym ciągu wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę.

„Den gammle Polacken”

niedziela, 10 czerwca

Sprawa komplikuje się coraz bardziej. Sam już nie wiem, co o tym wszystkim

myśleć. Przypuszczam, że mamy do czynienia z wielkim międzynarodowym gangiem. Czyżby Maria Jansson była właścicielką jakiejś niesłychanie ważnej tajemnicy i dlatego zginęła? Albo miała przy sobie nie tylko klejnoty, które pokazywała Lilljan? Aż się wierzyć nie chce, że takie rzeczy dzieją się naprawdę i to nie w dzikiej dżungli Ameryki czy też Afryki, lecz w samym sercu Europy, w Szwecji, będącej najbardziej ucywilizowanym i najspokojniejszym krajem na świecie.

Ale zacznę od początku. Jedyne w ten sposób wszystkie zdarzenia z soboty i z dnia dzisiejszego staną się może nie tyle zrozumiałe, co przynajmniej uporządkowane w pewną logiczną całość.

A więc tak jak przewidywał Magnus Torg, cała sobotnia prasa przyniosła obszernie opisy pensjonatu na Strandvagen i zdjęcia pani Jansson. Dzienniki były pełne najrozmaitszych szczegółów z życia „najbogatszej kobiety Szwecji”. Rozpisywano się szeroko o jej luksusowym pałacyku w Sztokholmie i o błyskawicznej karierze ubogiej ekspedientki małego sklepiku spożywczego. Skąd ci dziennikarze to wszystko wynaleźli, pozostaje dla mnie tajemnicą. Dyrektor Jansson opowiadał przecież o swojej matce tylko naszemu ścisłemu gronu, a każde z nas potraktował tę rozmowę jako poufną.

„Kvallsposten” przyniósł dodatkowy opis, w jaki sposób morderca przeciął kratę w ogrodzeniu i jak się dostał do parku. Popołudniówka z Malmö nadmieniła też o tajemniczych wycieczkach, jakie podejmowała *fru* Jansson na kilka dni przed swoją tragiczną śmiercią. Gazeta wzywała również czytelników, aby, jeśli gdzieś widzieli panią Jansson, poinformowali o tym policję. W tym apelu czuło się rękę redaktora Svena Bremana, który zresztą lojalnie nie opublikował ani słówka ponad to, co ustalił *z forste kriminalassistentem*...

No i zaczęło się. Telefony dyrekcji policji w Malmö i w Lund były po prostu zablokowane. Setki ludzi dzwoniło, że widziało gościa naszego pensjonatu w różnych miejscowościach w całej Skanii. I to w kilkunastu lokalach o tej samej porze. Policja notowała meldunki, dziękowała swoim informatorom i natychmiast przekazywała je do naszego pensjonatu. Tutaj Magnus Torg z pomocą dwóch *konstapli* i moją nanosił dane na wielką mapę Skanii. Na każdej chorągiewce, którą wtykaliśmy, była dokładna data i godzina. Oczywiście z miejsca wychodziła na jaw każda omyłka. Trudno bowiem przypuścić, żeby Maria Jansson konferowała z jakimiś trzema mężczyznami w małej kawiarence w Landskronie, a jednocześnie siedziała w parku w Trelleborgu w towarzystwie starszej kobiety. Mało tego, o tej samej godzinie

wsiadała na prom udający się z Malmö do Kopenhagi, gdzie czekała na nią już czarna limuzyna z zasłoniętymi firankami.

Natomiast dwie informacje były niezmiernie ciekawe. Oto pewien właściciel sklepu w Malmö podał, że Maria Jansson odwiedziła jego sklep cztery dni przed swoją śmiercią. Szczegóły rozmowy były tak dziwne, że natychmiast wsiedliśmy w policyjny samochód i pojechaliśmy do Malmö, na Ostra Forstandsgatan.

Tutaj mieści się wielki, elegancki sklep z futrami. Na wystawie nurki, brajtszwance, pantery. Wewnątrz - towaru chyba za kilka milionów koron. Na nasze spotkanie wyszedł wysoki, elegancki mężczyzna, o siwych skroniach. Widząc przez okno samochód z napisem „Polis”, od razu zorientował się w charakterze tej wizyty. Oto jego krótka relacja:

W sobotę przed południem do sklepu weszła pewna kobieta. Miałem właśnie klientów, więc poprosiłem, aby chwilę zaczekała. Usiadła tu, na tym fotelu. Obsługa klientów nieco się przeciągała. Futro to nie litr mleka i kupujący nie decyduje się tak szybko na wydatek kilkuset czy kilku tysięcy koron. Jeszcze raz przeprosiłem więc tę panią za zwłokę. Odpowiedziała, że się jej nie spieszy. Znowu weszły jakieś dwie klientki. Chciałem dać pierwszeństwo czekającej już kobiecie, ale powiedziała, że jej nie pilno, i żeby najpierw załatwić dwie kupujące. Dopiero kiedy zostaliśmy w sklepie sami, zapytała mnie, czy jestem Polakiem. Odpowiedziałem twierdząco. Wtedy przedstawiła się. Nie od razu skojarzyłem Marię Jansson ze znaną firmą eksportową. Pani Jansson przeszła na język polski. Wyjaśniła mi, że dowiedziawszy się, iż zarówno ja, jak i mój wspólnik, jesteśmy Polakami, zwraca się do nas z pewną prośbą. Oczywiście odpowiedziałem, że dla rodaczki gotowi jesteśmy do daleko posuniętych usług, i że na pewno porozumiemy się i co do ceny, i co do warunków płatności. Ciągle bowiem przypuszczałem, że pani Jansson chce kupić futro i nie rozporządza całą sumą. Zasadniczo ceny mamy stałe i kredytu udzielamy na ogólnych zasadach, ale sami panowie rozumieją, że nawet w handlu ma się pewne sentymenty. Tym bardziej kiedy jest się Polakiem, a klientką jest również Polka.

- Chyba ta pani nie potrzebowała kredytu? - uśmiechnął się Magnus Torg.

- Dziś wiem - tłumaczył futrzarz - że *fru* Jansson mogłaby kupić kilka takich sklepów jak mój i jeszcze by nie zbiedniała, ale wtedy zupełnie się nie orientowałem. Widziałem ją po raz pierwszy w życiu. Pani Jansson wyjaśniła nieporozumienie. Owszem, być może kupi kiedyś jakieś futro w naszym sklepie, i to chętniej niż gdzie indziej, ale teraz chodzi jej o co innego. Po czym zadała mi pewne pytanie.

- Wiem - przerwałem - zapytała, czy pan nie był więźniem obozu hitlerowskiego.

- Rzeczywiście - właściciel sklepu spojrział na mnie z nieukrywanym podziwem. Jestem też pewien, że i w oczach Magnusa Torga sporo zyskałem. Zaś futrzarz wyjaśnił nam:

- Ściślej mówiąc, zapytała nas obydwu, bo przyszedł i mój współnik, czy nie siedzieliśmy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Na szczęście nie. Z Polski wydostaliśmy się w czasie wojny, uciekając małą rybacką łodzią do Szwecji. Było to zaraz na początku wojny w listopadzie 1939 roku. Uciekło nas wtedy pięciu. Wymknęliśmy się nocą z małej wioski rybackiej Chałupy na Helu. Udało nam się ominąć strażę niemieckie i po dwóch dniach żeglugi dotrzeć do Bornholmu. Stamtąd popłynęliśmy dalej do Szwecji.

- Czy pani Jansson wyjaśniła, dlaczego szuka kogoś z Oświęcimia?

- Nie. Ale czuła się bardzo zawiedziona, że nasza odpowiedź nie wypadła po jej myśli. Pytała się jeszcze, czy znamy takich członków Polonii mieszkających w Malmb lub w pobliżu, którzy byli w tym obozie koncentracyjnym.

- Pytała tylko o Oświęcim?

- Tak, bo kiedy powiedziałem jej, że znam kilku Polaków, którzy byli w Dachau, w Gusen i Mauthausen, wcale się z nimi nie interesowała, ale podkreśliła, że zależy jej tylko na więźniach oświęcimskich.

- Czy panowie podali jej jakiś adres?

- Nie mogliśmy pani Jansson służyć żadnym adresem. Po prostu tak się złożyło, że nie znamy z Oświęcimia nikogo, kto mieszka w Szwecji. Poinformowałem panią Jansson, że gdzieś na wybrzeżu żyje rybak, którego Szwedzi nazywają „den gammie Polacken”. Podobno był w Oświęcimiu. Sami nie widzieliśmy tego człowieka ani nie znamy nawet miejsca jego pobytu. To jakiś wyjątkowy dziwak i dlatego wiadomości o jego istnieniu rozeszły się szeroko. Historyjkę o nim opowiadała nam pewnego razu jedna z naszych klientek, kiedy dowiedziała się, że jesteśmy Polakami.

- „Stary Polak” - zauważył Magnus Torg. - Nie powiem, żeby przezwisko było specjalnie oryginalne. Przypuszczam, iż trudno będzie znaleźć tego rybaka. Ale spróbujemy. Czy pani Jansson mówiła coś poza tym?

- Nic. Wyjaśniła jedynie, że bezskutecznie szuka kogoś z Oświęcimia. Niekoniecznie nawet Polaka, ale w każdym razie kogoś, kto był więźniem tego

obożu.

- Czy jeszcze coś mówiła?

- Nie. Nic. Nawet nie wspomniała, że sama siedziała w tym obozie. O tym dowiedziałem się dopiero z gazet. Od razu też poznałem fotografię pani Jansson i przypomniałem sobie tę dziwną klientkę. Zatelefonowałem do dyrekcji policji. Byłbym bardzo rad, gdyby moje informacje zdały się na coś panom.

- Jesteśmy panu wdzięczni - Magnus Torg podziękował futrzarzowi i opuściliśmy wytworny sklep.

- Nareszcie jakiś punkt zaczepienia - stwierdził oficer policji. - Ale do czego był jej potrzebny jakiś były więzień oświęcimski?

- To by potwierdzało hipotezę pana Helmera Janssona - powiedziałem. - Widocznie pani Jansson była pod wrażeniem spotkania z kimś, kto wydał się jej jednym ze zbrodniarzy wojennych. Ale nie była tego pewna. Chciała znaleźć jeszcze innego świadka, a znalazła swojego zabójcę.

- Jak pan to rozumie, doktorze? - zapytał jeden z *konstapli*.

- To jasne. Znalazła byłego więźnia Oświęcimia, a ten widząc, że ma do czynienia z bogatą kobietą, noszącą kosztowną biżuterię, pokusił się na ten łup. Dowiedział się, gdzie mieszka, zakradł do jej pokoju i zamordował. Musiał zgładzić panią Jansson, bo inaczej domyśliłaby się, kto jest sprawcą kradzieży.

- Pan myśli, że ten „Stary Polak”?

- Nie wiem. Może on, może ktoś inny. Nie wykluczam, że morderca nigdy nie był w Oświęcimiu. Po prostu szukając swojego więźnia, pani Jansson poznała jakiegoś ciemnego typu, który chcąc wyłudzić od bogatej kobiety kilka koron, mógł się podać za Oświęcimiaka; później, widząc, że granie takiej roli przerasta jego możliwości i torebka milionerki nie otworzy się przed nim, postanowił przez morderstwo i rabunek dojść do biżuterii.

- Tę zrabował i książeczkę czekową - *konstapel* powrócił do zarzutu, który był już kilkakrotnie wysuwany.

- Pani Jansson szukała przede wszystkim Polaków. Być może, poznany przez nią Polak niedawno przybył do Szwecji i nie znał naszych przepisów czekowych albo nawet nie znał szwedzkiego, więc wypełnienie czeku było dla niego niemożliwe.

- Pan ciągle obstaje przy tym, że mordercą był cudzoziemiec. Najpierw podejrzewał pan kogoś z Jugosłowian, teraz znowu tą rolę chce pan obdarzyć Polaka.

- Bo nie wyobrażam sobie, żeby Szwed lub przedstawiciel jakiegoś innego

cywilizowanego narodu mógł zamordować kobietę dla kilku pierścionków lub bransoletek - wyjaśniłem.

- Myślałem, że wrócimy od razu do Lommy, ale porucznik polecił kierowcy skierować wóz w stronę dyrekcji policji w Malmö. Miał dobre przeczucie, bo właśnie szukano nas po całym mieście. Oto do policji zgłosił się informator, którego zeznania wydały się tamtejszym władzom bardzo ciekawe. Skomunikowano się z Lommą; *konstapel* pozostawiony w pensjonacie pani Brands wyjaśnił, że wyjechaliśmy do Malmö i dlatego tam nas szukano.

- Nowym informatorem był kierowca jednej z taksówek w Malmö. Oto jego relacja:

- Stałem na Skeppsbron przed przystaniami. Było to w ubiegły piątek po południu. Właśnie do brzegu dobiła ferra z Kopenhagi. Podjeżdżaliśmy kolejno przed przystań.

- Kiedy nadeszła moja kolejka, do wozu wsiadła jakaś kobieta. Nie miała żadnej paczki. Widocznie nawet masła i sera nie kupiła w Kopenhadze, pomimo że wszyscy tak robią, bo tam taniej.

- Czy ta kobieta wysiadła z promu?

- Z całą pewnością. Do samochodu podeszła z budynku przystani. Zanim wsiadła, zapytała, czy zgodziłbym się, pojechać do Ystad.

- Pojechał pan?

- Oczywiście! Taki dobry kurs nie co dzień się zdarza. Klientka prosiła, żebym koniecznie dojechał do Ystad przed szóstą. Usiadła nie na tylnym siedzeniu, lecz koło mnie. Bardzo sympatyczna pani. Cały czas rozmawialiśmy.

- O czym?

- Jak to w drodze. Wyjaśniłem jej, którądy jedziemy. Opowiedziałem jej o historii Skanii i o tym nowym ruchu, który tu powstał. Separatystów, którzy by chcieli oddzielić Skanię od Szwecji i ogłosić osobną republikę. Już na samochodach malują swoją flagę! Jest tych dziwaków paruset. Ta pani słuchała, czasem pytała mnie o coś i tak jechaliśmy. Kiedy zapytałem ją, czy pochodzi z Północnej Szwecji, roześmiała się i wyjaśniła, że jest Polką z pochodzenia. Zdziwiłem się, bo mówiła jak rodowita Szwedka. Widocznie Polacy mają specjalne zdolności językowe, bo znam też innego Polaka, który mówi tak, jak gdyby całe życie przeżył w Malmö. Ma duży sklep futrzarski i często go wożę.

- Pan podał adres tego futrzarza swojej klientce?

- Tak. Bardzo się ucieszyła, że może znaleźć w Malmö Polaka. Miała zamiar odwiedzić jego sklep... I tak rozmawiając, dojechaliśmy do Ystad. Właśnie ferą z Polski przybijała do przystani. Ta pani wysiadła i kazała mi czekać. Widziałem, że weszła do budynku przystani. Ja też wysiadłem z samochodu. Moja klientka za chwilę pokazała się na ulicy, ale już w towarzystwie jakiegoś mężczyzny w mundurze marynarskim. Stali przed wyjściem. Rozmawiali w obcym mi języku. Przypuszczam, że to był właśnie polski. Ten pan zaczepił nawet kilka osób spośród pasażerów promu.

- Szwedów?

- Nie. Chyba Polaków, bo rozmawiał z nimi tym samym językiem, co z moją klientką.

- Co było potem?

- Nic szczególnego. Moja pasażerka pożegnała się z oficerem marynarki i wsiadła z powrotem do wozu. Zaraz odjechaliśmy. Po drodze zapytałem, czy podróż się udała. Odpowiedziała, że nie i że chyba jeszcze raz przyjedzie do Ystad.

- Wróciliście do Malmo?

- Nie. Ta pani prosiła, żeby odwieźć ją do Lommy, więc w Svedali skręciłem od razu na Klagerup i stamtąd do Arlov. W ten sposób ominęliśmy przejazd przez Malmö.

- Wysiadła przed pensjonatem?

Nie. Teraz wiem, że mieszkała w pensjonacie, bo widziałem zdjęcia, ale mnie kazała zatrzymać się jakieś dwieście metrów bliżej. Zapłaciła i poszła piechotą w stronę Bjarred. Przedtem umówiła się ze mną na następny dzień. Znowu pojechaliśmy do Ystad i znowu powtórzyła się ta sama scena. Tak jeździliśmy jeszcze i w niedzielę, i w poniedziałek. Kiedy wracaliśmy w poniedziałek do Lommy, ta pani powiedziała, że wszystkie te wyprawy były tylko stratą czasu i niczego nie załatwiła. Nie wyjaśniła mi jednak, o co jej chodziło, ja też nie śmiałem pytać. W poniedziałek, kiedy odwiozłem ją do Lommy, podziękowała mi mówiąc, że już więcej nie będę jej potrzebny. Mimo że były to bardzo dobre kursy i dobrze zarobiłem, na pożegnanie dołożyła mi sporo koron, jak wyraziła się, „za stracony czas”. Kiedy dzisiaj rano otworzyłem „Sydsvenska Dsgbladet”, od razu na pierwszym zdjęciu rozpoznałem moją byłą klientkę. Nie mogłem z rana przyjechać na policję, bo trafił mi się kurs za miasto, więc dlatego zjawiam się dopiero teraz.

- Nie wie pan, co interesowało tę kobietę i o co pytał pasażerów oficer w

mundurze marynarskim?

- Nie mam pojęcia. Mówili po polsku, a nie znam tego języka.

- Oficer w mundurze był zawsze ten sam?

- Tak. Tylko z nim jednym rozmawiała.

- A poznałby go pan?

- Oczywiście. Przecież widziałem go cztery razy.

- Czy on też przy pływał ferrą?

- Nie. Myśmy zawsze podjeżdżali pod przystań, zanim przybił prom. Pani Jansson nie czekała, lecz od razu wchodziła na przystań. Wychodzili przed budynek razem wtedy, kiedy pierwsi pasażerowie, po kontroli paszportów i odprawie celnej, opuszczali budynek przystani.

- I zawsze ten sam mężczyzna zwracał się z pytaniami do turystów?

- Tak. Zawsze ten sam. Zauważyłem też, że pytał tylko ludzi już nieco starszych. Takich po czterdziestce.

- No cóż - stwierdził Magnus Torg - jeżeli zaraz wyjedziemy stąd, zdążymy do Ystad jeszcze przed przybyciem promu. Będziemy musieli zabrać pana z sobą.

- Właściciel taksówki nie był z tego uradowany, ale nie protestował. Nawet w Szwecji taksówkarz woli nie zadzierać z policją. Przeciwnie, drobne usługi oddane władzy mogą się w przyszłości sownie opłacić. Poprosił jedynie o pozwolenie pozostawienia swojego samochodu przed budynkiem policji, do czasu powrotu, i wsiadł do naszego wozu. Trzeba było dobrze przyciskać gaz do dechy, aby zdążyć na szóstą do Ystad, ale jakoś nam się udało i podjechaliśmy na wybrzeże, kiedy wielki biały statek wolno podpływał pod przystań, a megafony grzmiały marszem powitalnym.

- Szybko wysiedliśmy i weszliśmy do budynku przystani. Tutaj *passkontroll* i celnicy już oczekiwali na swoich stanowiskach pierwszych pasażerów.

- Taksówkarz rozejrzał się dokoła.

- To ten - powiedział wskazując na człowieka o ciemnej, spalonej słońcem twarzy, w mundurze marynarskim ze złotymi galonami.

- Podeszliśmy do marynarza. Magnus Torg poprosił go o chwilę rozmowy i pokazał swoją legitymację policyjną. Marynarz przedstawił się, wymienił jakieś trudne do wymówienia nazwisko i wyjaśnił, że jest przedstawicielem na Ystad polskiego armatora, utrzymującego komunikację między Polską a Szwecją. Zapytał, czym może służyć. Wbrew opinii taksówkarza o wrodzonych Polakom zdolnościach

językowych, ten człowiek mówił po szwedzku bardzo słabo. Może jeszcze za krótko przebywał u nas, żeby nauczyć się szwedzkiego?

- Porucznik zapytał go, czy kapitan, bo był to kapitan marynarki, przypomina sobie pewną Polkę, która przez cztery dni z rzędu przyjeżdżała do Ystad.

- Oczywiście - ucieszył się kapitan - doskonale pamiętam. Pani Jansson, o ile się nie myłę.

- Czego ta pani chciała?

- To bardzo dziwna historia. Prosiła mnie, abym wśród pasażerów promu odszukał jakiegoś byłego więźnia oświęcimskiego. Pragnąc tej pani pomóc, pytałem wielu Polaków, pasażerów wysiadających z promu, czy który z nich był w Oświęcimiu. Jednakże moje poszukiwania nie dały rezultatu. Proponowałem tej pani, aby pojechała na jeden dzień do Szczecina, a tam znajdzie bez trudu nie jednego, lecz wielu Polaków, którzy padli ofiarą hitlerowskiego barbarzyństwa i przebywali w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Pani ta wyjaśniła jeclnak, że musi koniecznie znaleźć oświęcimiaka w Szwecji.

- Czy pani ta wytłumaczyła powód swoich poszukiwań.

- Tak. Wyjaśniła mi, że przez przeszło dwa lata sama była więźniarką Oświęcimia, a potem przetransportowano ją do Ravensbruck, skąd dostała się do Szwecji. Ale dlaczego szukała towarzyszy z tamtych czasów, tego nie sprecyzowała. W Polsce więźniowie polityczni mają swój związek. Pomagają sobie nawzajem, odbywają spotkania towarzyskie. Może i ona chciała nawiązać taki kontakt z którymś z Oświęcimiaków? Może potrzebny był jej świadek dla uzyskania odszkodowania za pobyt w obozie koncentracyjnym?

- To chyba nie wchodzi w grę - zaprzeczył Magnus Torg. - Ta pani była jedną z najbogatszych kobiet Szwecji.

- Co pan mówi? - zdziwił się marynarz.

- Słyszałem o zamordowaniu jakiejś milionerki. Opowiadał mi o tym znajomy Szwed, jako o najnowszej sensacji. Czy to...

- Właśnie - poświadczyłem - zamordowano panią Jansson. Dobrze pan zapamiętał jej nazwisko.

Oficer policji wyjął fotografię i pokazał ją kapitanowi.

- Czy to ta sama?

- Nie ulega wątpliwości! To straszne. Dlaczego ją zamordowano? Kto to zrobił?

- I my chcemy się tego dowiedzieć - odpowiedział porucznik.

- Dalsza rozmowa z kapitanem nie wniosła nam nic nowego do śledztwa.

Marynarz nic więcej nie wiedział. Zanim opuściliśmy Ystad, Magnus Torg zapytał jeszcze jednego z przedstawicieli kontroli granicznej, czy nasz rozmówca pełnił w środę jak zwykle swoje obowiązki. Była to formalność, ale nasz *utredningsman* nie zanedbywał niczego. Otrzymał odpowiedź, jakiej należało się spodziewać. Kapitan stał o godzinie szóstej po południu na swoim posterunku, kiedy „Gryf” z regularnością zegarka przybił do Ystad.

- Nie mieliśmy tu już nic do roboty, więc odwieźliśmy taksówkarza do Malmö i wysadziliśmy go przed gmachem policji. Ponieważ fala meldunków ucichła i nie czekały na nas żadne nowości, znowu wsiedliśmy do policyjnego wozu

- I w spacerowym tempie wróciliśmy do Lommy, do pensjonatu *fru* Astrid. Zdążyliśmy akurat na kolację, z czego byłem bardzo zadowolony, bo Magnus Torg pamiętał o wszystkim, tylko nie o tym, że nie jedliśmy obiadu.

- Po kolacji, jak to było w zwyczaju mieszkańców pensjonatu pani Brands, przeszliśmy do salonu. Wprawdzie telewizja nadawała jakiś film, ale nikt nawet nie otworzył aparatu. Wszyscy byli szalenie ciekawi, co robiliśmy przez cały dzień i gdzie byliśmy. Porucznik nie miał powodu, aby ukrywać, że ten czas poświęciliśmy na wyświetlanie kontaktów Marii Jansson, i że nasza praca dała więcej niż skromne wyniki.

- To intrygujące - zauważył kapitan Tuveesson - dlaczego ta kobieta tak szukała współtowarzyszy swoich strasznych przeżyć, więźniów z Auschwitz?

Muszę tu wyjaśnić, że Tuveesson nic nie wiedział o hipotezie, jaką wysunął dyrektor Helmer Jansson, że jego matka prawdopodobnie poznała jakiegoś ukrywającego się zbrodniarza hitlerowskiego.

- A mnie się wydaje - powiedziała pani Nora Lindner - że ta bogata kobieta chciała pomóc któremuś z tych więźniów. Dlatego jeździła do Ystad.

- Niekoniecznie musiała szukać więźnia oświęcimskiego. Mogła, na przykład, wpłacić odpowiednią sumę na Czerwony Krzyż z warunkiem, że przeznacza ją na pomoc ofiarom wojny w Wietnamie.

- Wspólne przebywanie w więzieniu - snuł przypuszczenia pan Gustaw Dalin - stwarza pomiędzy ludźmi specyficzną łączność. Byli więźniowie polityczni posiadają międzynarodowe związki i prowadzą różne akcje wzajemnej pomocy. Rozumiem, że pani Jansson przeznaczając pieniądze na jakiś humanitarny cel, wołała

wydać je na pomoc dla tych, z którymi razem przebywała w hitlerowskim piekle.

Magnus Torg milczał i nie miał zamiaru przerywać tych rozważań. Za to zabrała głos nasza miła Lilljan:

- Gdyby pani Jansson chciała pomóc jakiemuś Polakowi, to nie potrzebowała daleko szukać. U nas w Lommie mamy jednego Polaka. To najbiedniejszy mieszkaniec całej osady. Co prawda dlatego biedny, że straszny dziwak.

Tym razem oficer policji aż drgnął usłyszawszy informację dziewczyny, ale szybko opanował się i jak gdyby od niechcienia rzucił pytanie:

- W Lommie jest jakiś Polak? Kto to taki? Nigdy nie słyszałem...

Fróken Lilljan poruszyła, ustami, jak gdyby przeżuwała.

- Sze-cze-kky - wyskandowała wreszcie.

- Co takiego?

- Szczekky - powtórzyła dziewczyna. - On się nazywa Szczekky. To bardzo biedny człowiek. Mieszka w małym domku po drugiej stronie Lommy, tam gdzie się kończy plaża. Domek stoi tuż nad morzem. Ma tylko dwie izby: pokój i kuchnię. Ten domek podobno przez parę lat stał pusty i miał być rozebrany. Wtedy zjawił się w Lommie Szczekky i poprosił gminę o pozwolenie zamieszkania w nim. Sam jakoś wyreperował chałupkę i tak żyje. Jest taki biedny, że nawet nie ma telefonu.

- Ooo? - zdziwiła się piękna Nora - życie bez telefonu musi być straszne.

- Nie można godzinami rozmawiać z przyjaciółkami - odpowiedział Dalin.

Pani Nora pokazała dyrektorowi banku język i pogroziła palcem.

- To ładnie tak? Dlaczego pan mnie nie lubi? - Taki dziwak? - zapytał Magnus Torg.

- Straszny - śmiała się nasza *flicka*. - Łapie ryby ale tylko takie, na jakie ma ochotę. Woli stracić tydzień na łapaniu łososia, niż wyciągnąć parę ton dorsza. Najchętniej zastawia sznury i sieci na węgorze. A ryb nie dostarcza hurtowni, lecz je sprzedaje bezpośrednio klientom. Mówi, że tylko świeża ryba jest smaczna, a on nie myśli truć ludzi. Kiedy trafi mu się większy połów i więcej zarobi, to na jakiś czas przestaje łowić i wyjeżdża. Kiedy pytają, gdzie był, mówi, że odwiedzał przyjaciół. Kompletny dziwak. A po szwedzku mówi bardzo śmiesznie.

- Dawno tu mieszka?

- Zjawił się jeszcze przed moim urodzeniem. Tuż po wojnie. Wtedy wcale nie był taki stary, ale ani się nie ożenił, ani nie miał narzeczonej. Do dziś pozostał samotny, chociaż w Lommie nigdy dziewcząt nie brakowało i niejedna na pewno

zgodziłaby się nauczyć go mówić lepiej po szwedzku.

- Panna Lilljan też? - zapytał pan Harding.

- Dla mnie on jest za stary. Ale dla tych, co były dwadzieścia lat przede mną, był w sam raz.

- Takie trudne nazwisko - Magnus Torg pod pozorem zwykłej ciekawości faktycznie przesłuchiwał dziewczynę. - Szczekky, język można sobie złamać. Jak wyście nauczyli się to wymawiać?

- Nikt go tak nie nazywa - dziewczyna była bardzo zadowolona, że uwaga gości pani Brands skupia się na jej osobie. - Wszyscy po prostu mówią „*den gammie Polacken*” albo jeszcze krócej „*gammie jiskaren*”.

Szybko przesiadłem się na fotel przy oficerze policji.

- To ten sam, o którym mówił futrzarz. Przecież nie może być w okolicy dwóch ludzi, których by jednakowo nazywali „stary Polak” czy stary rybak”. Trzeba go jutro rano odnaleźć i porozmawiać z nim - szepnąłem do ucha Magnusowi Torgowi.

Porucznik nieznacznie kiwnął głową na znak, że zgadza się ze mną.

- Ten stary Polak jest obecnie w Lommie? - zapytał.

- Tak. Dzisiaj rano przyniósł nam pięknego łososia. Będzie jutro na obiad.

Pani Brands z wyrzutem spojrzała na dziewczynę. Właścicielka pensjonatu nie lubiła, kiedy zdradzano kulisy kulinarne jej zakładu. Łosoś z rusztu miał być niespodzianką i ozdobą niedzielnego obiadu. A tym czasem wskutek zbyt długiego języka dziewczyny, niespodziankę diabli wzięli.

Lilljan spostrzegłszy swój nietakt, umilkła.

- Jeżeli tak dobrze mu się łowi, to stary rybak i jutro o świcie wyjdzie w morze. Na łososie trzeba wyruszać z samego rana.

- Nie - wyjaśniła Lilljan - „*den gammie Polacken*” nigdy w niedzielę ryb nie łapie. Zawsze ubiera się w swój najlepszy garnitur i o dziesiątej jedzie do Lund. Do katolickiego kościoła. Nasz pastor nieraz chciał go nawrócić na prawdziwą wiarę, ale ten człowiek woli widocznie tkwić w rzymskich zabobonach. W Lund widuje się z innymi Polakami.

- Pani Jansson również w niedzielę jeździła do Lund?

- Nie. Pani Jansson była dobrą Szwedką, chociaż pochodziła z Polski. Co prawda do żadnego kościoła nie chodziła, ale kiedy dwa lata temu rada kościelna zbierała na reperację dachu, pani Jansson dała czek na pięćset koron. Najwięcej z

całej Lommy.

- A na katolicki kościół też dawała? - zapytałem. Ledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu słuchając rozumowania dziewczyny.

- Ja tam nie wiem. Niech pan zapyta księdza z Lund. U nas nie zbierali.

- Może ich dach nie przecieka? - zauważył pan Dalin. Teraz już wszyscy się roześmieli.

Wyjąłem z kieszeni pudełeczko z kolorowymi pigułkami.

- Tak mną te wszystkie wydarzenia ostatnich dni wstrząsnęły - powiedziałem - że muszę brać lekarstwa na nerwy. Na szczęście wziąłem z sobą doskonały barbituran. Zupełnie nieszkodliwy dla zdrowia, a znakomicie wpływający na samopoczucie.

To mówiąc nalałem trochę wody do szklanki i połknąłem kolorową pastylkę.

- Ja też to okropnie przeżywam - poskarżyła się pani Nora - całe noce nie mogę zasnąć, a kiedy już zapadnę w półsen, to znowu widzę biedną panią Jansson na jej łóżku, całą zakrwawioną.

Nie było to prawdą. Mój pokój sąsiaduje z pokojem fru Lindner i wiem, że jeżeli piękna rozwódka nie sypia w nocy, to zupełnie z innego powodu. Ale co mi to szkodziło? Podsunałem pudełko w jej stronę i jedynie uprzedziłem:

- To nie jest lek nasenny, lecz na uspokojenie. Jeżeli pani nie może zasnąć, to trzeba brać raczej coś innego.

- Czuję, że to będzie doskonale - pani Lindner połknęła pigułkę.

- Może i ja bym spróbowała - poprosiła pani Brands. - Na moją biedną głowę tyle się zważyło.

- Nie oponowałem. Rzeczywiście Astrid Brands miała sporo kłopotów. Od śmierci pani Jansson minęło już parę dni, pogoda ładna, a w pensjonacie nie było widać nowych gości.

Nawet pan Harding chciał uspokoić swoje nerwy. Miałem nauczkę. Po co zażyłem lekarstwo przy wszystkich? Trzeba było wyjść do drugiego pokoju.

Posiedzieliśmy jeszcze z pół godzinki. Rozmowa prawie bez przerwy toczyła się wokół zabójstwa, ale nie przyniosła już nic ciekawego. Znowu nachyliłem się do Magnusa Torga.

- Myślę, że jeżeli około siódmej godziny rano spróbuje pan zobaczyć się z tym rybakiem, powinien być na nogach. Ludzie morza wcześniej wstają, święto nie święto. Czy pan chce, abym mu towarzyszył?

Porucznik wyczuł prośbę w moim głosie, bo chętnie się zgodził:

- Jeśli tylko będzie się panu chciało, doktorze, rano wstać, to bardzo proszę.

Spojrzałem na zegarek. Była za dwadzieścia jedenasta.

- Idę spać - powiedziałem. - Dobranoc państwu. Przechodząc przez hall natknąłem się na *fróken* Lilljan.

Przyszła mi do głowy pewna myśl:

- Ciekaw jestem, czy pani Jansson wiedziała, że w Lommie ma rodaka?

Twarz Lilljan rozjaśniła się.

- Przypomniał mi pan - powiedziała, - Na dwa dni przed śmiercią *fru* Maria zapytała mnie wieczorem, czy słyszałem o takim człowieku którego nazywają „*den gammie Polackeri*”. Powiedziałem jej, że jest mieszkańcem Lommy i wytłumaczyłem, gdzie mieszka. Pani Jansson była bardzo zadowolona z tej informacji. Wspomniała, że musi starego rybaka odwiedzić i porozmawiać z nim.

- Ale nie wiadomo, czy zdążyła?

- Tego nie wiem. Przypominam sobie jednak, że w środę przed obiadem był telefon do pani Jansson. Ja odbierałam i pobiegłam na górę zawiadomić ją. Ten co prosił *fru* Marię do aparatu, mówił źle po szwedzku. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz jestem pewna, że to był stary Polak. Słyszałam z hallu, że rozmawiali w jakimś dziwnym języku.

Podziękowałem dziewczynie za te informacje i powiedziałem, że podzielę się nimi z Magnusem Torgiem. Dodałem też, że idę na górę spać. Pokojówka przyznała, że czeka, aby goście poszli do swoich pokojów, bo i ona jest bardzo zmęczona i senna.

Spałem jak zabity. Umieję jednak budzić się bez zegarka o jakiejś konkretnej godzinie. Dlatego i tym razem otworzyłem oczy punktualnie kwadrans po szóstej. Umyłem się, ubrałem i zszedłem na dół. Magnus Torg był już na nogach. Postanowiliśmy, że nie będziemy nikogo budzić. Przecież to niedziela, niech sobie i *konstaple* pośpią trochę dłużej. Wrócimy na śniadanie.

Opowiedziałem porucznikowi o tym, co zdołałem wyciągnąć z naszej sympatycznej pokojówki. Rozgniewał się:

- To my się męczymy! Szukamy jak igły w stogu siana! A ta dziewczyna najważniejsze wiadomości chowa dla siebie! Przecież przesłuchiwałem ją aż dwukrotnie. Ani słówkiem nie pisnęła o tym telefonie i o starym Polaku.

Uprzedzałem ją, że ma mówić prawdę, i że za składanie fałszywych zeznań grozi

odpowiedzialność karna.

- Nic się nie stało - próbowałem bronić panny Lilljan - po prostu zapomniała o tym telefonie, a rozmowy z panią Jansson nie uważała za coś ważnego. Na szczęście wygadała się przede mną.

- Straciliśmy dwa dni. To nie żarty. - Przez ten czas morderca mógł uciec stąd choćby na drugą półkulę. - Oficer policji nie mógł darować pokojówce.

Wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy do Lommy.

Lilljan świetnie opisała wygląd małego domu i jego usytuowanie.

Rzeczywiście, było to ostatnie zabudowanie w Lommie w stronę Arlov. Ze Straudvagen prowadziła do małego domu ledwie widoczna polna droga, na pół zarośnięta trawą. Zabudowania te, bo oprócz domku stała tam jeszcze i komórka, oddalone były od szosy co najmniej pięćdziesiąt metrów. Od morza oddzielała je jedynie trzydziestometrowa plaża. Na plaży, wyciągnięta do połowy na piasek, stała zwykła łódź rybacka. Drewniana, a tylko osmołowana. W Szwecji takie łodzie wyszły z użytku przynajmniej przed piętnastu laty. Zastąpiły je znacznie większe i bardziej wydajne kutry motorowe. Koło łodzi wisiały rozpięte na żerdziach sieci. Bez trudu poznałem więcierze na węgorku.

Podeszliśmy do domu i zastukaliśmy do drzwi. Nikt nie otwierał, w ogóle nie za drzwiami nie ruszało się. Panowała kompletna cisza. Porucznik uderzył w drzwi bardziej energicznie. Znowu milczenie. Kopnął nogą. Bez skutku. Poruszył klamkę. Drzwi były zamknięte.

Podszedłem do okna i zajrzałem do pokoju. Widać było fragment skromnego umeblowania i rozestane łóżko. Opodal na krześle leżało ubranie. Obszedłem budynek i zajrzałem przez niewielkie okienko w kuchni. Było wprawdzie zasłonięte firanką, ale zdołałem dostrzec zarysy tego pomieszczenia. W kącie stała kuchenka, na niej garnki. Na środku niewielki stolik i dwa taborety. I nagle zauważyłem... Nie, ja chyba się mylę!... Zawołałem porucznika. On też przyjrzał się uważnie...

Na podłodze, tuż przy drzwiach, do których dobijaliśmy się przed chwilą, leżał człowiek w ciemnej piżamie.

Pierścionek z perłą

(Zapiski doktora Nileruda) ...niedziela wieczorem

Całe popołudnie spisywałem wydarzenia z soboty i dnia dzisiejszego. Zbyt

jednak byłem podniecony, żeby robota mogła mi iść szybko. Dlatego teraz, wieczorem, po kolacji kończę swój opis...

- Muszę przyznać, że nasz *forste kriminalassistent* nie traci zimnej krwi, ani też nie popada w panikę. Tylko spojrział przez okienko, od razu stwierdził:

- Ten człowiek nie żyje.

- Może stracił przytomność? - zaproponowałem. - Trzeba spróbować wyważyć drzwi i przyjść mu z pomocą. Mógł jedynie zemdleć. Albo atak serca.

- Nie! - zaprzeczył energicznie porucznik. - Na podłodze widać plamy krwi. To morderstwo. Jestem tego pewien.

I zmieniając ton głosu na rozkazujący, polecił:

- Pojedźcie pan do pensjonatu i przywieźcie pan moich *konstapli*. Po drodze proszę wstąpić na posterunek policji w Lommie. Niech natychmiast zawiadomią Lund. Czekam na ekipę śledczą i lekarza policyjnego. Z *konstaplami* proszę wrócić jak najszybciej. Ja tymczasem zbadam teren.

Za piętnaście minut byłem z powrotem. W obie strony jechałem na syrenie. Kiedy wróciliśmy z policjantami, porucznik znowu zaglądał przez okienko do wnętrza kuchni. Na nasz widok odwrócił głowę:

- Nic ma żadnych śladów - wyjaśnił. - Obejrzałem dokładnie całe obejście. Jedyna nadzieja, że znajdziemy odciski palców na klamce i wewnątrz mieszkania.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że przed wejściem do domu znajdował się wąski chodnik, zrobiony gospodarczym sposobem. Po prostu ktoś, pewnie ten stary Polak, ułożył polne kamienie i zalał je cementem. Nic dziwnego, że na takiej ścieżce nie można było odnaleźć żadnych śladów.

- Okno do pokoju można otworzyć - zauważył jeden z policjantów. - Nie jest zbyt szczelne i jeżeli się trochę postuka, zamknięcie lufcika powinno opaść. Potem wystarczy sięgnąć ręką, aby dostać się do dolnej i górnej zasuw. Mogę tedy wejść.

- Nie - powstrzymał go Magnus Torg - poczekamy, aż przyjadą z Lund. Tamtemu w środku już nic nie pomoże. Obejrzyjcie tymczasem komórkę i sprawdźcie czy nie ma jakichś śladów w kierunku plaży.

W komórce leżały sieci. W przegrodzie trochę węgla, pewnie pozostałość z ubiegłej zimy, i stary, dawno nie używany rower. Od domu do stojącej na plaży łodzi prowadziły na pół zatarte ślady. Widać było, że to ten sam człowiek przebył tę drogę parę razy tam i z powrotem.

- To na pewno rybak, kiedy wyładowywał swoją łódź - wyjaśnił *konstapel*.

- Sprawdzimy później.

Nie upłynęła i godzina, kiedy koło naszego wozu zatrzymał się drugi. Wysiedli z niego policjanci z ekipy technicznej oraz znany mi już rattslakare, doktor Thorsten Ross.

Znowu się spotykamy. W równie podłych jak przedtem okolicznościach. Co się dzieje w tej Lommie? - zauważył sympatyczny lekarz. - Szesnaście lat jestem w Lund, a przez ten czas utopiły się w morzu trzy osoby. I to na całym wybrzeżu. A tu co kilka dni nowy trup. Gdzie on jest?

- Leży tam wewnątrz. Za zamkniętymi drzwiami - wyjaśniłem.

- Może jeszcze żyje? Trzeba było wyważyć drzwi.

Wzruszyłem ramionami.

- Byłem tego samego zdania. Niestety, pan *forste kriminalaB8istent* nie zgodził się na to. Twierdzi, że ten człowiek jest już martwy.

- No, no - mruknął lekarz - jeżeli jest inaczej, może być z tego niezła awantura. Nie pośpieszyć z pomocą rannemu, czy umierającemu... Nie chciałbym wtedy być w skórze Magnusa Torga.

- Jego sprawa - odpowiedziałem - ja ofiarowałem swoje usługi, ale nie mogłem działać wbrew rozkazowi oficera policji. Chociaż prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby nasz „Wielki” zbyt się mylił.

Tymczasem technicy dochodzeniowi kierowani przez porucznika krzątali się wokół całego domu. Zbierali odciski na klamce, na futrynie drzwi i nawet na szybach okiennych. Jeden zrobił gipsowe odlewy na piasku koło łodzi. Nie byli jednak zadowoleni ze swojej pracy.

- Nic tu nie ma - stwierdził jeden z nich. Jednocześnie kierownik miejscowego posterunku policji, który zjawił się jeszcze przed przybyciem ekipy z Lund, udzielał informacji i o „*den gammie jiskaren*”.

Mieszkał tutaj przeszło dwadzieścia lat - wyjaśniał. - Przybył prosto ze szpitala, w którym leczono chorych więźniów z akcji Folke Bernadotta. Podobno lekarze kazali mu mieszkać nad morzem. Był wtedy, przypominam sobie dokładnie, bardzo słaby i nie mówił ani słowa po szwedzku. Gmina dała mu ten domek i pomogła doprowadzić do stanu używalności, bo przez ostatnie lata nikt w nim nie mieszkał. Początkowo Polak wynajmował się do różnych robót. Ale co to była za pomoc! Długo jeszcze wyglądał tak, jak gdyby przybył z tamtego świata.

Nic dziwnego - wtrącił się Thorsten Ross - pamiętam tych więźniów, gdy

przybywali statkami do Goteborgu i do Malmo. Rzadko który mógł wyjść na ląd o własnych siłach. Przeważnie wynoszono ich na noszach prosto do karet szpitalnych. Trzeba było posłuchać, co opowiadali o swoich przeżyciach w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. I tak cud boski, że przeżyli.

- Właśnie - przytaknął policjant. - Byłem wtedy jeszcze młodym chłopcem, więc nie wszystko rozumiałem. Wiem, że niektórzy mieszkańcy Lommy chcieli tego człowieka wziąć do siebie, do swojego domu. On jednak uparcie odmawiał. Wolał ten mały domek. Do tej pory nikt chyba z całej Lommy nie wie, kim ten człowiek był przedtem ani co robił. Rybakiem nie był na pewno, bo dopiero gdy poprawiło mu się zdrowie, zaczął pływać z naszymi i uczyć się od nich tego fachu. Tę łódź, która tam leży, kupił później od mojego stryja, kiedy Sigurt Hodin sprowadził sobie duży kuter i zawiązał z moim stryjem spółkę.

- To podobno był straszny dziwak, a w każdym razie bardzo tajemniczy człowiek - wtrąciłem.

- Tak jest - przytaknął policjant. - Dwadzieścia lat temu był jeszcze młody, miał nie więcej jak czterdziestkę. Niejedna dziewczyna w Lommie chętnie by w nim widziała swojego jeżeli już nie męża, to narzeczonego. (Narzeczeństwo w Szwecji jest rodzajem małżeństwa na próbę - przyp. aut.). Ale on nie spojrzął na żadną, choć byli rybacy, którzy mu swatali swoje siostry lub córki. Z nikim też nie zżył się przez te lata. A poza tym był katolikiem. Co niedziela jeździł do Lund, do tamtejszego kościoła. Nikt go nie odwiedzał, a przynajmniej nic o tym nie wiem; chociaż trudno nie wiedzieć tego, co się dzieje w Lommie, kiedy człowiek tutaj ma swoją pracę, tutaj urodził się i wyrósł w tych stronach. A o Szczekky poza tymi paroma informacjami, które podałem, nie mogę więcej powiedzieć. Może tyle, że na swojej łódce sam zawsze łowił ryby. Sam je też sprzedawał, chodząc po domach. Ludzie chętnie kupowali, bo o cenę się nie targował, brał, ile dawali, a trzeba mu to przyznać, znał się na rzeczy. Tak ładnych ryb inni rybacy nie łowili na swoich kutrach. On wolał stracić kilka dni i złowić łososia czy węgorza, niż wyciągać pełne sieci dorsza lub śledzia. A poza tym miał zawsze rybę świeżą.

- Podobno gdzieś wyjeżdżał? - zapytał Magnus Torg.

- Tak, Jak złowił więcej węgorzy i sprzedał je, to zamykał dom i nie było go widać przez kilka dni.

- Czy miał obywatelstwo szwedzkie?

- Tak. Przyjął je po ośmiu latach pobytu w Lommie.

- A paszport zagraniczny?

- Też miał.

- Wyjeżdżał za granicę?

- Pewnie wyjeżdżał. Po co byłby mu potrzebny paszport? W tym roku” kiedy rozmawiałem z nim w maju, mówił, że był w Polsce. Zapytałem nawet, czy u rodziny. Odpowiedział krótko „nie mam rodziny” i na tym nasza rozmowa się skończyła.

- No, jak tam? Skończyliście? - zapytał porucznik techników dochodzeniowych.

- Tak jest. Można zobaczyć, co jest w środku.

- Ja wejdę - ofiarował się znowu jeden z naszych *konstapli*.

- Dobrze - tym razem porucznik nie oponował. - Ale ostrożnie i otwórz drzwi tylko na zewnątrz. Żebyś żadnych śladów nie pozacierał.

- Zrobi się - policjant zręcznie otworzył okno do pokoju i znikł we wnętrzu, a za chwilę wyszedł przez drzwi.

- Miał pan rację, poruczniku - zauważył - ten stary nie żyje.

Chcieliśmy wraz z doktorem Rossem wejść do kuchni. Przez otwarte drzwi widać było dokładnie starego Polaka, Leżał na boku z podgiętymi nogami. Jedną rękę przyciskał do piersi. Tam piżama poplamiona była krwią. Twarz poorana bruzdami. Włosy rzadkie, siwe i krótko przycięte. Rysy i tak ostre, śmierć jeszcze bardziej wyostrzyła. Tak na oko, człowiek ten musiał dobiegać siedemdziesiątki.

Zrobiłem krok w stronę drzwi. Magnus Torg zatrzymał mnie ręką.

- Najpierw oni - powiedział.

Staliśmy więc z doktorem Rossem, porucznikiem i miejscowym policjantem w progu domu. Sionka była malutka. Nie miała więcej niż pół metra. Tyle, żeby w zimie zatrzymywać ostre wiatry wiejące od duńskiego brzegu, i żeby w czasie śnieżycy biały pył nie dostawał się bezpośrednio do kuchni. Rozmiary następnego pomieszczenia również nie były duże. Dom zbudowano z grubych pni sosnowych tylko ociosanych. Uszczelniono go wiórami i mchem. W Lund, w tamtejszym muzeum, widziałem prawie identyczną budowlę liczącą sobie dobre kilkaset lat. Ta chyba nie była o wiele młodsza. O jej wieku najlepiej świadczył fakt, że nie posiadała sufitu ani strychu. Po prostu na dźwigarach z jednej strony ułożony był dach, z drugiej zaś przybito heblowane deski. Powstało w ten sposób pomieszczenie dość oryginalne, bo o skośnym stropie. Pod deskami, dla utrzymania ciepłoty prawdopodobnie znajdowała się trzcina lub słoma.

Podłoga zrobiona z takich samych sosnowych desek posiadała szerokie szpary. Mieszkaniec tej chatynki pomalował swoją podłogę na ciemnowiśniowy kolor. Przy drzwiach wejściowych był przybity kawał linoleum. Takie samo linoleum znajdowało się koło kuchni umieszczonej przy ścianie przeciwległej do drzwi wejściowych. Nad kuchenką wisiała półka, na której stały garnki. Obok znajdowała się drewniana, szerniała ze starości szafa. Przez uchylone drzwi można było zobaczyć we wnętrzu jakieś pudełka i torebki, prawdopodobnie zapasy żywności. Na kuchni stał spory aluminiowy imbryk i duży czajnik na herbatę. Znak, że mieszkaniec tego domu był cudzoziemcem, rozmiłowanym w picie tego chińskiego napoju, który w Szwecji nie cieszy się zbyt wielką popularnością.

W kuchni stał ponadto niewielki stół z dwoma taboretami. Mały zlewozmywaczek dopełniał skromnego umeblowania. Na stole leżał talerz. Na nim pół bochenka chleba w celofanie. Obok nóż. Stała tam też szklanka z resztkami jakiegoś płynu. Na gwoździach wbitych wprost w ścianę wisiał kombinezon, stara rybacka kurtka z kapturem, czapka i jeszcze jakiś inny strój roboczy.

Fotograf wykonał całą serię zdjęć. Daktyloskopista znowu zaatakował drzwi, ale tym razem z drugiej strony i znowu bez żadnego skutku. Pobrał też odciski palców z rąk zabitego. Teraz technicy przenieśli się w głąb kuchni. Nadeszła więc nasza kolej.

Pierwszy wszedł do kuchni Magnus Torg. Pochylił się nad zmarłym i odwinął na lewym ręku piżamę. Nieco poniżej łokcia znajdował się mały niebieski napis. A właściwie nie napis, tylko wytatuowany numer 147859. Cyferki były ledwie widoczne i napisane dość koślawo.

- Auschwitz - stwierdził krótko doktor Ross.

- Tak samo, jak u pani Marii Jansson. Tylko ona miała numer o wiele mniejszy. O przeszło sto tysięcy - zauważyłem.

- W Oświęcimiu - wyjaśnił porucznik - prowadzono osobną ewidencję kobiet, a osobną mężczyzn. Kobiet przywożono tam mniej niż mężczyzn, dlatego i numery są mniejsze.

Swoją drogą zaimponował mi ten Magnus Torg. Przecież chłopak ma najwyżej dwadzieścia osiem lat. Skąd on tak się zna na zwyczajach panujących w hitlerowskich obozach koncentracyjnych?

- Czy poznajecie zabitego? - oficer zapytał miejscowego policjanta. Była to prosta formalność, bo nawet strój, nocna piżama, wskazywał, że nie mógłby to być

nikt inny. Ale Magnus Torg był formalistą, a ponieważ protokół oględzin zwłok zawiera również rubrykę „zwłoki zidentyfikował...”, więc porucznikowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby tę rubrykę pozostawić nie wypełnioną.

- Oczywiście - potwierdził policjant. - „*Den gammie Polacken*”.

Obaj z doktorem Rossem pochyliłiśmy się nad ciałem. Mój kolega z pewnym trudem wyprostował rękę leżącą na piersi. Pod nią znajdowała się rana - wlot kuli. Sądzą po wielkości otworu ani zbyt wielkiego, ani małego, strzał pochodził z „siódemki”. Oddany był z bezpośredniej bliskości. Najwyżej z jednego metra, bo w ciele naokoło widać było jeszcze cząsteczki prochu. Takie same powinny znajdować się i na piżamie. Stosunkowo niewielkie krwawienie świadczyło, że śmierć nastąpiła prawie natychmiast.

- Dobrze strzelił - zauważył doktor Ross - prosto w serce.

To mówiąc odchylił zmarłemu koszulę na plecach, szukając wylotu kuli. Tu jednak nie było żadnej rany.

- Kula - wtrąciłem - prawdopodobnie poszła trochę na ukos. Przebiła prawą komorę serca i utkwiała gdzieś pod łopatką. Prawda, panie kolego?

- Ja też tak sądzę - zgodził się *rattslakare* z Lund. - Bezpośrednią przyczyną zgonu było uszkodzenie powłoki sercowej i krwotok wewnętrzny. Ale z całą pewnością będę mógł to potwierdzić dopiero po dokonaniu sekcji zwłok.

- Dla mnie nie ma to większego znaczenia - zauważył Magnus Torg - znacznie bardziej interesuje mnie ten numer na przedramieniu.

- Ciekawe - powiedziałem - czy Maria Jansson widziała się z tym rybakiem?

- Mogę o to poprosić - zaoferował swoje usługi policjant z Lommy.

- Moi ludzie też się tym zajmą, ale miejscowemu łatwiej.

- Myślę, że się widzieli. Przecież Lilljan twierdzi, że ten Polak dzwonił do pani Jansson, do pensjonatu.

- Tak. Dzwonił, ale w dniu śmierci Marii Jansson. Na parę godzin przed zabójstwem. Może dopiero umawiali się na spotkanie, które nie doszło do skutku?

- No, panowie - oficer policji przywołał nas do porządku - o tym wszystkim będziemy mieli czas myśleć, kiedy skończymy z tym śledztwem na miejscu.

- To mówią? porucznik pokazał na leżącego na podłodze trupa.

- Bez sekcji zwłok nic więcej nie poradzimy - zauważył doktor Ross.

- Ale przypuszczalna godzina zgonu? - zapytał Magnus Torg.

- Uważam - pośpieszyłem z odpowiedzią - że nie wcześniej jak godzina

jedenasta wieczorem, a nie później niż pierwsza w nocy.

- A pan, doktorze Ross?

- Jestem tego samego zdania, co kolega Nilerud - przytaknął lekarz z Lund.

Tak więc już po raz drugi wydaliśmy z doktorem Thorstenem Rossem identyczną opinię. Przypominam, że badając ciało nieszczęsnej pani Jansson również byliśmy zgodni, że zgon tej kobiety nastąpił między piątą a siódmą po południu. Muszę przyznać, że zrobiło mi się dość przyjemnie, pomimo całej makabrycznej sytuacji. Pan doktor Ross jest przecież wybitnym specjalistą. Czytałem niejedną jego pracę w prasie fachowej. Poza tym to także profesor miejscowego uniwersytetu w Lund, cieszącego się najlepszą opinią w całej Szwecji. A jednak ten człowiek dwukrotnie przyznał mi rację. Zwykłemu lekarzowi policyjnemu, bez większych ambicji. To schlebia mojej próżności własnej, od której przecież nikt nie jest wolny.

Tymczasem nasi technicy dokładnie zrewidowali wszystko, co znajdowało się w kuchni. Bez sukcesu. Teraz przenieśli się do pokoju. Był on nieco większy od kuchni, ale również bez sufitu, tylko ze skośnym stropem. Tu umeblowanie było przyzwoitsze. Na podłodze leżał dość znośny dywan. Stół, choć już długo używany, pamiętał chyba lepsze czasy. Także i cztery krzesła. W rogu pokoju stała orzechowa szafa z lustrem pośrodku. Był tu także regał z książkami. Znajdowało się tam ich co najmniej ze dwieście. Na tapczanie znaleźliśmy rozesłaną pościel. Na jednym z krzesełek porządnie złożone ubranie. Zwykły garnitur, jaki można kupić za sto osiemdziesiąt koron w pierwszym lepszym magazynie w Malmo czy Lund.

Dopiero teraz zauważyłem, że nocna lampka na małym stoliczku przy tapczanie paliła się nadal.

- Myślę - powiedział jeden z policjantów - że ten człowiek już spał, a w każdym razie leżał na tapczanie. Usłyszał pukanie, wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je, a wtedy padł strzał. Morderca zatrzaskał drzwi. Huk strzału zagłuszyło morze. Wczoraj znowu szumiało głośniejsz niż zazwyczaj.

- To musiał być ktoś znajomy - podpowiedziałem - obcemu nie otwierałby drzwi o tak późnej porze.

- Nie wiadomo, co mu ten człowiek powiedział. Mógł się przedstawić, na przykład, jako listonosz, który przyniósł depezę. To stary trick przestępców, ale prawie zawsze się udaje.

- Tym bardziej - dodał policjant - że *gammie fiskaren* nie miał w ogóle telefonu.

- Czy był taki biedny? - zauważyłem. Nie mieć w Szwecji telefonu, to doprawdy coś wyjątkowego. Ostatni stopień nędzy.

- Nie. Biedny to on był - uzupełnił policjant - ale nie do tego stopnia. Jeżeliby chciał mieć więcej pieniędzy, wystarczyło mu częściej łowić. Ale on sam nieraz tłumaczył, że pieniądze nie są mu potrzebne. Byleby tylko zarobić na kawałek chleba i coś na grzbiet. Po prostu dziwak. Widocznie po przejściach obozowych nigdy nie przyszedł do siebie.

Jeden z *konstapli* dokładnie zbadał ubranie zabitego. Wykładał na stół zawartość kieszeni. A więc stary, skórzany portfel, grzebyk, lusterko, paczkę papierosów „Pall Mail” na pół opróżnioną. Dalej: chusteczka do nosa, druga zapasowa, zupełnie czysta, parę srebrnych koron i trochę bilonu oraz zapalniczka „wiatrówka”. Taka, jakiej zazwyczaj używają rybacy i marynarze.

Oficer policji otworzył portfel. Wyjął ze środka kilka banknotów. Razem sto osiemdziesiąt pięć koron. Wcale spora sumka, jak na takiego biedaka, za którego stary Polak uchodził w oczach sąsiadów. Poza tym znajdował się tam także mały kalendarzyk, bez żadnych notatek, i kilka rachunków. Między innymi z miejscowej pralni.

- Niewiele tego - mruknął Margus Torg. - Zobaczcie w biurku.

Opisując pokój zapomniałem zaznaczyć, że pod jednym oknem znajdowało się biurko. Przy nim stał dość wygodny fotel. Na biurku popielniczka, kalendarz stojący, blok czystego papieru i otwarta książka.

Wszystkie szuflady były otwarte. Ale trudno byłoby przypuszczać, aby morderca tu płądrował, bo na ogół panował w nich wzorowy porządek. W jednej był czysty papier. W drugiej jakieś serwetki i sporo najrozmaitszych fotografii. Tych na razie oficer policji nie oglądał. Niżej znowu książki. Wszystkie z zakresu rybołówstwa. Na najniższej położonej - większa ilość różnych lekarstw.

W największej, środkowej szufladzie, znaleźliśmy przede wszystkim paszport zagraniczny zabitego. Ze zdjęcia spoglądał na nas człowiek młodszy przynajmniej o dziesięć lat od tego, który leżał martwy w kuchni. Czyimś ładnym charakterem wykaligrafowano w rubryce „imię i nazwisko” takie wyrazy, które nasze szwedzkie usta mogły wymówić tylko z najwyższym trudem: Stanisław Trzeciecki

- Ale się w tej Polsce nazywają - roześmiał się jeden z *konstapli*. - Język można złamać. Aż dziw, że tam już małe dzieci mówią po polsku.

- Stary kawał - zauważył doktor Ross - po tamtej stronie Bałtyku to samo

mówią o Szwedach.

- Ee, chyba nie. Nie ma łatwiejszego języka - w jednym z *konstapli* odezwał się szwedzki patriota.

- Z paszportu wynikało, że zabity Stanisław Trzeciecki miał pięćdziesiąt dziewięć lat. W rubryce „zawód” napisano „rybak”, w pozycji zaś mówiącej o wykształceniu zaznaczono „inżynier mechanik”.

Aż gwizdnąłem czytając te słowa. Co za dziwny inżynier mechanik, który łapie ryby, zamiast pracować w swoim, tak dobrze płatnym, fachu? Choćby w pobliskiej cukrowni w Arlov.

Oficer policji przejrzał paszport zagraniczny zabitego. Dokument ten, wystawiony przed przeszło czterema laty, był dość zużyty. Sądząc po wizach i stemplach kontroli granicznej, Polak dużo podróżował. W każdym roku kilka wyjazdów za granicę. Belgia, Holandia, Anglia, Francja. Parę razy też Polska. Ostatni wyjazd do tego kraju właśnie w początkach maja. Wszystkie podróże trwały stosunkowo krótko. Trzy, cztery dni. Najwyżej tydzień. Wprawdzie w dobie samolotów odrzutowych podróż dookoła świata nie trwa dłużej, ale zazwyczaj ludzie, a zwłaszcza ludzie nie prowadzący wielkich interesów, w celach turystycznych wyjeżdżają na dłużej.

W tej samej szufladzie leżały dwie książeczki oszczędnościowe. Na jednej było trzysta dwadzieścia siedem koron. Na drugiej zaś osiem tysięcy siedemset czterdzieści koron. Jak na biednego rybaka, który nawet telefonu sobie nie zainstalował, prawdziwa fortuna. Co ciekawsze, ostatnia wpłata nosiła piątkową datę. Była dość poważna, bo aż tysiąc pięćset koron.

Zaskoczyło to policjanta z Lommy.

- Wprawdzie ten człowiek nigdy nie zwracał się o pomoc do opieki społecznej, ale wszyscy mieliśmy go za zupełnego biedaka, takiego, który w kieszeni ma najwyżej osiemdziesiąt koron.

- Zbadamy to - powiedział Magnus Torg.

W szufladzie były także jakieś dokumenty. Pisane w nie znanym nam języku. Prawdopodobnie po polsku. Dwie inne szuflady biurka zajmowały listy. Ułożone bardzo starannie, w paczkach przewiązanych sznurkiem. Na kopertach znaczki z całego świata.

Porucznik zapakował wszystkie papiery do wielkiej torby.

- Poślę je do Lund. Niech tam rozejrzą się szczegółowo w tej pisaninie. Listy

we wszystkich językach, bo zauważyłem nawet po włosku. Muszą to przeczytać fachowcy.

- Bardzo tajemniczy człowiek - zauważył doktor Ross.

- Na razie na tym skończymy tutaj robotę. Dom się zapieczętuje. Jeden z *konstapli* będzie go pilnował. Kiedy będziemy wiedzieli już coś więcej o zabitym, a przede wszystkim kiedy dowiemy się, jaką jest treść korespondencji, wtenczas, być może, przeprowadzimy dodatkowe badania.

- Trzeba sprowadzić karetkę po ciało - zauważył lekarz z Lund.

- To już załatwione - odpowiedział Magnus Torg. - Samochód jest w drodze.

Powinien być tu lada moment.

- A gilza? - zainteresowałem się. - Sądząc z naszych spostrzeżeń, morderca strzelał stojąc na progu domu. Łuska powinna tam gdzieś leżeć. To może być bardzo ważne.

- Szukałem tej łuski wszędzie - wyjaśnił oficer policji - zanim jeszcze wróciliście z posterunku. Ale nigdzie nie znalazłem. Widocznie morderca ją podniósł.

- Po ciemku?

- Może jednak strzelił będąc już w kuchni? Wtedy podniósł łuskę z podłogi. A może, zawodowi bandyci często tak robią, owinał pistolet w chustkę i gilza pozostała wewnątrz tej chustki? Albo strzelał przez kieszeń?

- Toby nie było cząsteczek prochu na ciele - zauważył doktor Ross.

- W każdym razie łuski nie ma - skonstatował Magnus Torg.

Skierowaliśmy się do wyjścia. Kiedy przechodziliśmy przez kuchnię, wydawało mi się, że coś błyszczący przy nóżce szafy. Zauważyłem pokazując ręką:

- Tam się coś żółci. Łuska?

Jeden z wywiadowców nachylił się i zajrzał pod szafę. Niczego nie dostrzegł.

- Bardziej z boku - wyjaśniłem. - Widziałem wyraźnie przy tej nóżce z prawej strony jakiś żółty błysk.

Wywiadowca ukląkł z tej strony szafy. Nachylił się i sięgnął ręką. Podał *forste kriminalassistentowi* jakiś mały przedmiot. Pochyliliśmy się z ciekawości.

Na dłoni Magnusa Torga zabłysnął złoty pierścień z piękną perłą.

Narada sztabowa

W poniedziałek od rana do pensjonatu pani Astrid Brands zaczęli przybywać goście. Ale wcale nie tacy, jakich by sobie właścicielka tego renomowanego zakładu życzyła widzieć na Strandvägen.

A więc najpierw przyjechał dyrektor policji z Lund razem z jednym z komisarzy. Po nich zjawił się wszytkowiedzący reporter „Kvällsposten” redaktor Sven Breman, a jako ostatni zadzwonili do bramy dwaj panowie ze Sztokholmu, wysłannicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Prawie jednocześnie z nimi przyjechał i przedstawiciel władz prokuratorskich w Malmo.

Nic dziwnego. Dwa szybko po sobie następujące morderstwa, oba w niewielkiej wypoczynkowej miejscowości, to jak na Szwecję rzecz niebywała. Nawet wydarzenia na Bliskim Wschodzie musiały ustąpić takiej sensacji. Prasa zapełniała całe kolumny opisami Lommy, wywiadami z jej mieszkańcami i snuciem najrozmaitszych przypuszczeń. Policji dostała się potężna porcja uwag i docinków. Kiedy *förste kriminalassistent* przeglądał przy śniadaniu grube płahty pism, ręka trzymająca gazetę lekko mu drżała.

Najpierw *polismastare* długo rozmawiał w bibliotece ze swoim podwładnym. O czym mówiono, nie dowiemy się nigdy. Faktem jest, że Magnus Torg po tej konferencji miał aż czerwone uszy. Na pewno nie nasłuchał się wielu pochwał z ust zwierzchnika. Biedny porucznik doskonale rozumiał, że jeżeli śledztwo skończy się fiaskiem, wszyscy i tak zwałą całą winą na jego głowę. Nie była to przyjemna perspektywa.

Redaktor Breman uciął dłuższą pogawędkę z doktorem Bjornem Nilerudem. Obaj panowie byli zgodni: policja jak dotychczas niezbyt się popisała. Dwa główne odkrycia śledztwa: przecięte kraty w ogrodzeniu willi przy Strandvägen i odnalezienie pod szafą w mieszkaniu zamordowanego Stanisława Trzecieckiego złotego pierścionka, dokonane zostały nie przez zawodowych policjantów, ale przez amatorów, którzy przypadkowo znaleźli się na miejscu zbrodni.

- Podobnie jak w gospodarstwie rybnym - uśmiechnął się dziennikarz. - Żeby karpie były w ciągłym ruchu i szybciej rosły, wpuszcza się do stawu parę szczupaków. Takiej podniety potrzeba było naszej policji. Poza służbą ruchu i brygadami do walki z chuligaństwem, reszta przyzwyczała się do spokojnego życia, bez większych wydarzeń. Przy takich morderstwach, jak te dwa w Lommie, po prostu głowę tracą.

- A pan, redaktorze, chciałby w tym przypadku spełnić rolę szczupaka?

Sven Breman roześmiał się:

- Ja najmniej. Mam swoje sposoby i zawsze dowiem się choć odrobinę więcej, niż moi koledzy z innych pism. Ale reszta prasy nie będzie tak powściągliwa. Już są wymówki pod adresem policji. Tylko patrzeć, jak opozycja zacznie atakować cały rząd za zły stan bezpieczeństwa państwa i nieudolność administracji. A na rok przed wyborami to wszystko się liczy.

Niewątpliwie reporter „Kvällsposten” miał rację. Wiedzieli o tym w Sztokholmie. Dlatego właśnie dwóch wyższych urzędników ministerstwa zjawilo się w Lommie.

Kiedy przedstawiciele policji, ministerstwa i prokuratury zebrali się w pokoju bibliotecznym, ku wielkiemu zdziwieniu redaktora Bremana i doktora Nileruda Magnus Torg zaprosił ich obu do wzięcia udziału w naradzie. Obydwaj panowie zajęli miejsca nieco z boku, koło regału z książkami. Głos zabrał dyrektor policji.

- Postanowiliśmy naradzić się, w jaki sposób możliwie szybko posunąć sprawę naprzód - powiedział *polismästare*. - Ponieważ panowie Breman i Nilerud oddali nam poważne usługi, jest rzeczą słuszną, aby uczestniczyli w tych naradach.

Obaj przedstawiciele ministerstwa kiwnęli potakująco głowami, dyrektor zaś ciągnął dalej:

- Śledztwo, niestety, niewiele postąpiło naprzód. Muszę od razu podkreślić, że *utredningsman*, *kriminalassistent*, Magnus Torg, pracuje z wielką energią i trudno mu cokolwiek zarzucić. W „tej sytuacji byłoby niesłuszne i niecelowe zmieniać osobę prowadzącą dochodzenie. Sądzę, że panowie zgadzacie się w tym względzie ze mną?

Wszystkie głowy przytaknęły. Sven Breman spodziewał się tego. Coraz wyraźniej widział w młodym oficerze policji kozła ofiarnego. Chyba, chyba że ten porucznik potrafi jednak rozplatać tę zagadkę. Wtedy cała zasługa spadnie i tak nie na niego, lecz na dyrekcję policji w Lund.

- Po zabójstwie Marii Jansson mamy nową zbrodnię. Zamordowany został stary rybak polskiego pochodzenia. Pozwolicie, panowie, że nadal będę go nazywał rybakiem, bo trudno wymagać od uczciwego szwedzkiego gardła, żeby mogło wymówić jedno z tych słowiańskich nazwisk. Co ciekawsze, w mieszkaniu rybaka znaleziono pierścień, który niewątpliwie stanowił przedtem własność Marii Jansson. Ten pierścień oraz fakt, że pani Jansson na parę godzin przed swoją śmiercią rozmawiała z tym rybakiem, każe nam obie te sprawy łączyć w jedną. Pragnę też

wyjaśnić, że zbadaliśmy wszelkie dokumenty znalezione w domu starego Polaka. Są to fotografie z różnych zjazdów byłych więźniów politycznych z okresu okupacji oraz korespondencja o charakterze prywatnym, także z byłymi więźniami obozów hitlerowskich. W korespondencji tej często wspomina się o odwiedzinach rybaka u przyjaciół. To tłumaczyłoby jego częste, ale krótkie wypady za granicę. Przeanalizowaliśmy też dochody tego człowieka. Były one rzeczywiście niezbyt wielkie, ale nie takie małe, jak się wszystkim zdawało. Ten Polak łowił tylko ryby najdroższe, takie jak łosoś czy węgorz. Niekiedy więc połów nie przynosił mu żadnego zysku. Ale zdarzały się i połowy po kilkadziesiąt sztuk łososi. Wtedy rybak sprzedawał je bezpośrednio w Malmb albo w Kopenhadze. W niektórych restauracjach miał nawet swoje stałe konto. Nie płacono mu od sztuki, lecz dokonywano rozliczeń okresowo. Właśnie w tym tygodniu restauracja Grand Hotel w Malmo wypłaciła mu około dwóch tysięcy koron za ryby dostarczane w ostatnich miesiącach. Stąd ta duża pozycja na książeczce oszczędnościowej. Zamordowany był mniejszym fajtlapą, niż to się jego sąsiadom wydawało. Jego coroczne zeznania o dochodzie są bez zarzutu i ujawniają wcale spore zarobki. W tych warunkach stan oszczędnościowy tego człowieka jest zupełnie normalny, jeżeli nawet nie za niski. Ale wiadomo, podróże nie tylko kształcą, lecz również sporo kosztują.

- Myślę - zakończył swoje przemówienie *polismastare* - że każdy z panów ma jakąś koncepcję tłumaczącą przebieg wypadków. Jako prowadzący śledztwo, chętnie zapoznamy się z waszymi zdaniem.

Pierwszy zabrał głos dziennikarz.

- Jeżeli policja chce wysłuchać zdania nas - kibiców, to najlepszy dowód, że sama nie ma żadnej koncepcji, bo nic nie wie. Więc skąd my mamy coś wiedzieć? Sprawa jest bardzo dziwna. Żadne schematy do niej nie pasują. Syn zmarłej pani Jansson przypuszczał, że jego matka mogła zginąć z ręki ukrywającego się zbrodniarza wojennego. Pomijając już pewien nonsens, że taki zbrodniarz mógłby ukrywać się w Europie, teoria jest dość ciekawa, ale i ona ma niewytłumaczalne luki. Przede wszystkim, w jaki sposób morderca dostał się do pensjonatu, zupełnie nie zauważony przez osoby grające w brydża w salonie? Wiemy, że przeciął siatkę w ogrodzie, ale to nam nie tłumaczy jego dalszych kroków na terenie pensjonatu. Zabrał klejnoty, ale nie wziął książeczki czekowej przedstawiającej znacznie większą wartość. To wszystko razem nie bardzo trzyma się kupy.

- To prawda - przytaknął przedstawiciel prokuratury.

- A zabójstwo starego rybaka, moim zdaniem, całkowicie obala tę hipotezę. Gdyby mordercą był jakiś ukrywający się hitlerowiec, to uciekłby stąd jak najprędzej. Jest już przecież bezpieczny. Pani Jansson go nie zdemaskuje.

- Ten rybak również był w obozie koncentracyjnym.

- Tak. Ale żyje w Lommie od dwudziestu lat. Gdyby tu spotkał jakiegoś ukrywającego się hitlerowca, już dawno dałby znać policji.

- Mógł to być ktoś przejezdny. Turysta zza granicy.

- Tym bardziej dawno by uciekł, gdzie pieprz rośnie - dowodził reporter - taki turysta nie rabowałby też klejnotów. Co innego zabić ze strachu przed zdemaskowaniem, a co innego rabować. Zresztą jak wytłumaczyć, że jeden z tych pierścionków znalazł się w mieszkaniu starego rybaka? Uważam, że wyjaśnienie tego faktu da nam rozwiązanie całej zagadki.

- Łatwo powiedzieć - uśmiechnął się jeden z panów ze Sztokholmu.

Po czym drugi z przedstawicieli ministerstwa zabrał głos:

- Nie potrzebuję wam tłumaczyć, jak ważne jest możliwie najszybsze ujęcie morderców, czy też podwójnego mordercy. Wymaga tego nasz wymiar sprawiedliwości i nasze, wrodzone narodowi szwedzkiemu - poczucie prawa. Te tak ohydne zbrodnie muszą być szybko ukarane. To zresztą - dorzucił po malutkiej przerwie - leży nawet w osobistym interesie tych, którzy prowadzą dochodzenie. Chyba jasne? Ze swej strony przyrzekam w imieniu ministerstwa wszelką potrzebną pomoc, jakiej tylko zażądacie. Jeśli zajdzie potrzeba, przyślemy ze Sztokholmu naszych najlepszych fachowców. Nie muszę dodawać, że niewykrycie przestępcy byłoby katastrofą, której rozmiary i której skutki dla pewnych osób byłyby wprost nie do powetowania.

Trudno o wyraźniejszą groźbę pod adresem prowadzących śledztwo. Nic dziwnego, że dyrektor policji słuchając tych ostrych słów miał taką minę, jak gdyby ugryzł bardzo niedojrzałą cytrynę. Jedyne Magnus Torg ani drgnął.

- Sądzę - zabrał głos doktor Nilerud - że wszyscy doceniamy powagę sytuacji. A co do policji, to obserwując z boku całe dochodzenie, muszę zgodzić się z panem dyrektorem z Lund. Policja pracuje bardzo energicznie. Nie ma wprawdzie wielkich rezultatów, ale myślę, że to się zmieni. Wydaje mi się, że właśnie ten znaleziony pierścionek rozjaśnia sprawę i obala mit legendarnego zbrodniarza hitlerowskiego, a pozostawia tylko zwykłego mordercę, który zabił dla rabunku. Pani Jansson przed śmiercią nawiązała kontakt z tym rybakiem. Ten człowiek orientował się, że jest to

osoba bardzo bogata. Postanowił ją zamordować, aby zawładnąć klejnotami. Być może wyobrażał sobie, że biżuterii jest znacznie więcej i ma ona dużo większą wartość. Może nawet Jansson pochwaliła się swojemu rodakowi, że lokuje gotówkę w brylantach? Mógł mniemać, że brylanty znajdują się również w jej pokoju. Kobiety na ogół nie lubią rozstawać się ze swoimi skarbami.

- Przecież nie pomordowali się nawzajem - sarkastycznie zauważył prokurator.

- Oczywiście, że nie. Po prostu oboje zginęli z tej samej ręki. Polak, kiedy powziął myśl zamordowania czy tylko obrabowania pani Jansson, był dostatecznie mądry, żeby tej brudnej roboty nie robić własnymi rękoma. Wynałazł jakiegoś pomocnika. Znalazł go pewnie w którejś z portowych knajp w Malmo. Może także swojego rodaka, jakiegoś marynarza polskiego statku? W każdym większym mieście są męty gotowe na wszystko. A jak wiemy, stary rybak dobrze znał Malmo. Na pewno nie miał trudności z wyszukaniem odpowiedniego człowieka. Wtajemniczył go w swój plan, a następnie ułatwił dostanie się do pensjonatu. Jak to zrobił? Nie wiem. Może przemycił przed południem i ukrył go w jednym z pustych pokoi na górze? Przecież często przychodził do pani Brands i dostarczał jej ryb. Znał więc dobrze cały pensjonat, jego rozkład i wszystkie wejścia. A że nie był uważany za obcego, nie budził podejrzeń. Mógł nawet tak zorganizować akcję, żeby całą uwagę zwrócić na siebie; wówczas jego wspólnik szybko wbiegł na górę i ukrył się tam, aby poczekać na powrót pani Jansson.

- Hm - mruknął bez wielkiego przekonania prokurator.

- Myślę, że jednak było tak, jak to opisuję. Po morderstwie napastnik prawdopodobnie uciekł po balkonach. Dla silnego, fizycznie rozwiniętego marynarza, to żadna sztuka. Nawet - ja mógłbym się zdobyć na taki wyczyn. Ostatecznie zeskok nie większy niż dwa metry. Na dole, gdzieś w krzakach, rybak czekał na swojego wspólnika i odebrał mu łup. Być może, poszli do domku Polaka i tam się podzielili. Dalszy ciąg bardzo prosty do przewidzenia. Człowiek, który popełnił morderstwo dla garstki klejnotów, doszedł do przekonania, że nadarza się okazja dla zdobycia pozostałej części łupu. To drugie morderstwo było zresztą łatwiejsze. Zastrzelenie człowieka mieszkającego na osobności, tuż nad morzem, nie przedstawiało prawie żadnego ryzyka. Zbrodniarz zgłosił się do swojego wspólnika późnym wieczorem. Pod jakimś pozorem namówił go do otwarcia mu drzwi i od razu w drzwiach strzelił. Później odnalazł resztę kosztowności. Jeden z pierścionków upadł pod szafę i

morderca nie umiał go odnaleźć albo bał się zbyt długo przebywać na miejscu zbrodni. Dość, że zostawił ten klejnot, zgasił w kuchni światło i zatrzasnął drzwi. Widocznie zapomniał o lampce palącej się na nocnym stoliku w pokoju. Na miejscu policji przestępcy szukałbym w portowych tawernach Malmd czy Gdteborgu. Kto wie, czy ten człowiek nie zdążył jednak wyjechać ze Szwecji? Przecież prom z Ystad do Polski chodzi codziennie.

- Tak - przyznał reporter „Kvallsposten” - ta teoria z żelazną logiką tłumaczy wszystko. Ma tylko jeden minus.

- Jaki? - zaperzył się doktor.

- Ten, że nie jest prawdziwa. Zwiedziłem całą Europę. Byłem parę razy i w Polsce. Nie mogę zgodzić się z moim przedmówcą, że jest to naród bandytów mordujących kogo popadnie dla kilku pierścionków. Zresztą nasze policyjne i dziennikarskie doświadczenia nie potwierdzają takiego dość osobliwego twierdzenia. Flota polska codziennie odwiedza porty szwedzkie. Do Malmo czy do Goteborgu prawie każdego dnia przybijają dwa lub trzy statki z biało-czerwoną banderą. Daj nam Boże, żeby wszyscy cudzoziemscy marynarze tak się zachowywali w naszych miastach, jak ci Polacy. Jedyne przestępstwo, jakie czasem popełniają, to to, że w kieszeni wyniosą ze statku butelkę wódki, aby wypić ją ze swoimi szwedzkimi kumplami. Ale inicjatorami takiego przemytu najczęściej są Szwedzi. Czują oni, o tym dobrze wiemy, dziwny pociąg do polskiej wódki. Tym mniej przekonuje mnie twierdzenie, że zbrodnię uplanował stary rybak. W jakim celu? Rabunku? Miał przecież kilka tysięcy koron w banku. Zarabiał nieźle, potrzeb większych nie miał. Stać go było na odwiedzanie przyjaciół. I taki człowiek miałby się pokusić na garstkę klejnotów, w najlepszym przypadku wartości kilku tysięcy koron, a poza tym trudnych do sprzedania?

- Przecież mówiłem - oburzył się Nilerud - że rybak mógł się spodziewać znacznie większego łupu niż te świecidełka, które pani Jansson nosiła na co dzień. Liczył na słynne brylanty i szmaragdy. Jeżeli *fru* Maria opowiadała o nich nawet pokojówce, to zapewne pochwaliła się również nimi przed swoim rodakiem. Na pewno inicjator zbrodni polecił swojemu wykonawcy zabrać i książeczkę czekową. Właśnie to, że książeczki nie ruszono, utwierdza mnie w przekonaniu, że mordercą jest cudzoziemiec i to pochodzący z kraju, który, nie zna obrotu czekowego. A takimi krajami są państwa komunistyczne.

- Nie przekonał mnie pan doktor - upierał się dziennikarz.

- Nie twierdzą kategorię, że mordercą jest Polak. Jeśli to panu redaktorowi nie odpowiada, ustępuję. Zbrodniarzem jest jakiś wyrzutek społeczeństwa. A czy nosi w kieszeni szwedzkie dokumenty, czy też jest cudzoziemcem, to raczej obojętne. Dla mnie punktem wyjścia jest pierścionek leżący pod szafą. Do domu rybaka mógł go przynieść tylko morderca.

- Z tyra się zgodzę - potwierdził Sven Breman.

- A więc mordercą pani Jansson jest albo stary Polak, albo jego współnik. Ten, który później zamordował i rybaka, ponieważ nie chciał się z nim dzielić owocami swojej krwawej pracy. Inaczej być nie może.

- Teoria pana doktora Nileruda - wtrącił dyrektor policji - jest niewątpliwie ciekawa. Ma ogromną zaletę. Tłumaczy przebieg wypadków. Jej słabym punktem jest osoba „den gamle Polackeri”. To był, jak zdołaliśmy ustalić, człowiek kryształowej uczciwości. Poza tym bardzo uczynny i nie przywiązujący wielkiej wagi do pieniędzy. Przekazywał za granicę duże sumy. Były to przesyłki dla byłych towarzyszy niedoli z obozów hitlerowskich, chorych lub znajdujących się w ciężkich warunkach materialnych. Nierzadko pomoc ta była całkowicie anonimowa. Taki człowiek miałby być mordercą dla stosunkowo niewielkiej kwoty? Ta hipoteza mi nie odpowiada.

- A może - podjął znowu doktor Nilerud - stary Polak miał zadawnione porachunki z panią Jansson? Obozy hitlerowskie nie były idyllą. Ludzie ratowali tam nieraz swoje życie kosztem innych. Może ten człowiek kiedyś skrzywdził panią Jansson? Może zresztą było i odwrotnie? W każdym razie mógł mieć powody, żeby ją usunąć z grona żyjących. Wtedy klejnoty były tylko przynętą dla tego, kogo namówił na brudną robotę.

- Wtedy rybak oddałby cały łup mordercy.

- Nie. Tego by nie zrobił. Zdradziłby się, że zależało mu na zbrodni, a nie na korzyściach materialnych. Znalazłby się w złej sytuacji wobec swojego współnika. Ten drugi szybko by się zorientował, w czym sedno, i mógłby później szantażować rybaka. A kiedy podzielili się klejnotami, to wiązali się wspólnym losem. To było mądre posunięcie ze strony Trzecieckiego.

- Za dużo w tej hipotezie różnych dodatkowych zastrzeżeń, aby trafiła mi ona do przekonania - dziennikarz nadal nie zgadzał się z Nilerudem.

- Przyznaję, że moja teoria ma słabe punkty, ale proszę, przedstawcie panowie lepszą.

- Jestem zdania - zabrał głos jeden z panów ze Sztokholmu - że nad tą teorią policja nie może przejść do porządku dziennego. Trzeba zbadać życie tego rybaka. Sięgnąć nawet do czasów, kiedy przebywał w Oświęcimiu. Sądzę, że udałoby się otrzymać tego rodzaju wiadomości z Polski, z tamtejszej organizacji więźniów politycznych. Na pewno znajdą się ludzie pamiętający współwięźnia nazwiskiem... - tu delegat ministerstwa zaciął się i wydał dziwny syk. - Jeżeli zajdzie potrzeba, gotowi jesteśmy wysłać kogoś do Warszawy, aby uzyskać jak najszybciej odpowiedź. Trzeba będzie wyjaśnić także pewne szczegóły przeszłości pani Jansson. To może się przydać do dalszego śledztwa. W ogóle im więcej będziemy wiedzieli o tych ludziach, tym lepiej dla nas. Należy także ustalić, co rybak robił w Malmo. Myślę, że miejscowa policja rozporządza różnymi konfidencyjnymi sposobami, żeby wysondować, co dzieje się wśród tych, jak ich pan doktor określił „mętów”. Co oni mówią o obu zbrodniach i czy osoba starego Polaka jest znana? W tym dochodzeniu nie możemy sobie pozwolić na luksus pomijania choćby najdrobniejszego śladu.

- Niczego nie lekceważymy - odezwał się dyrektor policji - i bardzo jesteśmy panom wdzięczni za obiecaną pomoc. Na pewno z niej skorzystamy.

- A ja sądzę, że to wszystko do niczego nie doprowadzi - reporter „Kvallsposten” nadal był pesymistą. - W tej sprawie tkwi jakaś zagadka. Przyznają, że nie wiem jaka. Być może, można by ją rozwiązać już teraz, nie wychodząc z tego pokoju. Niemniej cała dotychczasowa działalność policji potrzebna jest do kręcenia się psa za własnym ogonem. Im pies szybciej biegnie, tym ogon jest prędniejszy.

Magnus Torg szybko podniósł głowę, ale nie odezwał się ani słowem.

- Tak pan myśli, redaktorze? - powiedział dyrektor policji głosem słodkim jak lukrecja.

- Właśnie - przytaknął Sven - w tej sprawie jest jakaś żelazna logika. I to nie nasza, lecz mordercy. To człowiek zdecydowany na wszystko, ale nie głupi i nie ryzykant. Morduje, bo musi. Bo nie ma innego wyjścia. Zamordował Marię Jansson. Ta kobieta w jakiś sposób stanęła na jego drodze, dlatego musiał ją usunąć. Nie dla brylantów i szmaragdów, w których milionerka się lubowała. Ani dla garstki świecidełek, które zabrał. Dla tej samej przyczyny musiał zamordować starego Polaka. Morderca działa konsekwentnie. Popelnia zbrodnię, bo uważa, że nie ma innego wyboru. Jeżeli panowie tego nie wiedzą, to nigdy nie zdemaskują sprawcy. Musimy znać powód, dla którego zginęło dwoje ludzi.

- To, co pan mówi teraz, redaktorze - zauważył Nilerud - przeczy pańskim

słowom sprzed pół godziny. W swoim pierwszym przemówieniu kategorycznie odrzucał pan teorię dyrektora Janssona, że zbrodnia ma podłoże polityczne, a jej sprawcą jest jakiś ukrywający się hitlerowiec. Tymczasem ze słów wypowiedzianych przed chwilą jasno wynika, że staje pan na gruncie hipotezy syna *fru* Marii.

- Tylko głupcy nigdy nie zmieniają swojego zdania - zareplikował dziennikarz. - Zresztą nadal nie twierdzę, że mordercą musi być hitlerowiec. Po prostu uważam, że tych dwoje: panią Jansson i starego rybaka łączyła jakaś wspólna tajemnica. Może z czasów wojny, może wcześniejsza, może też późniejsza. Nie wiem, ale jestem przekonany, że taka łączność między tymi ludźmi istniała. I dlatego musieli zginąć oboje. Śmierć jednego z nich była jednocześnie Wyrokiem dla pozostałej osoby. Powtarzam, nie znam klucza do otwarcia tych drzwi, ale uważam, że tylko tego trzeba szukać.

Znowu Magnus Torg zrobił ruch, jak gdyby chciał się wtrącić do dyskusji i znowu nie wypowiedział ani słowa.

- Widzi pan, redaktorze - przemówił dyrektor policji - pańska teoria ani niczego nie wskazuje, ani niczego nie tłumaczy. Że ci ludzie, pani Jansson i stary rybak, znali się, to bardzo możliwe. Przecież oboje byli Polakami i oboje przebywali w Oświęcimiu. Świadczą o tym najlepiej numerki, które mieli wytatuowane na przedramieniu. Ale z tego nic nie wynika. Krwawe porachunki pomiędzy współwzięniami, o czym wspominał pan doktor Nilerud, w dwadzieścia dwa lata po tych tragicznych przeżyciach, nie wydają się nam również prawdopodobne. Oczywiście zbadamy wszystko, weźmiemy pod uwagę każdą hipotezę. Nawet taką bez początku i końca jak ta, którą nam przed chwilą przedłożył przedstawiciel znakomitej „Kvällsposten”.

Redaktor Sven Breman podskoczył, jak gdyby go ktoś szpilką ukłuł.

- Dziękuję panu dyrektorowi za pochwałę, ale chyba na nią zasłużyłem. Nie zawahałem się przecież wejść w gęstwinę krzaków i zaryzykowałem poplamienie ubrania, żeby tylko móc przyjść z pomocą policji, której możliwości nie pozwalały na znalezienie dziury w płocie. Z kolei mam odrębne zdanie niż pozostali uczestnicy tego zgromadzenia. Nie potrafię może dostatecznie jasno sprecyzować swoich podejrzeń, ale czuję, że się nie mylę. Potwierdza to pierścionek, który znaleźliście w tym małym domku. On też odgrywa w tym dramacie jakąś rolę.

- Po prostu został zgubiony przez podwójnego mordercę - wtrącił Nilerud.

- Może, ale nie jestem tego tak pewny jak pan doktor. Może pani Jansson

podarowała ten pierścień swojemu rodakowi?

- I te wszystkie klejnoty, które zniknęły z jej szkatułki? - ironicznie zapytał lekarz policyjny z Uppsali.

- Nie wiem. Wiem jedno. To wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje.

- Jeszcze bardziej skomplikowane? - uśmiechnął się prokurator - ja w tej sprawie nie widzę w ogóle nic innego jak same komplikacje.

- Tak. To nie żarty. Jeszcze bardziej skomplikowana jest ta sprawa, niż nam się może wydawać. Dlatego właśnie nie pasują do niej żadne schematy. I dlatego policja pomimo bezbłędnego prowadzenia dochodzenia nie może się poszczycić żadnymi sukcesami.

- A więc co pan radzi, redaktorze? - zapytał delegat z ministerstwa.

- Myśleć. Po prostu bardzo intensywnie myśleć o tej sprawie. Nie zaniedbując oczywiście wszystkich możliwych metod śledztwa. Trzeba sprawdzać też wszystkie teorie, jakie już powstały i jakie mogą się jeszcze narodzić. Ale przede wszystkim myśleć i jeszcze raz myśleć. Analizować aż do znudzenia przebieg faktów. Każde zeznanie, każdy dokument. Aż znajdzie się klucz do zagadki.

- Obawiam się - wtrącił dyrektor policji - że do znanych nam faktów i najintensywniejsze myślenie nie doda nowego dowodu, ruszającego śledztwo z martwego punktu, na którym utknęło.

- Jeśli panowie tak sądzicie, to nie jest to wesołe - stwierdził reporter. - Obawiam się, że nie osiągniecie szybko sukcesu.

- Wszyscy tutaj obecni wypowiadali się - wtrącił jeden z panów ze Sztokholmu - lecz najbardziej kompetentna osoba, prowadzący śledztwo, ani razu nie otworzył ust. Co pan sądzi o tym wszystkim, *förste kriminalassistenciel*.

Magnus Torg podniósł głowę.

- Jestem przekonany - powiedział - że sprawa jeszcze się nie skończyła. Przeciwnie, sądzę, że znajdujemy się dopiero na samym początku wydarzeń.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tyle, że nasz zbrodniarz znalazł się na równi pochyłej. W jakimś nie znanym nam jeszcze celu musiał zamordować Marię Jansson. Ale potem okazało się, że ta zbrodnia go nie uratowała. Dlatego zginęła następna osoba, stary rybak. To już drugi krok na tej drodze. Równia pochyła ma to do siebie, że kto na nią wstąpił, nie może się cofnąć. Musi posuwać się tylko w jednym kierunku. Aż do samego końca. I to

coraz szybciej.

- To by znaczyło...?! Nie chce pan chyba powiedzieć, że spodziewa się pan dalszych morderstw?

- Właśnie to miałem na myśli - przytaknął Magnus Torg.

- Jak to? - oburzył się delegat. - Pan przypuszcza, że zostaną popełnione nowe zbrodnie i siedzi pan bezczynnie?

- A cóż mam innego robić? - Magnus Torg był całkowicie spokojny. - W Szwecji jest osiem milionów ludzi. Skąd mogę wiedzieć, kto będzie następną ofiarą? Nic nie wiem o osobie mordercy ani o celu, jaki chce osiągnąć swoimi zbrodniami. Nie zaniechałem specjalnych środków mających na celu zwiększenie bezpieczeństwa w Lommie i w okolicach. Miejscowy posterunek został w dniu wczorajszym wzmocniony czterema policjantami. Również i liczba patroli samochodowych i częstotliwość ich przejazdu przez tę miejscowość została powiększona. Zrobiłem wszystko, co w ogóle mogłem w tej sytuacji zrobić. A jednak nie chciałbym być złym prorokiem. Obawiam się, że krwawa seria wydarzeń nie skończyła się i nie skończy dopóty, dopóki zbrodniarz będzie na wolności.

- Pan chyba coś ukrywa przed nami - powiedział prokurator, a w jego głosie zabrzmiał zarzut.

- Niczego nie ukrywam - zaprzeczył porucznik. - Nawet bym nie śmiał tego robić. Przecież znajduję się w gronie osób, którym służbowo podlegam. Jednego jestem pewien, zbrodniarz zostanie ujęty. I właśnie ja go zaaresztuję. Może nie jutro, za tydzień, może za miesiąc.

- Za miesiąc! - jęknął jeden z przybyłych ze stolicy. - Za miesiąc będziemy mieli interpelację w parlamencie i wniosek opozycji o odwołanie ministra oraz o przeprowadzenie odpowiednich zmian w administracji.

- Nie stawiam żadnych terminów. Ani dalekich, ani bliskich. Tylko...

- Tylko co? - *polismastare* był wyraźnie podenerwowany wystąpieniem swojego podkomendnego.

- Tylko idę za radą przedstawiciela prasy - poważnie wyjaśnił Magnus Torg.

- Myślę, bardzo intensywnie myślę.

Krew na plaży

środa, U czerwca wieczór

Mija zaledwie tydzień cd tragicznej śmierci biednej pani Marii Jansson, a ileż wprost niepojętych na zwykły ludzki rozum wydarzeń musiałem zanotować w swoim pamiętniku. Gdybym to mógł przewidzieć, nigdy bym nie przyjechał do tej pozornie cichej i spokojnej miejscowości, za jaką uchodziła dotąd Lomma. Nigdy też nie skierowałbym swoich kroków w stronę wytwornego pensjonatu na Strandvagen, pani Astrid Brands. Niestety, przeszłości nie da się cofnąć. Stałem się jednym z trybów wielkiej maszyny. Nie mogę się wycofać. Jedno, co mi pozostało, to możliwie dokładnie spisywać przebieg wydarzeń.

Weszło już w zwyczaj, że moje codzienne zapiski robię w dwóch egzemplarzach i jeden doręczam Magnusowi Torgowi. Początkowo oficer policji nie przywiązywał większej wagi do tych arkusików wypełnionych maszynowym pismem. Jakie to szczęście, że lubię zabierać z sobą dużo gratów. Między innymi podręczną apteczkę i malutką maszynę do pisania. Gdybym jej nie miał, przyznaję szczerze, zabrakłoby mi ochoty i energii, aby wszystko spisywać ręcznie i to jeszcze z kopią. Teraz porucznik chętnie i dokładnie studiuje moje, jak je nazywa, „raporty”. Nie dalej jak wczoraj stwierdził, że są one bardzo pożyteczne, bo dają dokładny obraz wydarzeń sporządzonych przez człowieka stojącego nieco z boku i nie zainteresowanego. Więc staram się być możliwie jak najbardziej dokładny.

Po wielkiej naradzie z udziałem różnych władz, jaka odbyła się w poniedziałek, nasz *forste kriminalassistent* był w ciągłym ruchu. Gdzieś jeździł, przesłuchiwał chyba większość mieszkańców Lommy. We wtorek, kiedy zszedłem na dół, porucznika już nie było. Ani jego dwóch *konstapli* i samochodu policyjnego. Wrócili późnym wieczorem, po kolacji. Ja łyknąłem swoje uspokajające pigułki: coraz gorzej sypiam, a morderstwem starego Polaka bardzo się przejąłem. Budzę się w środku nocy i całymi godzinami nie mogę zasnąć. Myślę, myślę i myślę. Rano wstaję taki zmęczony, jak gdybym całą noc rąbał drzewo.

Zresztą my, mieszkańcy pensjonatu, jesteśmy na krawędzi wyczerpania nerwowego. Tuveessonowie chcieli wyjechać. Ten sam zamiar miała i piękna rozwódka, pani Nora Lindner. Również inni goście chętnie by opuścili Lommę. Niestety, Magnus Torg grzecznie lecz stanowczo poprosił, żeby jeszcze kilka dni się wstrzymali. Taka prośba równa się rozkazowi! Nic więc dziwnego, że moje lekarstwo na nerwy ma duże powodzenie. Utarło się, że po kolacji wszyscy łykają po jednym kolorowym ziarenku. Nawet *froken* Lilljan i obaj *konstaple*. Tylko Magnus Torg ma”

mocne nerwy i zdrowy sen. Tak nieraz chrapie, że chociaż mieszkam na pierwszym piętrze, a on na parterze, słyszę go doskonale. Taki sen to wielki los na loterii życia.

W nocy z wtorku na środę spałem fatalnie. Nie pomogło lekarstwo, chociaż łyknąłem aż dwie pastylki, czego nigdy nie robię. Zasnąłem stosunkowo szybko, ale nie spałem nawet dwóch godzin. Później aż do rana wierciłem się na swoim tapczanie, ale sen nie chciał powrócić. Dopiero gdzieś po czwartej zapadłem w drzemkę pełną majaków. Już przed szóstą obudziły mnie dzwonki i dobijanie się do drzwi. Później rozpoczęła się biegania po schodach. Ci policjanci mogliby jednak zachowywać się trochę ciszej. Jeżeli sami nie mogą spać, wzięliby pod uwagę, że znajdują się nie w koszarach, lecz w pensjonacie, do którego ludzie przyjechali na odpoczynek.

Przez jakiś kwadrans usiłowałem nie zwracać uwagi na te hałasy. Wreszcie zwlokłem się z tapczanu i w piżamie wyszedłem na korytarz, aby połajac *konstapli*. Oni to bowiem najwięcej łomotali na schodach swoimi ciężkimi buciorami. Akurat jeden z policjantów zbiegał z góry. Już otwierałem usta, żeby mu zwrócić uwagę, kiedy spostrzegając mnie powiedział:

- Pan wie, doktorze, zamordowano *extra poliskonstapla* z Lommy!

- Kogo?!

- Algota Olssona. Tego wysokiego blondyną. Składaliście mu pierwszy meldunek o śmierci pani Jansson. A teraz on sam nie żyje.

- Zamordowany! - powtórzyłem, bo mi się to w głowie nie mogło pomieścić.

- Tak! Nożem w plecy.

- Gdzie?

- Niedaleko. Na plaży. Może z dwieście metrów od naszej willi.

- Chciałem jeszcze popytać *konstapla* o szczegóły, ale on nie miał czasu i przeskakując po dwa stopnie schodów, zbiegł na dół. Wróciłem do siebie i szybko się ubrałem. Kiedy zszedłem na parter, nie było tu nikogo. Drzwi z jadalni na taras były szeroko otwarte. Otwarta też była furtka prowadząca na plażę. Z daleka zobaczyłem grupę osób, wśród których znajdował się Magnus Torg i obaj nasi *konstaple*.

Pośpieszyłem w tamtym kierunku. Już z daleka zorientowałem się, że otaczają oni ciało mężczyzny na piasku. Nie ulegało wątpliwości, był to Algot Olsson. Jego jasne włosy zlewały się prawie z barwą piasku. Miał na sobie granatowoczarny mundur policyjny. Leżał na brzuchu, z głową nieco podgiętą i rękoma szeroko rozrzuconymi. Na twarzy zabitego zastygł wyraz zdumienia. Śmierć spotkała go w

momencie, kiedy najmniej się tego spodziewał.

Podszedłem do stojących. *Konstapel*, z którym przed paru minutami rozmawiałem, wskazał ręką na plecy zmarłego. Z lewej strony marynarka miała niewielkie przecięcie. Nachyliłem się. Nie ulegało wątpliwości - było to uderzenie nożem. Ten cios musiał dosięgnąć serca. Byłem pewien, że nóż poszedł z dołu nieco ku górze, omijając żebra i łopatkę.

- Co pan na to powie? - przywitał mnie Magnus Torg.

- Wydaje się - wyjaśniłem - że zgon nastąpił natychmiast. Ten człowiek nawet nie zdążył krzyknąć. Więcej, nie wiedział, że umiera. Stąd to zdziwienie zastygłe na jego twarzy. Poza tym dodam, że ten, kto uderzył nożem, musiał być silnym mężczyzną, co najmniej średniego wzrostu. Czy nóż tkwił w ranie?

- W ogóle nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni - odpowiedział jeden z *konstapli*.

- A jakieś ślady?

- Siadów jest dużo. Miękki, suchy piasek. Więc i ślady są na pół zasypane, bez żadnej wartości. Zresztą zanim nas zaalarmowano, było tu już kilka osób. Ciało doskonale widać z szosy. Spostrzegł je jeden z pasażerów autobusu. Samochód zatrzymano i wszyscy, nie wyłączając kierowcy, przybiegli. Jeżeli nawet pierwotnie były jakieś ślady, to i tak zdeptano je dokładnie.

- To oni zaalarmowali policję?

- Tak. Mieszkańcy Bjarred wiedzieli, że w domu pani Brands mieszka *forste kriminalassistent* i jeden z nich pobiegł do naszej willi. Zanim się dobudził pani Ranhild Moberg, kucharki mieszkającej w portierce, i zanim ta otworzyła furtkę, upłynęło sporo minut. A przez ten czas rósł tłum gapiów wokół zabitego. Ledwośmy się z tym uporali.

- Może ktoś wyciągnął nóż z rany? - zapytałem.

- Nie. Twierdzą, że nikt nie dotykał nawet zabitego. To raczej prawda.

Policja z Lund była już zawiadomiona. W ciągu pół godziny zjawili się znani mi już technicy dochodzeniowi i doktor Ross. Ten ostatni był wyraźnie niewyspany i zły.

- Jeszcze jeden trup - powiedział brnąc przez piasek plaży. - Coraz lepiej dzieje się w Królestwie Trzech Koron. Jak tak dalej pójdzie, to w Lommie niedługo zabraknie ludzi żywych.

Fotograf bez słowa przystąpił do robienia zdjęć. Pozostali dwaj technicy stali bez ruchu.

- Nie mamy tu nic do roboty - powiedział jeden z nich. - Te ślady nie nadają się nawet do sporządzania odlewów. Zresztą jest ich tyle, że trzeba byłoby przywieźć z Lund samochód ciężarowy gipsu.

- Dla mnie również nie ma tu żadnego zajęcia - dorzucił daktyloskopograf. - Odbitki palców Olssona mamy w swoim archiwum w Lund.

Doktor Ross nachylił się nad ciałem. Przyznaję, miałem w ostatnich czasach tyle do czynienia z ludźmi zamordowanymi w Lommie, że nie ruszyłem się z pomocą.

- Cios prosto w serce - wyjaśnił profesor. - Ten facet nawet nie mrugnął, a już był na tamtym świecie.

Teraz lekarz badał proces stężenia mięśni.

- Zabity pomiędzy jedenastą a pierwszą w nocy - zdecydował i dodał zwracając się do mnie - co pan o tym sądzi?

- Chyba nieco później - odpowiedziałem - proszę nie zapominać, że noc była stosunkowo chłodna. Od morza wiał zimny wiatr. Przypuszczam, że w tych warunkach za absolutnie pewne godziny zgonu można przyjąć jedenastą trzydzieści i drugą w nocy. Znakomity specjalista od razu zgodził się z moim zdaniem.

- Słusznie - powiedział. - Nie wziąłem pod uwagę, że u was w Lommie, nad samym morzem, jest znacznie chłodniej niż w Lund. Dlatego proces stężenia mięśni musiał przebiegać szybciej. W każdym razie człowiek ten zginął nie później niż o godzinie drugiej w nocy. Ale co o tej porze robił na plaży? Przecież nie przyszedł się kąpać?

- Miał obchód - wyjaśnił kolega Olssona, drugi policjant z posterunku w Lommie. - Co noc jeden z nas obchodzi całą plażą, aż do Bjarred. Tej nocy kolejka przypadła na Olssona. Dlatego on tu leży, a nie ja.

- A po co robicie ten przegląd plaży?

- Były niedawno próby niszczenia w nocy koszy plażowych. Koło Lanckrony usiłowano z jakiegoś kutra wylądować parą skrzyń koniaku. Dlatego wydano ostatnio polecenie, żeby w nocy dawać baczenie na plażę.

- Kiedy Olsson zszedł z posterunku?

- Miał nocny dyżur. Objął służbę o dziesiątej wieczór. Zapewne najpierw pracował z godziną na posterunku, a później poszedł w obchód. Taki obchód trwa około czterech godzin. Kończymy go zazwyczaj wtedy, kiedy już świta. W jedną stronę idzie się plażą, wraca zaś Strandvagen. W ten sposób wychodzący na patrol

sprawdza i plażą, i całe osiedle.

- W zimie też tak dyżurujecie?

- W zimie brzeg jest oblodzony. Nikt do plaży łodzią nie dobije. Nikt też nie rozrabia na plaży. Kosze również są sprzątnięte. Trzeba pilnować tylko w sezonie.

Tknęła mnie pewna myśl. Nachyliłem się nad zmarłym i usiłowałem odwinąć lewy rękaw marynarki.

- Niech pan się nie trudzi - powstrzymał mnie Magnus Torg. - Olsson miał dopiero dwadzieścia pięć lat, nawet nie był żonaty. Na szczęście! Nie mógł więc być w Oświęcimiu.

- To dlaczego zginął?

Oficer policji wzruszył ramionami.

Właściwie nie mieliśmy tu już nic do roboty. Nadjechała karetka. Policjanci zanieśli na noszach zwłoki swojego kolegi do samochodu. Doktor Ross pożegnał się z nami. Technicy odjechali swoim wozem do Lund. Nasza grupa powoli wracała do pensjonatu. W jadalni zastaliśmy wszystkich gości. Oczywiście wiedzieli o nowej zbrodni. Nastrój był grobowy.

Byłem tak zmęczony bezsenną nocą i zdenerwowany tym, co widziałem na plaży, że nie miałem ochoty ani jeść, ani pić. Pocziwa Lilljan wmusiła we mnie prawie na siłę dużą filiżankę dobrej, mocnej kawy. To mi trochę pomogło. Podziwiam Magnusa Torga. Ten był tak spokojny, jak gdyby wrócił właśnie z orzeźwiającej morskiej kąpieli. Zjadł obfite śniadanie, popił go dwoma kubasami kawy i spokojnie udzielał informacji zgromadzonym przy stole.

Zamordowano go nożem - tłumaczył - w plecy. To najlepiej świadczy, że Algot Olsson doskonale znał mordercę i nie spodziewał się z jego strony niczego złego. Na pustej plaży nawet nocą trudno podejść tak cicho do człowieka, aby on niczego nie zauważył. A tym bardziej, jeżeli człowiek ten jest policjantem i ma patrolować plażę w poszukiwaniu chuliganów czy też przemytu. Przypuszczam, że *extra poliskonstapel* spotkał swojego przyszłego mordercę w Lommie i rozmawiając razem szli plażą. W pewnym dogodnym dla siebie momencie zbrodniarz został nieco z tyłu i uderzył nożem swojego rozmówcę, nie spodziewającego się żadnego ataku.

Z młodszym bratem Algota chodziłem razem do jednej klasy - powiedziała Lilljan. - Algot był bardzo silny i wysportowany. Nawet startował w Malmö na zawodach lekkoatletycznych.

- Czy morderca obrabował swoją ofiarę?

- Nie ruszył niczego. Pewnie tylko wyjął nóż z rany i uciekł. Idąc na nocny obchód, policjant wziął z sobą pistolet. Znaleźliśmy go w kieszeni zabitego. Razem z pieniędzmi i dokumentami. Rabunek nie był celem tej zbrodni.

- Więc co? - zapytała pani Brands, która wyjątkowo również była w jadalni. W tym dniu nikt widocznie nie czekał na przyniesienie śniadania do pokoju. Taka sensacja! - Znowu morderstwo. Już trzecie w ciągu tygodnia. Potworna historia. Kiedy to się skończy?

- Obawiam się, że na żadne z tych pytań nie będę umiał dać pani odpowiedzi.

- Przecież panowie są z policji. Musicie coś zrobić. - Nora Lindner zaatakowała Magnusa Torga. - Wyjechać nam nie wolno. Mamy siedzieć i czekać, aż na nas przyjdzie kolejka i dla każdego z nas szaleniec wymyśli inny rodzaj śmierci?

- Pani się myli - odpowiedział oficer policji. - To nie jest szaleniec. Zapewniam panią, że jest to człowiek, który doskonale wie, co robi. Planuje swoje kolejne zbrodnie z szatańską przebiegłością i realizuje je z żelazną konsekwencją. Jestem przekonany, że ani pani, ani prawie nikomu z mieszkańców tego domu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo.

- To dlaczego nie wolno nam opuścić Lommy? - denerwowała się pani Nora.

- Nie mam nawet prawa zatrzymywać państwa tutaj. To jedynie moja prośba, żebyście pozostali jeszcze kilka dni. Powiedzmy do niedzieli.

Zainteresowałem się tymi słowami Magnusa Torga.

- Pan myśli, że do tego czasu sprawa zostanie wyjaśniona?

- Może jeszcze nie, ale sądzę, że za kilka dni dalsza obecność państwa w Lommie nie będzie konieczna. Zresztą pogoda się poprawia. Po co się śpieszyć.

- Dziękuję! Nie mogę sobie darować, że wybrałam się do takiej strasznej miejscowości, gdzie ludzi mordują każdego dnia.

- Tego tu nigdy nie było - oburzyła się pani Brands. - Lomma to najprzyjemniejsza miejscowość wypoczynkowa w całej Skanii.

Magnus Torg dokończył śniadania i wstał od stołu.

- Znowu trzeba przesłuchać nieskończoną ilość osób i znowu na pewno nic się z tego nie skleci. Ale trudno, służba nie drużba.

Kiedy oficer był przy drzwiach, zatrzymałem go z prośbą o kilkuminutową rozmowę. Aczkolwiek niechętnie, ale się zgodził. Wyszliśmy do biblioteki.

- Wydaje mi się, że trzeba zrobić pewną próbę - powiedziałem. - Oczywiście, nie mam zamiaru ingerować w sprawy śledztwa, lecz nasunęła mi się pewna myśl.

- Jaka?

Starego Polaka zastrzelono z pistoletu „siódemki”. Taki sam był własnością Olssona. Czy nie byłoby celowe sprawdzenie tej broni i porównanie śladów na kuli wyjętej z ciała rybaka? Naturalnie nie sugeruję, że Olsson jest mordercą, to byłoby nonsensem. Ale ten człowiek miał rodzinę. Młodszych braci. Ci chłopcy mają kolegów. Dzisiejsza młodzież jest bardzo różna. Któryś z tych młodych ludzi mógł po prostu „wypożyczyć” sobie pistolet policjanta. Na pewno Olsson nie trzymał tej broni gdzieś w ukryciu. A przecież używał jej jedynie wtedy, kiedy udawał się na nocną służbę.

Pan doktor jest zawsze pełen pomysłów i nowych teorii - nieco ironicznie zauważył oficer policji. - Ale ma pan rację. W tej sprawie nie można niczego zaniedbać. Zrobimy tę analizę po prostu dlatego, żeby mieć spokojne sumienie.

O to mi właśnie chodzi - podchwyciłem. - Chciałbym też wiedzieć, co znaczą słowa pana, że „ani pani, ani prawie nikomu z mieszkańców tego domu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo”. To znaczy, że jednak niektórym z nas grozi?

- Tak by wynikało z moich słów - lekko uśmiechnął się Magnus Torg.

- Pan mnie przeraża i zadziwia. Nie dalej jak dwa dni temu wspomniał pan na naradzie, że spodziewać się należy nowej zbrodni. Już ją mamy. I znowu zapowiedź następnej serii mordów? Na jakiej podstawie wydaje pan swoje ponure prorocтва? Czyżby pan wiedział więcej, niż się do tego przyznaje?

- Nie. Zapewniam pana, doktorze, że wiem tyle co pan, a może i mniej. Po prostu zauważyłem, że te zbrodnie układają się w pewien łańcuch. Zupełnie logiczny łańcuch. Zresztą wspomniałem o tym na zebraniu. Zbrodniarz wkroczył na drogę, z której nie może się wycofać.

- No tak - przyznałem - staram się to wszystko zrozumieć, ale bez większego rezultatu. Nie chwytam pana myśli.

- A jednak jest żelazna logika w przebiegu zdarzeń.

- Nie widzę jej. Mogłem jeszcze zrozumieć dwa pierwsze morderstwa. Obie ofiary łączył jeden fakt. Byli kiedyś więźniami hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. To stwarza pole do najrozmaitszych kombinacji. Jedną z moich teorii przedstawiłem na zebraniu. Mogą być i inne koncepcje: porachunki poobozowe, zemsta, posiadanie jakiejś tajemnicy, mogącej kompromitować kogoś, być może jednego, z możliwych tego świata. Przecież w tych obozach byli ludzie, którzy dzisiaj stoją na czele różnych państw europejskich, są ministrami i dyrektorami wielkich

koncernów. Może to właśnie ręka jednego z „możnych tego świata” dosięgnęła tych dwojga? Może też miał rację dyrektor Jansson mówiąc, że jego matka obawiała się zemsty hitlerowców, bądź też mogła zdemaskować któregoś z nich. Wprawdzie do tych teorii nie pasuje rabunek klejnotów, ale widzę w nich pewną logikę. Natomiast zabójstwo Olssona jest dla mnie pozbawione sensu. Czym i komu mógł się narazić mały policjant z niewielkiej osady? Raczej jestem gotów przyznać rację Norze Lindner, że te wszystkie zbrodnie są dziełem jakiegoś zbrodnieńca.

- Nie, doktorze.

- W takim razie...?

- Niech pan się zastanowi. Dlaczego ci ludzie kolejno ginęli?

- Nie widzę żadnego związku między tą trójką.

- A ja widzę. Każde z nich było właścicielem jakiejś tajemnicy. Tajemnicy, która demaskowała zbrodniarza.

- Jednej tajemnicy? Jakiej?

- Jakiej? Nie wiem. Nie przypuszczam, żeby to była jedna i ta sama tajemnica, jaką ci ludzie zabrali z sobą do grobu. Sądzę, że jest wprost przeciwnie. Każde z nich coś wiedziało. Coś zupełnie innego niż pozostała dwójka. Ale każda z tych tajemnic demaskowała mordercę. Dlatego kolejno ginęli.

- To jest bardzo skomplikowane. Przecież Olsson był policjantem. Jeżeli wiedziałby lub choćby domyślał się, kto jest mordercą, jego obowiązkiem było natychmiastowe podzielenie się tymi podejrzeniami ze swoim zwierzchnikiem. Przede wszystkim z panem, o którym policjant wiedział, że zajmuje się śledztwem.

- To prawda. Ale Olsson mógł nie wiedzieć, kim jest morderca. Mógł znać jakiś fakt czy być świadkiem jakiegoś zdarzenia, a nie kojarzył sobie, że to, co wie, jest dla naszej sprawy bardzo ważne, a nawet decydujące. On o tym nie wiedział, ale morderca zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Dlatego usunął Olssona.

- A przedtem starego Polaka i jeszcze wcześniej panią Jansson?

- Tak! Właśnie tak było, jak pan to przedstawił. Pani Jansson знаła coś z przeszłości przyszłego swego mordercy. W jakiś sposób zdradziła się z tą tajemnicą. Dlatego została zabita. Następną ofiarą padł rybak, bo kontaktował się ze swoją bogatą rodaczką. Morderca wiedział lub mógł przypuszczać, że pani Jansson podzieliła się swoimi podejrzeniami z tym człowiekiem. Cóż więc robi morderca? Nie pozostaje mu nic innego jak popełnić nową zbrodnię.

- No, a co ma do tego ten prosty policjant?

- On też został w jakiś sposób wciągnięty w krąg tragicznych wydarzeń. Nie wiem, w jaki sposób, ale jestem tego pewny.

- Co on miał z nimi wspólnego? Założę się, że z panią Jansson nie zamienił w życiu ani jednego słowa. Starego Polaka znał, bo znali go wszyscy mieszkańcy Lommy. Ale choćby różnica wieku wyklucza większą zażyłość. Zresztą sam pan stwierdził, że rybak nie miał tutaj przyjaciół. Wprawdzie mieszkał w Lommie, ale żył obok jej mieszkańców.

- Mógł istnieć jakiś nie znany nani związek pomiędzy Olssonem a przestępcą. Mógł odegrać rolę zwykły przypadek. Na przykład Olsson spotkał starego rybaka, kiedy ten rozmawiał ze swoim przyszłym katem. Albo jeszcze prościej. Policjant siedząc w budynku, gdzie mieści się posterunek, zauważył, że późnym wieczorem ktoś idzie od strony Arlov, to jest z tamtego końca Lommy, gdzie stoi domek Polaka. Policjant albo w ogóle zapomniał o tym spotkaniu, albo tego kogoś nie skojarzył sobie z morderstwem, które wyszło na jaw na drugi dzień. Ale zbrodniarz widział Olssona i mógł się obawiać, że zostanie zdemaskowany. Podałem panu bardzo prosty przypadek i bardzo prawdopodobny, bo przecież posterunek policji również mieści się w jednym z ostatnich domów w Lommie od strony Arlov i jest oddalony od chałupki starego rybaka nie więcej niż dwieście metrów.

- Taak... - zauważyłem - to się trzyma kupy. Ale jeżeli tak było, jak pan przypuszcza, wypływa stąd jeden wniosek.

- Jaki?

- Ten, że mordercą jest jakiś mieszkaniec Lommy, człowiek tak poważny i szanowany, że miejscowemu policjantowi nie przyszło do głowy podejrzewać go o przestępstwo.

- To jasne, że naszego zbrodniarza nikt o to nie podejrzewa. Inaczej już byłby ujęty. Ten człowiek doskonale się maskuje i nikomu nawet nie śni się uważać go za mordercę. Cała trudność śledztwa polega właśnie na tym.

- Ale motyw pierwszej zbrodni? To mi nie pasuje do pańskiej koncepcji. Z panią Jansson coś wspólnego mógł mieć tylko stary Polak. Żaden inny mieszkaniec Lommy nawet jej nie znał. A zatem mordercą mógł być tylko ten rybak albo osoba przez niego nasłana.

- Słowem, wraca pan do swojej pierwszej teorii? - zauważył Magnus Torg.

- Bo nie widzę niczego innego, co tłumaczyłoby rozwój wydarzeń. Moja teoria nie przeczy wcale pańskiej. Przeciwnie, obie doskonale się uzupełniają. Po

zastrzeleniu starego rybaka, przestępca wracał do domu i spotkał Olssona, lub ten zobaczył go z okna posterunku. To pewnie jeden z miejscowych młodych ludzi. A mogło być tale, jak ja mówiłem. Ten człowiek świsnął Olssonowi pistolet, zastrzelił z niego swego współnika, a tymczasem policjant spostrzegł brak broni.

- Dowiemy się, jak to rzeczywiście było.

- Kiedy?

- Kiedy ujmimy zbrodniarza. Z jego zeznań.

- Mam nadzieję - zgodziłem się - że to nastąpi bardzo szybko.

- Ja też mam tę nadzieję.

- A wracając do niebezpieczeństwa, o którym pan wspomniał, komu ono może grozić?

- Przede wszystkim panu - doktorze, i mnie.

- Dlaczego?!

- Bo my dwaj jesteśmy najbardziej wtajemniczonymi ludźmi. Nikt nie wie tyle o mordercy co my dwaj. Dlatego może on podjąć desperacką próbę jeszcze jednego zamachu. Co do mnie, pilnuję się bardzo i radzę panu uważać na siebie.

- Pan to mówi poważnie?

- Jak najbardziej. Powtarzam, my dwaj najwięcej wiemy o mordercy.

- My? Ja nic nie wiem. Chyba pan?

- Wiem, że nic nie wiem - Magnus Torg zacytował słynne zdanie Sokratesa. -

A to bardzo dużo.

- Niczego więcej nie zdołałem dowiedzieć się od oficera policji. Jestem nawet skłonny przypuszczać, że Magnus Torg całą tę rozmowę prowadził jedynie w celu zaintrygowania mnie. Co, przyznaję, udało mu się w zupełności.

Ta rozmowa jeszcze bardziej mnie zdenerwowała, W ogóle jest ze mną coraz gorzej. Ładny sobie urlop wymyśliłem. Znowu łyknąłem dwie pigułki i poszedłem do siebie. Cały dzień przeleżałem. Nawet na obiad nie Zszedłem. Czuję, że nie przełknąłbym ani kęsa specjałów naszej zacne pani Moberg. Dopiero teraz, wieczorem, poczułem się trochę lepiej i robię te notatki.

Nowy gość

Czwartek, 15 czerwca

Przez całą środą Magnus Torg ze swoją ekipą i policjantami z Lommy, z ogromną energią prowadził dochodzenie w sprawie nowego zabójstwa, którego ofiarą padł miejscowy policjant Algot Olsson. Niestety, ta energia na nic się nie zdała. Nawet najmniejszych śladów przestępcy nie udało się zidentyfikować. Policjanci chodzili po Lommie, od domu do domu, szukając ewentualnych świadków nocnych wydarzeń. Pytali, kto późnym wieczorem chodził ulicami osady lub plażą.

W ten sposób porucznik uzyskał kilkanaście nazwisk ludzi, którzy wybrali się do Malmo lub Lund i wrócili stamtąd ostatnim autobusem, albo też tych, co zasiedzieli się nieco dłużej u przyjaciół lub po prostu w miejscowych knajpkach.

Forsbe kriminalassistent długo wszystkich przesłuchiwał. Sprawdzał godziny wyjścia i powrotu do domu. Była to benedyktyńska praca. Jednakże każdy wykazał się lepszym lub gorszym alibi, już nie mówiąc o tym, że posądzenie ich o zabójstwo policjanta lub nawet o jakieś mniejsze przestępstwo byłoby czystym nonsensem. Ale oficer policji postanowił sprawdzać nawet najczystsze nonsensy. W tak tajemniczej sprawie, jaką są te trzy kolejne zabójstwa, nonsens może okazać się rzeczywistością.

W rezultacie policja spędziła jeszcze jeden pracowity dzień, ale niczego nie dokonała i nie odkryła. Znowu kompletne fiasko.

Za to my w pensjonacie mieliśmy małą sensację. Oto rano, właśnie kiedy nasza mała gromadka zbierała się w salonie, żeby jakoś zorganizować sobie jeszcze jeden dzień luksusowego więzienia, w którym nas trzymał Magnus Torg, rozległ się dzwonek przy furtce. Za chwilę do domu wszedł wysoki, szpakowaty mężczyzna w wieku około sześćdziesiątki. Idąca obok *frdken* Lilljan niosła niewielką walizkę z żółtej skóry. Na nasz widok nieznajomy lekko się skłonił. Lilljan zawołała panią Astrid Brands, która po krótkiej rozmowie udała się z nowym gościem na górę..

Kiedy wróciła Lilljan, wzięliśmy ją od razu na spytki:

- Kim jest nowy gość? Skąd przyjechał? Dziewczyna „zastrzeliła” nas nowinami.

- Ze Sztokholmu. Ten pan jest z polskiej ambasady. Przyjechał w związku z wypadkami w Lommie i zatrzyma się kilka dni w naszym pensjonacie.

- Polak, i to z ambasady. Ciekawe! Najwidoczniej chce wtrącić się do śledztwa. Ale po co? Przecież i pani Jansson i Trzeciecki byli obywatelami szwedzkimi, więc Polacy nie mają prawa wścibiać tu swojego nosa. Ci ludzie wybrali wolność w naszej pięknej Szwecji i ambasada komunistycznego państwa nie ma tu

nic do gadania. To jest ingerencja w wewnętrzne sprawy szwedzkie. Mam nadzieję, że Magnus Torg wytłumaczy temu panu, żeby najbliższym pociągiem wrócił do Sztokholmu.

- On doskonale mówi po szwedzku. A jaki przystojny! - zachwycała się Lilljan. - Chociaż starszy, ale jeszcze niejedna *flicka* może stracić dla niego głowę. A jaki elegancki. Takiego garnituru nie kupi się nawet w „Domusie” czy w „Nordiska”.

- Ci komuniści umieją robić propagandę. Nie ma co! Ledwie przyjechał, a już ta dziewczyna jest po jego stronie.

Ponieważ postanowiłem notować w swoim pamiętniku wszystkie zdarzenia i moje reakcje, przeto umieściłem i tę uwagę. Przyznaję, że była może trochę jednostronna, bo kiedy ten pan z ambasady zjawił się na obiedzie, okazał się miłym facetem. Wyjaśniło się, że przyjechał, ponieważ znał osobiście panią Jansson i chciał prowadzącemu dochodzenie policyjne udzielić o niej nieco informacji. Zaznaczył na wstępie, że nie ma ani żadnych uprawnień, ani też zamiaru wtrącać się do pracy policji. Witold Owicki, tak się bowiem nazywa ten przedstawiciel ambasady, mieszka w Szwecji przeszło dwadzieścia lat. Co prawda z przerwą kilkuletnią, kiedy był na innej placówce. Dlatego nie tylko doskonale włada językiem szwedzkim, ale nawet tłumaczy naszą literaturę na język polski.

Ponieważ Magnusa Torga przez cały dzień nie było, bo ciągle usiłował zdobyć jakiś trop i stale kogoś przesłuchiwał, zetknięcie się pana Owickiego z oficerem policji nastąpiło dopiero przy kolacji. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, *forste kriminalassistent* wcale nie był zaskoczony pojawieniem się przybysza ze Sztokholmu. Domyślam się, że porucznik był o tym uprzedzony przez swoje zwierzchnictwo. To by też przemawiało na korzyść dyplomaty. Widocznie skomunikował się w Sztokholmie z ministerstwem i dopiero po uzgodnieniu z nim przyjechał do Lommy.

Po kolacji Magnus Torg poprosił Polaka do biblioteki. Ucieszyłem się, kiedy zwrócił się także do mnie:

- Pan doktor na pewno nie będzie nam przeszkadzał. A dyplomacie wyjaśnił:

- Pan doktor Nilerud bardzo pomaga nam w pracy. Jest doskonałym kronikarzem i prowadzi pamiętnik, który jest wiernym diariuszem zdarzeń. Poza tym pan Nilerud jest lekarzem policyjnym, wprawdzie na urlopie i znalazł się tu przypadkiem, niemniej dopomógł w ustaleniu godziny zgonu wszystkich ofiar tajemniczego zbrodniarza.

Pan Witold Owicki uśmiechnął się uprzejmie.

- Oczywiście - powiedział - nie mam żadnych zastrzeżeń co do obecności pana Nileruda. Nie przywiozłem zresztą żadnych rewelacji. Po prostu znałem panią Jansson i ona już po przyjeździe do Lommy dzwoniła do Sztokholmu, na Karlavagen, do naszej ambasady. Rozmawiała wtedy ze mną. Ponieważ śledztwo ujawniło kontakty pani Jansson i pytano o szczegóły, postanowiłem zgłosić się do prowadzącego śledztwo.

Teraz zrozumiałem. Oczywiście Magnus Torg sprawdził, jakie międzymiastowe połączenia miał telefon naszego pensjonatu w dniach, kiedy tu mieszkała pani Jansson. Nie mógł nie zainteresować się rozmową z ambasadą. Stąd przyjazd Owickiego do Skanii. Od przeszło piętnastu lat jestem już *rattslökare* i znam przecież pracę policji, a jednak nie mogę w działalności młodego *förste kriminalassistenten* znaleźć choć najmniejszego zaniedbania. Robi wszystko, co tylko można zrobić, a mimo to dochodzenie nie może się pochwalić choćby najmniejszym sukcesikiem. Co za cholerna sprawa.

Kiedy zajęliśmy miejsca w wygodnych fotelach, pan Owicki zabrał głos:

- Znam panią Jansson od bardzo dawna. Od chwili, kiedy znalazła się w Szwecji. Wtedy wszystkich więźniów obozów hitlerowskich, którzy dzięki akcji Folke Bernadetta znaleźli się w tym kraju, zgrupowano w szpitalach i domach wypoczynkowych. Tam ludzie ci powoli odzyskiwali zdrowie i równowagę moralną po swoich strasznych przeżyciach. Ambasada nasza była w stałym kontakcie zarówno z władzami szwedzkimi, jak i z więźniami pochodzenia polskiego. Wtedy właśnie jako urzędnik ambasady poznałem panią Marię. Znam jej historię.

- Tego nie mogłem dowiedzieć się od dyrektora Janssona. Wiedział tylko, że jego przybrana matka nie ma żadnej rodziny w Polsce.

- To się zgadza - przytaknął dyplomata. - Pani Jansson nie lubiła powracać do okropnych wspomnień i nie dzieliła się nimi nawet z tym, kogo kochała jak własnego syna. Powiem krótko: rodzina pani Jansson mieszkała w Polsce. Jej ojciec był leśniczym. W 1942 roku do leśniczówki niespodziewanie wpadli Niemcy. Znaleźli tam rannego partyzanta, którego nie zdążono ukryć. Leśniczego gestapowcy zastrzelili od razu na miejscu. Leśniczówkę spalono, matkę zaś i żonę leśniczego oraz jego czworo dzieci aresztowano i zesłano do obozu koncentracyjnego do Oświęcimia. Maria miała wtedy siedemnaście lat i była najstarsza z całego rodzeństwa. Jej dwaj bracia mieli trzynaście i jedenaście lat, a najmłodsza siostra dziewięć lat.

- Takich małych do obozu koncentracyjnego? - zdziwiłem się.

- Posyłali tam jeszcze młodszych - mimochodem wyjaśnił Owicki i ciągnął dalej. - Kiedy pociąg złożony z wagonów towarowych, w których stłoczeni byli zesłani, zatrzymał się na rampie kolejowej w Oświęcimiu, esesmani bijąc i strzelając kazali więźniom opuszczać wagony. Następnie pędzono ludzi przed oficerem SS. Ten ruchem trzymanej w rękę trzcinki kierował jednych w prawo, drugich w lewo. To się nazywało „selekcją”. Tych z lewej strony, samych młodych i silnych, pognano do obozu, żeby przed śmiercią jeszcze popracowali. Resztę: starców, kobiety i dzieci, popędzono wprost do komór gazowych i palono w wielkich piecach oświęcimskiego krematorium.

- Potworne! - wyrwało się z ust Magnusa Torga.

- Marię skierowano w lewo. Jej babka, matka i rodzeństwo tego samego dnia zginęli w komorze gazowej.

- To straszne! - zawołałem.

- Wy, a zwłaszcza młode pokolenie, uważacie opowiadania o okupacji hitlerowskiej za przesadę. A przecież w ten sposób jak rodzina pani Jansson, w samym tylko Oświęcimiu zginęło przeszło trzy miliony ludzi. Moja ojczyzna straciła w ciągu tych pięciu lat ponad sześć milionów obywateli. Z tego mniej niż czterysta tysięcy zginęło z bronią w rękę, reszta w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

- Panią Jansson zwolniono z obozu? - zapytałem.

- Tam prawie nikogo nie zwalniano. Jedynym wyjściem był komin krematorium. Po dwóch latach pobytu w Oświęcimiu Maria znalazła się następnie w obozie w Ravensbrück, skąd wydostała się pod sam koniec wojny do Szwecji. Nie miała żadnej rodziny i nie miała po co wracać na gruzy spalonego domu. Pozostała w Szwecji.

- W dwa lata później została żoną pana Janssona - uzupełnił Magnus Torg.

- Tak. Pamiętam, byłem na ich ślubie - ciągnął Owicki. - Wkrótce potem wyjechałem ze Szwecji. Kiedy po piętnastu latach wróciłem do Sztokholmu, na jednym z przyjęć w ambasadzie zauważyłem panią w kosztownym futrze z nurków. Jej twarz wydała mi się skądś znajoma. Zapytałem jednego z sekretarzy ambasady, kim jest ta niewiasta z piękną kolia z szmaragdów. Wyjaśnił, że to milionerka szwedzka Maria Jansson, Polka z pochodzenia. Ale i to nic nie mówiło. Janssonów są w Sztokholmie tysiące, a małego kupca, właściciela sklepu spożywczego, nie kojarzyłem z wielką, światową firmą „Erik Jansson i syn”. Dopiero kiedy kobieta ta

podeszła do mnie i przypomniała, że widzieliśmy się ostatnio na jej ślubie, uprzytomniłem sobie, jak wielką karierę zrobiła przez te lata młoda ekspedientka.

- W tym okresie poznał pan bliżej swoją rodaczkę?

- Tak. Bywałem w jej domu na Vallingby w Sztokholmie i za życia jej męża, i po jego śmierci.

- Podobno - wtrąciłem - ta kobieta żywiła obsesyjne wręcz uprzedzenie do Niemców. Nawet niechętnie jeździła tam w sprawach handlowych.

- Nie chciała jeździć jedynie do Niemieckiej Republiki Federalnej. Unikała tego, jak tylko mogła. Wyjaśniła mi, że po prostu nie chce tam spotykać się z mordercami hitlerowskimi, których tak wielu nie tylko chodzi na wolności, ale zajmuje wysokie stanowiska w rządzie, armii i przemyśle Niemiec Zachodnich. Wcale się nie dziwię, że nie chciała ich oglądać.

- Czy pani Jansson pomagała byłym więźniom hitlerowskim?

- O ile wiem, nawet bardzo. Duże sumy na ten cel wysyłała do różnych krajów. Kiedy w Oświęcimiu budowano pomnik ofiar tamtejszego obozu, pani Jansson uczestniczyła w międzynarodowej zbiórce i posłała czek na wysoką kwotę. Także, wiem to z jej ust, finansowała istniejące w Wiedniu nieoficjalne biuro zajmujące się demaskowaniem zbrodniarzy hitlerowskich, ukrywających się w rozmaitych częściach naszego globu, głównie w Południowej Ameryce.

- Może więc zabójstwo tej kobiety było zemstą jakiejś organizacji dawnych hitlerowców - wtrąciłem. - Słyszałem, że między innymi istnieje taka organizacja w Argentynie, z siedzibą w Buenos Aires.

- Byli esesmani i byli gestapowcy mają wiele takich związków. Jedne są całkowicie zakonspirowane, inne działają półlegalnie, pod pokrywką firm handlowych, jak na przykład ta, na czele której stoi w Madrycie znany zbrodniarz wojenny Otto Skorzeny. W ostatnim roku przed końcem wojny, w bankach państw neutralnych hitlerowcy zdeponowali ogromne sumy. Tylko część pieniędzy udało się aliantom wykryć i zablokować. Pozostałe fundusze przeznaczone są na pomoc i ukrywanie zbrodniarzy wojennych. To są sprawy dobrze znane. Nie sądzę jednak, żeby ta zbrodnia była wyczynem którejś z tych organizacji.

- A kogo?

- Tego, niestety, nie wiem. Pewne światło rzuca na to zagadnienie rozmowa, jaką telefonicznie przeprowadziłem z panią Jansson w poniedziałek, a więc na dwa dni przed jej śmiercią. Było to gdzieś około godziny pierwszej w południe.

- Czy *fru* Maria telefonowała do pana tylko raz? - zapytał Magnus Torg.
- Tak. Przed tym telefonem widziałem się z nią w początkach kwietnia.
- Czy to prawda, że ostatnio pani Jansson była bardzo zdenerwowana i czymś przybita? - zapytałem.

- Nie. Nie zauważyłem tego. Wprawdzie bardzo przeżyła śmierć męża, ale to już prawie cztery lata. Czas łagodzi i zasklepia i takie rany.

- Jaka była treść tej rozmowy? - zapytał porucznik. - Wiemy, że przeprowadzona została z tego domu.

- Dość dziwna. Pani Jansson zapytała mnie, co należy zrobić, jeżeli zdemaskowało się ukrywającego się zbrodniarza wojennego.

- Więc jednak... - wyrwało mi się. Dyplomata nie zwrócił uwagi na mój wykrzyknik.

- Poradziłem jej naturalnie, żeby zgłosiła się do dyrekcji policji w Lund lub Malmo i tam opowiedziała o swoim spostrzeżeniu. „To bezcelowe - odpowiedziała pani Maria - oni go nie zaarrestują bez przekonujących dowodów. A takimi nie rozporządzam. Mogłam się nawet pomylić. A pan sam dobrze wie, co w Szwecji znaczy niesłuszne oskarżenie i to w tak poważnej sprawie. Najpierw muszę mieć pewność. Zaproponowałem z kolei, żeby udała się do jakiegoś miejscowego adwokata i z nim ustaliła, co dalej robić. Ale i ta rada nie znalazła uznania *fru* Marii. Zapytała mnie, czy któryś z pracowników ambasady był więźniem Oświęcimia, albo czy znam takich Polaków w Sztokholmie. Niestety, nie mogłem jej i tą pomocą służyć. W tej chwili w ambasadzie nie ma żadnego byłego więźnia Oświęcimia. W Sztokholmie znalazłby się niejeden, ale należało najpierw ustalić jego nazwisko. Zaproponowałem przeto, że w najbliższych dniach odszukam kogoś. To również nie dogadzało pani Jansson. Chciała, aby taki Oświęcimiak jak najszybciej przyjechał do Lommy. Inaczej, twierdziła, ten były hitlerowiec gotów jest domyślić się, że go rozpoznała, i albo ucieknie, albo postara się w jakiś sposób ją zlikwidować.

- Przeczowała własną śmierć - zauważyłem.

- To nie przeczucie. Zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji - odpowiedział Owicki. - Jeszcze raz prosiłem panią Jansson, żeby porozmawiała na ten temat z kimś kompetentnym w policji. Prosiłem ją o wymienienie nazwiska tego zbrodniarza.

- No i co? - zapytałem szalenie zaintrygowany.

- Nie chciała. Ciągle wracała do tego, że niesłusznym podejrzeniem można zrobić niewinnemu człowiekowi niepowetowaną krzywdę. W końcu jednak uległa

moim prośbom i ujawniła, o kogo jej chodziło.

Nawet Magnus Torg stracił swój zwykły spokój.

- To znaczy, źle się wyraziłem - poprawił się Owicki - nie powiedziała nazwiska, lecz wyjaśniła, że chodzi jej o człowieka, który w Oświęcimiu dokonywał na rampie kolejowej selekcji, i który posłał na śmierć w komorze gazowej jej babkę, matkę i troje rodzeństwa. Mając takie podejrzenia, nic dziwnego, że mogła obawiać się o własne życie.

- Ale dlaczego nie powiedziała jego nazwiska? - denerwował się oficer policji.

- Pan nie, znał Marii. Zarówno w życiu prywatnym, jak i w interesach była niesłychanie skrupulatna. Ponieważ nie była pewna swoich podejrzeń, nie chciała nikomu zdradzić jego nazwiska.

- Czy na tym skończyła się ta rozmowa?

- Właściwie tak. Na zakończenie pani Jansson odpowiedziała, że jakoś sobie poradzi i na miejscu znajdzie ludzi, którzy byli w Oświęcimiu. Nadmieniła, że jest na tropie pewnego człowieka. Nawet Polaka.

- *Den gammle fiskare?* - podchwyciłem.

- Właśnie tymi słowami *fru* Jansson go określiła.

- To Stanisław Trzeciecki - wyjaśniłem - druga z kolei ofiara zbrodniarza.

- Straszne nazwisko dla szwedzkiego gardła - uśmiechnął się lekko dyplomata. - Podziwiam, że pan tak poprawnie je wymawia.

- Prowadzą notatki z przebiegu tej sprawy. Więc musiałem i tego się nauczyć - odpowiedziałem. - Zapewniam pana, że nie było to takie proste.

- Wierzą - przytaknął O wieki i powrócił do tematu. - Kiedy przeczytałem w dziennikach wiadomość o nowej zbrodni w Lommie, od razu skojarzyłem sobie zamordowanego z tym, kogo wspominała pani Jansson.

- Czy pan znał tego Polaka? - zapytał Magnus Torg.

- Nie. Wyjaśniliśmy jednak w konsulacie polskim w Malmö, że Stanisław Trzeciecki, już jako obywatel szwedzki, brał kilkakrotnie wizę do Polski. Poza tym żadnego kontaktu z konsulem nie utrzymywał. Także i w ambasadzie nikt nie słyszał o starym rybaku.

- Pan przypuszcza - podchwytliwie zapytał Magnus Torg - że Maria Jansson skontaktowała się z tym człowiekiem? W jakim celu to zrobiła?

- Przypuszczam, że przynajmniej usiłowała się z nim skontaktować. Po prostu chodziło jej o pokazanie swojego podejrzanego jeszcze jakiemuś więźniowi

Oświęcimią. Pani Maria w telefonicznej rozmowie ze mną ciągle podkreślała, że nie jest całkowicie pewna, czy ją wzrok i pamięć nie mylą. To zupełnie zrozumiałe. Przecież od tamtych strasznych czasów upłynęło sporo wody. Trudno jest rozpoznać kogoś, kogo się nie widziało przeszło dwadzieścia lat. Nic dziwnego, że chciała, aby jej podejrzenia potwierdziła jeszcze druga osoba.

- Ciekawe - wtrąciłem - jak pani Jansson wyobrażała sobie taką konfrontację?

- To bardzo proste - dyplomata spojrział na mnie jak na kogoś obdarzonego małą inteligencją. Nie rozumiał, że zadając to pozornie głupie pytanie starałem się możliwie jak najbardziej pociągnąć go za język. Czy ten człowiek czegoś przed nami nie ukrywa? Czy przyjechał rzeczywiście nam pomagać, czy też tylko wybadać, w jakim stadium znajduje się śledztwo? A może to właśnie ambasada zorganizowała sprzątnięcie dawnych polskich obywateli? Pozornie wygląda to na nonsens, ale, jak się przekonałem, Magnus Torg sprawdza najbardziej nonsensowne hipotezy. W tej sprawie wszystko jest takie dziwne i skomplikowane, że niczemu i nikomu nie można wierzyć. A tym bardziej cudzoziemcowi.

- To bardzo proste - powtórzył Owicki. - Pani Jansson dobrze znała fałszywe nazwisko, pod którym ukrywa się obecnie były przestępca hitlerowski oraz jego adres. Mając te dane, Trzeciecki pod lada pozorem mógł wstąpić do tego domu i obejrzeć tego człowieka, a nawet z nim porozmawiać.

- No tak - zgodziłem się - ale czytał pan zapewne gazety, które relacjonowały szczegóły zamordowania starego rybaka? W jego mieszkaniu znaleziono pierścionek. Był on własnością pani Jansson i został jej zrabowany w dniu śmierci.

Dyplomata uśmiechnął się.

- Chciałbym zadać przedstawicielowi policji jedno pytanie. Czy można?

- Proszę bardzo - zgodził się Magnus Torg.

- Jakie właściwie policja ma dowody, że pani Jansson zrabowano biżuterię i że między innymi zabrano ten pierścionek z perłą? Przyznam się szczerze, że przewertowałem opisy zbrodni we wszystkich dziennikach szwedzkich z „Kvallsposten” na czele i nie znalazłem tam żadnej wzmianki o dowodach, że rabunek w ogóle miał miejsce.

- To przecież jasne - oburzył się Magnus Torg. - Wierny, że pani Jansson miała te klejnoty w Lommie. Mieszkańcy pensjonatu pani Astrid Brands widzieli je u pani Jansson. Pokojówka Lilljan wskazała nam miejsce, w którym *fru* Maria trzymała tę biżuterię, a nawet przymierzała zarówno pierścionki, jak i pozostałe klejnoty.

- Tak - zgodził się Owicki - ale to są jedynie dowody, że pani Jansson miała biżuterię. Natomiast nie ma dowodu, że te precjoza zostały jej zrabowane. Nie ma bowiem żadnego świadectwa stwierdzającego, iż ten mały złoty skarb znajdował się w pokoju pani Jansson w momencie jej śmierci, a zniknął natychmiast po jej zgonie.

- No wie pan! - Magnus Torg wzruszył ramionami. - Uważam rabunek za prawie pewny, ale mogło być zupełnie inaczej. Pani Jansson mogła tę biżuterię gdzieś schować, albo podarować ją komuś.

- Ładny prezent za kilka tysięcy koron - wtrąciłem.

- Stać ją było na to. Mogła na drugi dzień pojechać do Malmb i kupić sobie przynajmniej dwa razy. tyle jeszcze droższych błyskotek.

- Gdyby przyjąć, że pan ma rację i milionerka wiedziona sobie tylko znanym kaprysem podarowała tę biżuterię komukolwiek, to w każdym razie nie staremu Polakowi - kategorycznie stwierdził Magnus Torg.

- Dlaczego?

- Bo w takim razie znaleźlibyśmy nie jeden pierścionek zgubiony pod szafą, ale także pozostałe klejnoty. Mogę pana zapewnić, że przeprowadziliśmy dokładną rewizję. Tam reszty biżuterii nie ma. Zresztą mężczyznom, nawet jeśli chce się przyjść im z pomocą, nie daje się klejnotów. W tym celu w zupełności wystarczy czek.

- Tak - przyznał dyplomata. - Biżuteria to zawsze prezent dla kobiety. Albo dla młodej, pięknej dziewczyny. Niemniej pierścionek mógł się znaleźć w mieszkaniu Stanisława Trzeecieckiego nie tylko dlatego, że ten człowiek był zamieszany - jak to sugerowały niektóre mało poważne dzienniki - w sprawę morderstwa pani Jansson.

- Częściowo pan mnie przekonał - zgodził się Magnus Torg.

Zamyślił się i dodał po pewnej chwili:

- Ładnie pan to ujął „biżuteria to zawsze prezent dla kobiety albo dla młodej, pięknej dziewczyny”. Takiej o niebieskich oczach i jasnych jak len włosach.

Kaprys milionerki

piątek, 16 czerwca

Dzisiaj rano przyniosła mi do pokoju śniadanie pani Ranhild Moberg. To się

zdarzyło pierwszy raz w czasie mojego pobytu w pensjonacie pani Astrid Brands. Dotychczas zawsze kilka minut po ósmej rozległo się pukanie i w drzwiach stawała śliczna w swoim białym czepeczku i fartuszkę Lilljan. A tu raptem sama kucharka roznosi gościom posiłek! Zapytałem:

- Cóż to, *froken* Lilljan chora?

- Nie - odpowiedziała pani Moberg. - Pan *förste kriminalassistent* zaarrestował Lilljan. Siedzi zamknięta w bibliotece. Pilnuje jej jeden z *konstapli*.

Aż zaniemówiłem na tę wiadomość. Łyknałem w pośpiechu kawę, przegryzłem *smorbrotet* i jak mogłem najszybciej ubrałem się i zszedłem na dół. Było tu pusto. W hallu nikogo nie zauważyłem. Również nikt nie siedział w salonie. Widocznie reszta gości pensjonatu pozostała jeszcze w swoich pokojach. Drzwi do biblioteki znalazłem zamknięte. Więc otworzyłem je i chciałem wejść.

Wewnątrz, na fotelu pod oknem, siedziała Lilljan. Miała oczy zapuchłe od płaczu. Przy stole jeden z dwóch *konstapli* Magnusa Torga studiował właśnie „Sydsvenska Dagbladet”. Na mój widok zerwał się z miejsca i podszedł do drzwi.

- Bardzo mi przykro, doktorze Nilerud - powiedział - ale z rozkazu *forste kriminalassistent*a nie mam prawa nikogo wpuszczać do tego pomieszczenia, ani zezwalać na rozmowę z panną Lilljan.

- Co się stało, na Boga? - zapytałem.

Konstapel, który dobrze mnie znał, bo przecież razem braliśmy udział we wszystkich dochodzeniach w sprawie tych dziwnych morderstw w Lommie, nie widząc nikogo poza mną, powiedział ścisząc głos do szeptu:

- *Forste kriminalassistent* zarządził dzisiaj rano rewizję zarówno w pokoju zajmowanym przez pannę Lilljan w tym domu, jak też i rewizję w domu jej rodziców. Tam, w walizce dziewczyny, pod bielizną, znaleźliśmy wszystkie klejnoty zrabowane pani Marii Jansson.

Na te słowa pocziwego *konstapla* Lilljan wybuchnęła płaczem.

- Wszystkie klejnoty - zapytałem - to chyba niemożliwe?

- Ja nic nie wiem. Robiliśmy rewizję, znaleźliśmy biżuterię. Porucznik ją zabrał. A mnie kazał pilnować tej dziewczyny.

Lilljan ciągle płakała. Nie mogłem na to patrzeć, więc wycofałem się z biblioteki, zamykając za sobą drzwi. Akurat w hallu natknąłem się na panią Astrid Brands.

- Wie pan już - powiedziała - jakiego gagatka mieliśmy tutaj. Ta Lilljan,

zdawałoby się, że do trzech nie umie zliczyć, pracuje u mnie drugi rok. Żadnych skarg nigdy nie było. A tu taki skandal. W moim domu pokojówka okrada gości. To wszystko mnie wykończy. Mój pensjonat, najbardziej renomowany zakład na całym wybrzeżu w Skanii, siedzibą morderców i złodziei.

- Przepraszam panią - zauważyłem nieco dotknięty tymi słowami - kogo z nas uważa pani za mordercę?

- Pani Brands zmieszała się.

- Z tego zdenerwowania już mi się język płacze. Oczywiście, nie chciałam powiedzieć „siedzibą morderców”, ale „miejscem zbrodni i złodziejstwa”. To po prostu potworne. To mnie całkowicie zrujnuje.

Ta kobieta z pewnością przesadza. Skoro prowadzi się taki interes jak pensjonat, trzeba być przygotowanym i na okres, w którym nie ma gości. Trzeba mieć pewne rezerwy na nieuniknione straty i wypadki losowe. Pani Brands na pewno tę rezerwę miała. Ale nie ulega wątpliwości, że dziwne i tajemnicze zdarzenia w Lommie wystraszyły z niej turystów i opóźniły sezon, co dawało straty nie tylko właścicielce naszego pensjonatu, lecz prawie wszystkim mieszkańcom Lommy; dochód z letników mieli oni w kalkulowany w swój budżet domowy. Nie moją sprawą było jednak przejmować się tym, czy pocieszać *fru* Brands.

- Słyszałem, że u Lilljan znaleziono klejnoty pani Jansson - powiedziałem ostrożnie - nic poza tym nie wiem. Jestem tym niepomiernie zdziwiony. Czy to prawda?

- Sam Magnus Torg mi to powiedział. Dodał też, że musi aresztować Lilljan.

- Jak ona mogła zamordować panią Jansson? To straszne.

- Pan podejrzewa, że ona zamordowała naszą panią Marię? - zdziwiła się *fru* Brands. - Porucznik nic o tym nie wspominał. Mówił o kradzieży i o odnalezieniu klejnotów. O morderstwo chyba Lilljan nie posądza. Tego by jeszcze brakowało!

- To w jaki sposób ta dziewczyna zdobyła biżuterię?

- Pewnie - przypuszczała właścicielka pensjonatu - zabrała klejnoty, kiedy zobaczyła, że pani Jansson nie żyje.

- Nie odpowiadało mi to tłumaczenie. Przypominam sobie przecież, że dziewczyna była przestraszona widokiem w pokoju milionerki, kiedy poszła tam ślać tapczan, a zastała ją leżącą z zakrwawioną głową. Sam cucilem Lilljan po szoku, któremu uległa. Musiałaby być genialną aktorką, aby tak udawać. A tego nie przypuszczałem.

- A gdzie jest Magnus Torg? - zapytałem. Pani Brands wzruszyła ramionami.

- Pojechał samochodem. Pewnie do Lund.

- Z góry zeszli państwo Tuveesson i reszta pensjonariuszy. I oni byli zupełnie przybici wiadomością, którą już znali. Widocznie pani Moberg nie uważała za stosowne zachowywać tajemnicy.

- To straszne - powiedziała pani Klara. - Nie mogę uwierzyć, żeby ta sympatyczna dziewczyna mogła być zamieszana w tak potworną zbrodnię.

- Nie przesadzaj, kochanie - uspokajał ją mąż - jeszcze niczego nie wiemy na pewno. Dopiero śledztwo wyjaśni szczegóły. Dopóki nie mamy jego wyników, musimy wstrzymać się z wszelkimi sądami.

- Marzę o tym, aby jak najprędzej wyjechać z Lommy - dorzuciła piękna pani Nora Lindner.

- Naprawdę było pani tu tak źle? - zauważył dyrektor Gustaw Dalin.

Zamienili znaczące spojrzenia. Nic mnie nie obchodzi kontakty naszej Nory. Wiem z doświadczeń poprzednich lat, że w każdym pensjonacie zawsze znajdzie się taka Nora, która przyjeżdża do uzdrowiska z powziętym z góry planem. Zawsze też każda z nich znajdzie swojego Dalina.. Daj im Boże zdrowie.

- Porucznik przyrzekł, że będziemy mogli opuścić Lommę najpóźniej w niedzielę - dorzucił Ingwar Harding. - Co do mnie, wcale się nie śpieszę do Sztokholmu i do codziennej tam orki. Ostatecznie te wszystkie wypadki wcale mnie nie dotyczą, zaś pogoda jest coraz lepsza, a na pensjonat pani Brands złego słowa nie dam powiedzieć. Dlatego też nawet jak Magnus Torg podniesie kraty naszego więzienia, nie myślę stąd wyjeżdżać.

Pani Brands spojrzała na Hardinga z prawdziwą wdzięcznością.

- Pan jest bardzo miły, dyrektorze - powiedziała.

- Ja też rad będę z odzyskania wolności - zauważyłem. - Ale to nie znaczy, żebym od razu miał pakować walizki.

Do naszej grupki przyłączył się polski dyplomata, Witold Owicki.

- Myśmy sobie wczoraj, panie doktorze, rozmawiali, a *forste kriminalassistent* słuchał. Wyciągnął z tej rozmowy odpowiednie wnioski. Przecież to pan wspomniał o klejnotach przeznaczonych dla pięknych dziewcząt?

- Nie - zaprotestowałem. - To właśnie pan podsunął porucznikowi tę myśl.

- Być może - zgodził się Owicki - jednakże wynikło to z naszej rozmowy.

Stąd prosty wniosek: niebezpiecznie jest prowadzić dyskusję w obecności zbyt

ciekawego oficera policji.

Uśmiechnąłem się.

- Jednak ten oficer odniósł niezaprzeczalny sukces. Klejnoty pani Jansson odnalazły się. Wszystkie, jakie milionerka przywiozła ze Sztokholmu.

- Cóż to za sukces? - odpowiedział dyplomata. - Przecież policja nie szukała tej garstki świecidełek o wartości, jak to obliczył skrupulatnie „Kvallsposten”, około czterech tysięcy koron, ale sprawcy trzech morderstw.

- Pan uważa, że te sprawy nie łączą się?

- Nic nie uważam - zaznaczył sucho Owicki. - Prowadzenie śledztwa należy do policji. Od wczorajszego wieczoru, to jest od rozmowy z Magnusem Torgiem, któremu oficjalnie zakomunikowałem to, co wiedziałem o pani Jansson, jestem zwykłym letnikiem. Marzę o kąpielu w morzu. Chyba woda nie jest zbyt zimna?

- Wczoraj miała szesnaście stopni. Niespotykana temperatura jak na połowę czerwca. Można powiedzieć „wiosna stulecia”.

- No, to niezbyt ciepła. Ale trudno. Zaryzykuję kąpiel. Tym bardziej że słońeczko przygrzewa.

- Niech pan za długo nie przebywa w wodzie i nie leży na gołym piasku - odezwał się we mnie lekarz - w naszym wieku należy trochę uważać.

- To wszyscy chodźmy na plażę, a pan doktor będzie czuwał nad nami.

Nie mieliśmy żadnego wyboru. Ani mnie, ani nikomu z naszej grupki nie chciało się jechać do Lund czy do Malmo. A cóż robić w Lommie jeśli nie leżeć na plaży, skoro słońce na to pozwala?

Kiedy wracaliśmy na obiad, właśnie przed naszym pensjonatem zatrzymał się samochód, z którego wysiedli Magnus Torg i *polismastare* z Lund. Skłoniłem się z daleka. Ale porucznik podszedł do naszej grupki, przywitał się ze wszystkimi i zwrócił się do Witolda Owickiego:

- Dyrektor policji z Lund chciałby pana poznać.

- Proszę bardzo.

Tymczasem *polismastare* podszedł do nas, przywitał się ze mną i przedstawił się Owickiemu. Podziękował mu w imieniu policji, że jako członek polskiej ambasady nie tylko udzielił ważnych wiadomości, bardzo pożytecznych dla naszego śledztwa, ale nie zawahał się przy tym pofatygować ze Sztokholmu aż do Lommy.

- Poczytywałem sobie to za obowiązek - grzecznie odpowiedział Owicki.

- Przyjechałem tutaj - wyjaśnił dyrektor - aby być świadkiem przesłuchania tej

dziewczyny. Panowie przyczynili się do odnalezienia klejnotów, poddaliście tę myśl policji, może więc weźmiecie udział w rozmowie z *fróken* Lilljan?

- Jeśli pan dyrektor nie ma nic przeciwko temu - zgodził się Owicki bez zbytniego entuzjazmu.

- Ja natomiast byłem bardzo zadowolony. W ten sposób moje notatki dadzą pełniejszy obraz śledztwa. Weszliśmy całą czwórką do biblioteki. Porucznik dał znak, żeby *konstapel* opuścił to pomieszczenie, i zwrócił się ostro do dziewczyny:

- Proszę mówić. I tak już wszystko wiemy. Kłamstwa na nic się nie zdadzą. Czy to nie wstyd? Córka takich porządnych rodziców. Najbardziej szanowana rodzina w Lommie.

Na te słowa dziewczyna znowu wybuchnęła płaczem. Magnus Torg nie przejmował się tym. Wyjął z kieszeni celofanowy woreczek i wysypał na blat stołu kilka pierścionków, bransoletek i broszek.

- Skąd masz te klejnoty? - zapytał dziewczynę.

- Przecież już mówiłam - Lilljan jękała się płacząc - że pani Jansson podarowała mi swoje klejnoty.

- Właśnie tobie - roześmiał się porucznik - wymyśl zręczniejsze kłamstwo. To jest warte według oceny jubilerów z Lund przeszło cztery tysiące pięćset koron. Ładny prezent! I za co? Za niebieskie oczy!

- Ależ pani Jansson naprawdę podarowała mi tę biżuterię - dziewczyna przestała płakać i mówiła teraz dużo wyraźniej. - Ja nie kłamię!

- To dlaczego schowałaś to w domu rodziców, na dnie walizki, pod bielizną? Jeżeli pani Jansson podarowała ci te klejnoty, to trzeba było je nosić i od razu nam powiedzieć. A nie ukrywać, tak żeby nie można było ich znaleźć.

- Kiedy... Kiedy... - dziewczyna znowu się jękała - bałam się.

- Czego? Każdemu wolno podarować i każdemu wolno wziąć.

- Najpierw bałam się, że pani Brands zwolni mnie z pracy. A u niej jestem zatrudniona przez cały rok. O stałą pracę w Lommie niełatwo. Zarobek też dobry, bo każdy gość zawsze coś dołoży. Pani Brands nieraz zapowiadała me tylko mnie, ale całej służbie, że poza pieniędzmi nie wolno nic od gości brać i o nic nie wolno się przymawiać. Więc nie zrozumiałaby, że pani Jansson dała mi to z własnej woli. Przecież nie prosiłam o tę biżuterię. Nawet nie śmiałam brać. Dopiero sama mi włożyła to wszystko na rękę i powiedziała: „Bierz, głuptasku, bo jeszcze się rozmyślę”.

- To trzeba nam było powiedzieć - upierał się porucznik - przecież przesłuchiwałem *fróken* aż cztery razy.

- Później, po śmierci pani Jansson, tym bardziej bałam się przyznać. Obawiałam się, że policja posądzi mnie o zabójstwo albo o to, że okradłam pokój zmarłej.

- Proszę opowiedzieć od początku wszystko, jak było - rozkazał dyrektor policji, który dotychczas nie wtrącał się do przesłuchania.

- To było w sobotę. Nie, w niedzielę wieczorem. Przyszłam posłać tapczan. Pani Jansson była już w pokoju. Na toaletce stała szkatułka z biżuterią - tłumaczyła Lilljan.

- Byłam bardzo ciekawa tych klejnotów, bo widziałam, że pani Jansson ma różne pierścionki i bransoletki. *Fru* Maria widząc, że ciągle zerkam na toaletkę, roześmiała się i powiedziała „Jeżeli chcesz, Lilljan, to obejrzyj i przymierz sobie wszystkie świecidełka”. Nie dałam się dwa razy prosić. Te pierścionki są takie piękne! Wkładałam je raz na prawą, raz na lewą rękę. Włożyłam także i obie bransoletki oraz broszki. Pani Jansson widząc mnie tak obwieszoną biżuterią, była w coraz lepszym humorze. Sama mi poradziła, jak przypiąć do sukni aż trzy broszki, żeby było jak najładniej.

- To na pewno było w niedzielę? - zapytał Magnus Torg.

- Przecież już mówiłam. Na pewno w niedzielę. Wtedy na kolację była wątróbka. Pamiętam doskonale. Pani Jansson też jadła na dole razem ze wszystkimi. W sobotę na kolacji jej nie było.

- Rzeczywiście - przytaknąłem - w niedzielę *fru* Maria zeszła na dół.

- Powiedziałam do pani Jansson: „Jaka pani szczęśliwa, że ma tyle takich pięknych klejnotów”. Pani Jansson nagle przestała się śmiać. Zrobiła się bardzo smutna. Powiedziała, doskonale pamiętam te słowa: „Kiedy byłam taką młodą dziewczyną jak ty, zamiast cieszyć się klejnotami, patrzyłam na dym z komina, gdzie płonęła moja matka i moi bracia. To wszystko co mam, przyszło za późno”. Nie rozumiem, co ona chciała przez to powiedzieć, ale zaczęła płakać. Szybko jednak otarła łzy. Ja w tym czasie zdjęłam wszystkie pierścionki i broszki i schowałam z powrotem do kasetki. Wtedy pani Jansson sięgnęła do toaletki, wysypała wszystkie klejnoty sobie na dłoń i podała mi mówiąc: „Masz, bierz, chociaż ty bądź szczęśliwa, kiedy mnie w twoim wieku szczęście ominęło”. Byłam bardzo zdziwiona, a nawet przerażona. Nie chciałam brać tego skarbu, ale pani Jansson wzięła moją rękę,

włożyła w nią klejnoty i powiedziała: „Bierz, głuptasku, bo jeszcze się rozmyślę”.

Więc bardzo jej podziękowałam, posłałam tapczan i wyszłam.

- A my w to wszystko mamy uwierzyć - ironicznie zauważył Magnus Torg.

- Ja naprawdę powiedziałam wszystko, jak było - broniła się dziewczyna.

- Nikomu się *fróken* Lilljan nie pochwaliła tym prezentem? - dopytywał *polismdstare*. - Rodzice nic nie wiedzieli? Ani starsza siostra?

- Nie. Tylko jak zeszałam na dół, to pokazałam pani Moberg. Ona też mówiła, żeby o tym nikomu nie wspominać. Przypuszczała, że na drugi dzień pani Jansson powie, iż to były żarty i każe zwrócić klejnoty.

- A tak nie było?

- Nie. Na drugi dzień, kiedy przyniosłam pani Marii śniadanie, położyłam też na tacce wszystkie pierścionki. Ona bardzo się rozgniewała i kazała mi je zaraz zabrać. Powiedziała, że w jej kraju istnieje takie przysłowie „kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera”. Wtedy jeszcze raz podziękowałam pani Jansson za prezent, chciałam nawet pocałować ją w rękę, ale ona nie pozwoliła. Tylko powtórzyła: „Bądź szczęśliwa. Niech ci te świecidełka dadzą dużo radości, jakiej ja nie miałam”. Potem już nigdy nie wspominała o biżuterii.

- Proszę wyjść - polecił Magnus Torg dziewczynie - i usiąść w salonie. Nie wolno z nikim rozmawiać. - I sam poszedł po panią Ranhild Moberg.

- Kiedy zobaczyłam w ręku dziewczyny tyle złota - mówiła nasza kucharka - myślałam, że Lilljan zwariowała i zrobiła jakieś głupstwo. Nie podejrzewałam jej, że okradła panią Jansson, skądże znowu! Przypuszczałam jednak, że bez wiedzy właścicielki dziewczyna wyniosła z jej pokoju biżuterię i teraz żarty sobie stroi, że dostała ją w prezencie. Dlatego skrzyczałam dziewczynę i kazałam jej natychmiast odnieść klejnoty na górę. Ale Lilljan mnie zapewniała, że naprawdę dostała to wszystko w prezencie. Powiedziałam jej, żeby w takim razie zaczekała do jutra i rano odniosła pierścionki. Pewnie do tego czasu pani Jansson rozmyśli się i powie, że żartowała.

- To było w niedzielę? - zapytał Magnus Torg.

- Tak, wieczorem - ciągnęła dalej pani Moberg. - Nazajutrz rano, po rozniesieniu śniadań przez Lilljan, zapytałam ją, czy oddała klejnoty. Dziewczyna powiedziała, że odniosła, ale pani Jansson nie chciała ich przyjąć. Byłam bardzo zdziwiona, ale ostatecznie każdy może robić ze swoimi rzeczami, co mu się podoba. Ja już pracuję w różnych pensjonatach prawie dwadzieścia lat i widziałam różnych

gości i ich dziwactwa. Co prawda pierwszy raz spotkałam kobietę, która dała pokojówce tyle biżuterii. Gdyby to był mężczyzna, myślałabym, że nagle zakochał się w Lilljan. Już i takie rzeczy się zdarzały.

- Pani wierzy, że *fru* Jansson podarowała tej dziewczynie klejnoty?

- Przecież gdyby je Lilljan ukradła - logicznie wytłumaczyła kucharka - to pani Jansson zauważyłaby stratę i narobiła alarmu. A nic takiego nie zaszło. Więc musiała je rzeczywiście podarować. Gościom nie można się dziwić.

Dyrektor policji podziękował pani Moberg, która zadowolona z siebie opuściła bibliotekę.

- Co panowie powiedzą na te zeznania? - zapytał.

- Cóż - wzruszył ramionami Witold Owicki - kaprys milionerki. Widocznie dziewczyna tak się zachwycała tymi świecidełkami, że pani Jansson postanowiła zabawić się w dobrą wróżkę i spełnić marzenia dziewczęce. Ostatecznie przy ogromnym bogactwie tej kobiety, taka zachcianka, to dla niej tyle, co dla nas kupno paczki papierosów.

- W każdym razie - zastrzegł się Magnus Torg - nie zwrócę klejnotów Lilljan, dopóki dyrektor Jansson nie potwierdzi tej darowizny.

- Lepiej jednak porozumieć się w tej sprawie z prokuratorem - dyrektor policji był ostrożniejszy w podejmowaniu decyzji. - Zasadniczo, z chwilą kiedy pani Jansson podarowała klejnoty pannie Lilljan, stały się one jej własnością i spadkobiercy nie mają prawa odwoływać tego daru.

- To są teoretyczne rozważania - wtrącił się dyplomata - na pewno dyrektora Janssona ta garstka złota nic nie obchodzi.

- A co z pierścionkiem z perłą? - zapytałem. - Tym, który znaleziono w kuchni starego rybaka.

- Pamiętam i o nim - odpowiedział Magnus Torg. - Jeszcze nie skończyliśmy przesłuchiwania Lilljan.

Porucznik wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z pokojówką. Lilljan była teraz bardziej pewna siebie. Musiała widzieć, że przesłuchiowano panią Moberg i domyślała się, że zeznania kucharki wypadły pomyślnie dla podejrzanej.

- Proszę obejrzeć te klejnoty - polecił Magnus Torg. - Czy są tu wszystkie, jakie dostałaś od pani Jansson?

Dziewczyna przypatrywała się kupce złota.

- Nie - powiedziała - nie ma najładniejszego. Tego z perłą.

- A co się z nim stało?

- Przecież „Kvallsposten” pisał, że znalazł się on w mieszkaniu „*den gammie Polacken*”.

- To pani Jansson nie podarowała panience tamtego pierścionka - zapytał dyrektor policji. - Dlaczego?

- Ona podarowała mi wszystkie - wyjaśniła dziewczyna. - Bałam się je nosić, ale tamten był tak ładny, że nie mogłam oprzeć się pokusie. Więc ukradkiem nosiłam go na lewym ręku. Żeby pani Brands nie spostrzegła, obracałam oczkiem na dół. Ale był na mnie trochę za duży. Pani Jansson widocznie miała grubsze palce. Te wszystkie pierścionki są nieco za duże na mnie. Więc... Więc mi zginął.

- Kiedy i gdzie?

- Myślałam, że w tym domu. Przeszukałam wszystkie kąty. Ale nie znalazłam.

- Kiedy spostrzegłaś brak pierścionka?

- To było we wtorek. Zauważyłam zaraz po podaniu obiadu. Co ja się naszukałam tej perły! To był przecież najładniejszy, chociaż pani Jansson mówiła, że nie najdroższy. Ale mnie podobał się najbardziej.

- A może panienka zgubiła pierścionek na mieście?

- Wychodziłam około godziny jedenastej do sklepu po zakupy. Jak codziennie. Ale chyba miałam gó na ręku, kiedy wróciłam.

- Chyba, czy na pewno?

- Chyba na pewno - odpowiedziała dziewczyna.

- Albo, albo - denerwował się porucznik.

- Nie pamiętam. Taka jestem skołowana, że wszystko mi się płące.

- A pani nie spotkała starego rybaka? - odważyłem się zapytać.

- Nie.

- Może on we wtorek przychodził do pensjonatu? Nie przynosił ryb?

- Z całą pewnością nie. Dopiero później tego łososia. Kiedy pani Jansson już nie żyła. To chyba było w sobotę.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że tak reklamowany przez Lilljan łosoś na niedzielny obiad przepadł nam, bo w tym dniu wykryliśmy morderstwo popełnione na starym rybaku i w ogóle nie przyszliśmy do pensjonatu na obiad.

- Więc jakim sposobem pierścionek z perłą znalazł się w pokoju zabitego? - postawił pytanie Magnus Torg.

Na to pytanie ani dziewczyna, ani nikt z obecnych w bibliotece nie umiał dać

odpowiedzi.

Nocna przygoda

sobota, 17 czerwca

Najpierw zapisuję w kolejności wydarzenia z popołudnia piątkowego. Policja usiłowała coś jeszcze wydusić z Lilljan, ale bezskutecznie. Po prostu dziewczyna powiedziała wszystko, co wiedziała. W tej sytuacji jedynym wytłumaczeniem znalezienia pierścionka z perłą w mieszkaniu Trzecieckiego jest to, że Lilljan zgubiła klejnot gdzieś na ulicy Lommy, kiedy szła po sprawunki. Musiał go podnieść albo stary rybak, albo morderca. Moja hipoteza została poważnie podważona. Powiem nawet szczerze, że niewiele z niej pozostało. Ale w tej sprawie jest wiele bardzo dziwnych momentów.

Po przesłuchaniu Lilljan Magnus Torg zadzwonił do prokuratury w Lommie. Udało mu się złapać któregoś z pracowników. Odbyli przez telefon naradę, co robić z pozostałymi świecidelkami. Wynik był wyraźnie niepomyślny dla oficera policji, bo z dość kwaśną miną oddał pokojówce resztę klejnotów, zatrzymując jedynie ten znaleziony na miejscu zbrodni.

Ale na tym nie skończyły się przygody miłej pokojóweczki. Natychmiast po przesłuchaniu pani Astrid Brands kazała dziewczynie zabierać swoje rzeczy i wynosić się z pensjonatu. Lilljan oczywiście znowu W ryk. Wszyscy wstawialiśmy się za sympatyczną pokojówką. Nawet *polismastare*. To odniosło skutek i udobruchana właścicielka pensjonatu kazała Lilljan iść do łazienki, umyć zapłakaną twarz i pomaszerować do kuchni, aby pomóc w przygotowaniu kolacji. Uff! Przynajmniej jedna sprawa zakończyła się szczęśliwie.

Dyrektor policji pożegnał się z nami i wrócił do Lund. Wtedy Magnus Torg wpadł na pomysł porozmawiania z polskim konsulem w Malmo. Zaproponował Witoldowi Owickiemu, aby mu towarzyszył. Przypuszczam, że oficer policji obawiał się, iż konsul nie zechce udzielić informacji. Obecność zaś Owickiego, wysłannika ambasady, pozwoli uniknąć wiele komplikacji związanych z przesłuchiwaniami na terenie obcego kraju członków korpusu dyplomatycznego czy konsularnego.

Pan Owicki niezbyt entuzjasmował się projektem porucznika, ale nie

wypowiadając na ten temat swojego zdania, wsiadł z Magnusem Torgiem do samochodu.

- Może i pan doktor wybierze się z nami? - zaproponował.

Pan doktor, czyli ja, wolał jednak zostać w domu. Zbyt męczyło mnie wszystko. Reszta gości aż nadto syta wrażeń również uważała, że lepiej pozostać w domu. Zorganizowaliśmy więc partyjkę brydża w naszym starym składzie: małżeństwo Tuveesson, pan Ingwar Harding i ja. Początkowo pan Gustaw Dalin kibicował, nawet proponowaliśmy mu grę w piątkę, ale po jakiejś pół godzinie Nora pod pierwszym lepszym, błahym powodem wywołała go do swojego pokoju na górę. Swoją drogą ta kobieta poważnie zagięła parol na naszego finansistę. No cóż, nieczęsto zdarzają się do wzięcia dyrektorzy banków. Obawiam się, że ten z Norrkopingu nie zdoła tym razem obronić swojego zachowanego aż do czterdziestego roku życia kawalerstwa. Nasza Nora umie brać się do rzeczy. Wiadomo, przeszła dobrą praktykę.

Zapomniałem o dodaniu dość ważnego szczegółu, że dyrektor policji zabrał z sobą do Lund obu *konstapli*. Byli mu do czegoś potrzebni.

Magnus Torg wrócił z dyplomata dopiero na kolację. Kiedy zostaliśmy na moment sami, pan Owicki poinformował mnie, że wizyta w Malmo oczywiście nie dała żadnych korzyści. Konsul w ogóle nie znał starego rybaka. Tyle że kilka razy przyłożył stempel wizowy na jego paszporcie. I to nie sam konsul, lecz któryś z urzędników konsulatu.

Po kolacji trochę graliśmy w karty, po czym całe towarzystwo rozeszło się do swoich pokoi. Powoli w całym budynku gasły światła.

Jeszcze na dobre nie zasnąłem, kiedy ktoś lekko zapukał do mojego pokoju. Drzwi były zamknięte na klucz. Po tych wszystkich morderstwach i po „miej” rozmowie z oficerem policji, który przypuszczał, że mogę być następną ofiarą przestępcy, na noc zamykam drzwi na klucz.

- Kto tam? - zapytałem.

- To ja, Magnus Torg - usłyszałem cichy głos. - Niech pan otworzy, ale proszę nie zapalać światła.

Spełniłem żądanie porucznika. Wszedł cicho do pokoju. Był kompletnie ubrany.

- Siedziałem przy oknie - wyjaśnił półszepem - już po zgaszeniu świateł. Parę minut temu zauważyłem, że ktoś kręci się po zewnętrznej stronie ogrodzenia

pensjonatu.

- Morderca?

- Nie wiem. Może morderca, może tylko zwykły złodziejaszek czy chuligan.

W każdym razie ktoś zorientowany, że dzisiejszej nocy sam jestem w willi, a *konstaple* wrócili do Lund.

- Co zrobimy?

- Niech pan się szybko ubierze, doktorze. Nie zapalając światła. Obudziłem już pańskiego sąsiada, Owickiego. We trójkę mamy szansę ująć tego faceta. Czy pan ma broń?

- Nie.

- Szkoda. Owicki też nie ma. Ale ja mam mój służbowy pistolet. To nam musi wystarczyć. Zrobimy zasadzkę.

Przez ten czas ubierałem się cicho i szybko. Nim skończyłem, do mojego pokoju wsunęła się następna postać. Był to Owicki.

- Zejdziemy po ciemku na parter. Ja wyjdę pierwszy drzwiami na taras.

Postaram się niepostrzeżenie przebiec na plażę i tam zatoczę koło, żeby znaleźć się za plecami tego osobnika. Wy zaś po pewnym czasie wyjdziecie frontowymi drzwiami. Ale dopiero wtedy, kiedy będziecie tego człowieka widzieli lub zorientujecie się, w której stronie parku przebywa. Jest wyjątkowo spokojna noc, więc słyhać każdy najmniejszy szelest. Nie sądzę, żeby facet zachowywał jakąś specjalną ostrożność na zewnątrz domu. Przypuszczam, że wszyscy śpią.

- A może lepiej poczekać, aż zechce sforsować jakieś wejście?

- Nie. Mój plan jest lepszy. Wskoczycie z budynku z okrzykiem: „Stać! Ręce do góry!”. Wtedy on rzuci się do ucieczki i wpadnie prosto na mnie. Złapiemy go bez pudła. No, pan już gotów, doktorze?

- Gotów.

- Schodzimy.

Schody fatalnie skrzypiały pod ciężarem naszej trójki, ale porucznik tym się nie przejmował. Za to na parterze zachowywał się o wiele ciszej. Bez szmeru uchylił okno znajdujące się koło drzwi wejściowych.

- Nasłuchujcie przy tym oknie. Jeżeli coś usłyszycie lub zobaczycie, wyskakujcie z krzykiem na dwór. Ale dopiero za parę minut, żebym miał czas zagrozić mu drogę. Powodzenia.

To mówiąc Magnus Torg zostawił nas samych. Usłyszeliśmy jeszcze leciutki

szelest. To porucznik otwierał w jadalnym drzwi prowadzące na taras. Potem zapanowała kompletna cisza. Tej nocy nawet morze nie szumiało. Nadśluchiwalismy pilnie, ale nie było nic słyhać, ani widać. Przyznaję się szczerze, że nie wierzyłem w powrót mordercy do naszego pensjonatu. Uważałem, że porucznikowi po prostu coś się uroiło.

Ale nie! Bo oto w pewnej chwili, upłynęło co najmniej pięć minut od odejścia Magnusa Torga, usłyszeliśmy wyraźny trzask. Jak gdyby ktoś, idąc po ciemku, nastąpił i złamał leżącą na ziemi gałązkę.

- Tam! - szepnął Owicki pokazując ręką. Wyteżyłem wzrok, lecz niczego nie dostrzegłem.

- Koło tego dużego kasztana - wyjaśnił dyplomata. Rzeczywiście zauważyłem teraz jakiś cień, ciemniejszy od otaczających go krzaków. Ten ktoś stał bez ruchu. Widocznie nadśluchiwał, czy spowodowany przez niego hałas nie wywołał alarmu. Nie ruszaliśmy się. Cień poruszył się znowu. Teraz już wysunął się z krzaków, minął drzewo i skierował się wprost na naszą willę. Widziałem go dość wyraźnie. Był, jak na Szweda, stosunkowo niewielkiego wzrostu. Ubrany chyba na czarno, a w każdym razie na ciemno. Po nocy trudno odróżnić. Czapka nasunięta głęboko na czoło.

- Teraz! - zakomenderował Owicki otwierając drzwi. Wybiegliśmy obaj na dwór.

- Stój! Ręce do góry! - krzyknął dyplomata możliwie jak najbardziej groźnym tonem.

Człowiek zatrzymał się, ale tylko na chwilę. Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni. Błysnęło i rozległ się huk wystrzału. Za nim drugi.

- Padnij! - krzyknął Owicki. - Na ziemię!

Nie dałem się długo prosić i gruchnąłem w mokrą trawę.

Napastnik oddał w naszym kierunku ponownie dwa strzały, po czym rzucił się do ucieczki. Jednakże nie w kierunku, z którego przybył, lecz wprost przeciwnym. W stronę domku - portierki, gdzie mieszka pani Moberg. Furtka w ogrodzeniu ma zamek elektryczny. Jak większość tego rodzaju urządzeń od wewnątrz znajduje się klamka, którą można otworzyć drzwi bez korzystania z automatycznego urządzenia. Przestępca widocznie doskonale o tym wiedział, bo dobiegł do furtki i tą drogą wydostał się na Strandvagen.

- Gonimy go? - zaproponował Witold Owicki powstając z trawy.

- Żeby nas zastrzelił? Tym razem spudłował, ale następnym może uda mu się trafić.

Dziękuję, wolę nie ryzykować - odpowiedziałem - niech go ściga nasz dzielny Magnus Torg.

Podniosłem się z ziemi i otrzepałem ubranie. Posłyszeliśmy odgłos zapuszczanego motoru, a z krzaków wyskoczył zadyszany oficer policji. Trzymał w ręku pistolet.

- Gdzie on jest? - wołał. - To on strzelał?!

- Uciekł - stwierdziłem krótko - ale niewiele brakowało, żeby Lomma otrzymała nową porcję umrzyków. Cztery razy do nas palnął, jak do kaczek. Miał pan świetny pomysł, poruczniku!

- Uciekł przez furtkę - wyjaśnił O wieki. - Miał widocznie zaparkowany samochód na szosie albo współlnika z samochodem. Pojechał w stronę Bjarred.

- Cwaniak - stwierdził z uznaniem Magnus Torg. - Przewidywał ewentualność pułapki i od razu zaplanował inną drogę ucieczki. Wszedł tu przez dziurę, tę samą, którą odnalazł redaktor Sven Breman. To jest najlepszym dowodem, że mieliśmy do czynienia z mordercą. Wiedział, gdzie jest dziura i po ciemku do niej trafił.

- O dziurze pisała cała prasa - Owicki, jak przystało na dyplomatę, był ostrożniejszy w wydawaniu sądu. - Wiedziałem o niej przed wyjazdem ze Sztokholmu.

- Ale po ciemku niełatwo ją znaleźć.

- Dziwne, że pani Brands nie kazała jej naprawić.

- Oczywiście, że była naprawiona. Obie części siatki spleciono znowu drutem. Właśnie dzięki temu, że musiał usuwać ten drut, udało mi się zorganizować zasadzkę - wyjaśniał porucznik. - Najpierw zobaczyłem człowieka, który chodzi po plaży i przygląda się naszej willi, później znikł mi w krzakach przy ogrodzeniu. Wtedy pobiegłem do panów. Wiedziałem, że siatka jest naprawiona i usunięcie drutu lub przecięcie jej w innym miejscu musi potrwać dobry kwadrans. Byłem zresztą pewien, że przestępca będzie raczej starał się usunąć drut i skorzystać ze starej drogi. Przecinanie siatki w nocy jest i bardziej trudne, i dość hałaśliwe.

- Co innego w dzień, kiedy odgłosy dochodzące z szosy zagłuszają tego rodzaju operację.

- Czego on chciał? - dziwił się O wieki.

- Przypuszczam, że projektował usunięcie z grona żyjących naszego drogiego doktora albo mnie. A może nas obu? Zbyt dużo wiemy o sprawie.

- Nie chce mi się w to wierzyć - powiedziałem. - Przecież nawet zastrzelenie

nas obu nie zatrzyma śledztwa. A to, co pan ustalił wiadome jest także dyrekcji policji w Lund. Każdy pański następca oparłby się na tym materiale.

- To prawda, ale musiałby się dopiero wgrzyzać w te wszystkie zagadnienia - bronił swojej tezy oficer policji. - A my obaj mamy pewne koncepcje. Zwłaszcza pan doktor stale układa nowe teorie dotyczące osoby zbrodniarza i sposobu dokonania przestępstwa. Na pewno i teraz już nasz *rdttslakare* ma jakiś nowy pomysł.

Magnus Torg mówił to wszystko bardzo poważnie, niemniej dopatrywałem się w jego słowach pewnej drwiny, a może nawet i przygany, że wtrącam się do śledztwa. W Lommie jestem osobą prywatną, bo moje stanowisko lekarza policyjnego daje mi uprawnienia jedynie do urzędowego działania w rejonie Uppsali. Nigdzie indziej. Ale przecież to właśnie porucznik zapraszał mnie na wszystkie narady policyjne i także twierdził, że mój pamiętnik bardzo mu pomaga, bo utrwala wiele drobnych szczegółów; mogłyby Orte zatrzeć się w pamięci i wskutek tego opóźnić ostateczne wyjaśnienie sprawy i ujęcie przestępcy. Pomimo to słowa oficera policji trochę mnie dotknęły.

- Tak - odpowiedziałem - mam nowy pomysł.

- A nie mówiłem! - roześmiał się Magnus Torg.

- Ponieważ pan porucznik nawet nie próbuje ścigać zbrodniarza, proponuję chociaż zabezpieczyć dowody przestępstwa. Bądź co bądź usiłowano przed chwilą zastrzelić dwóch ludzi. To, że napastnik chybił, jest tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Natomiast tu w trawie leżą gdzieś łuski z naboju wystrzelonych z pistoletu. Byłoby dobrze je odnaleźć. Na tej podstawie zawsze można zidentyfikować broń, z której padły strzały.

Moja riposta musiała być celna, bo Magnus Torg natychmiast odpowiedział:

- Tylko trzeba przedtem tę broń odnaleźć. Chciałbym też wiedzieć, w jaki sposób pan doktor będzie szukał w wysokiej trawie małych łusek podczas ciemnej, bezksiężycowej nocy. Zapewniam pana, że moi *konstaple* zrobią to jutro rano o wiele lepiej, a przede wszystkim szybciej.

- No - odpowiedziałem - praktyka wykazuje, że na pomoc pańskich *konstapli* nie bardzo można liczyć. Już bym raczej zaprosił do tej roboty reportera „Kvailsposten”.

Ta riposta też mi się chyba udała, bo Owicki, znający doskonale cały przebieg śledztwa, łącznie z niefortunną gafą policji nie umiejącej odnaleźć dziury w ogrodzeniu, wybuchnął głośnym śmiechem. Magnus Torg zaś zamilkł i nie próbował

się więcej odgryzać.

- Może pójdziemy spać? - zaproponował dyplomata. - Najwyższy czas.

- Bardzo panom dziękuję - powiedział *forste kriminalassistent* - i bardzo przepraszam, że naraziłem ich na niebezpieczeństwo. Nie przypuszczałem jednak, że ten człowiek posunie się aż do użycia broni. Myślałem, że na alarm rzuci się do ucieczki.

Tej nocy byłem widocznie usposobiony kłótliwie, bo znowu zabrałem głos:

- Można to było łatwo przewidzieć. Zabił troje ludzi, więc już nic nie ryzykuje. Jedna czy dwie zbrodnie więcej nie zmienią wyroku, jaki go czeka, jeżeli wpadnie w ręce sprawiedliwości. Nic dziwnego, że uważał za słuszną bronić się przed taką ewentualnością. Wiemy także, że posiada pistolet, bo już raz go z powodzeniem użył. To wszystko należało uwzględnić w kalkulacji, przygotowując zasadzkę.

- Jeszcze raz przepraszam panów.

- Wszystko dobre, co kończy się dobrze - łagodził dyplomata. - Ostatecznie przeżyliśmy niemiły moment, ale nic nam się nie stało.

- Proponuję na zgodę kieliszek koniaku. Mam butelczynę w swoim pokoju - zaprosił Magnus Torg.

Nie trzeba dodawać, że zaproszenie zostało chętnie przyjęte przez nas obu. Po takich emocjach odrobina alkoholu dobrze nam powinna zrobić.

W hallu spotkaliśmy wystraszoną panią Erands. Obudziły ją strzały. Z pierwszego piętra również ktoś zapytywał, co to za hałasy. Porucznik uspokoił właścicielkę pensjonatu, że to prawdopodobnie jakiś samochód lub też motocykl był sprawcą niepotrzebnego alarmu. Dodał również, że obeszliliśmy cały park i stwierdziliśmy, że wszystko jest w porządku. Tłumaczenie to zadowoliło zarówno *fru* Astrid, jak i gości pensjonatu.

Pokój, do którego zaprowadził nas porucznik, był większy niż nasze na pierwszym piętrze. Miał tylko jedną wadę. Brakowało mu własnej łazienki. Trzeba było korzystać z ogólnej, znajdującej się na parterze.

Oficer policji wyjął z szafy flachę wypełnioną do połowy jasnobrażowym płynem i trzy pękate kieliszki ze złotą obwódką. Zręcznie nalał do nich koniaku i to nie, jak to się zazwyczaj praktykuje, trochę na dno, lecz prawie do pełna.

- *Skol* - powiedział.

Podnieśliśmy kieliszki do ust. Łyknąłem sporą porcję. Koniak bardzo mi smakował. Miał też wspaniałą „bukiet”.

- Meukov - delectował się Owicki - moja ulubiona marka. Wolę ją od remy-martin. Wspaniały zapach. Nie wiadomo, co lepsze: pić czy wąchać. Swoją drogą - dodał powracając do zasadniczego tematu - wyjątkowo bezczelny facet. Nie dość mu, że sprzątnął już troje ludzi. Jakaś dziwna żądza mordu.

- Na pewno nie - zaprzeczył Magnus Torg - po prostu raz uruchomiony mechanizm zbrodni działa nadal. Ten człowiek na pewno chciał zabić jedną osobę, panią Marię Jansson. Wtedy jeszcze on kierował wydarzeniami, teraz te wydarzenia rządzą nim. Musi ciągle kogoś nowego zabijać.

- Nie rozumiem - przyznał się dyplomata.

- To proste. Zastrzelił Marię Jansson, gdyż obawiał się, że ona go rozpoznała i zdemaskuje. Przypuszczam, że jest to człowiek, który na swoim sumieniu ma setki lub nawet tysiące ofiar.

- Taki człowiek nie ma sumienia - sprostował Owicki.

- Istotnie. W każdym razie jest to na pewno ktoś, komu w wielu krajach, które w czasie wojny znalazły się pod okupacją hitlerowską, grozi sąd i kara śmierci. Jedynie w Niemieckiej Republice Federalnej mógłby liczyć na łagodniejszy wymiar, bo zniesiono tam karę śmierci. Kiedy to indywidualum zorientowało się, że grozi mu zdemaskowanie, postanowiło się bronić. A za najlepsze wyjście z sytuacji uznało zabicie pani Jansson, zanim podejmie ona odpowiednie kroki. Tak narodziła się pierwsza zbrodnia.

- Ale dlaczego mordował dalej?

Bo bardzo szybko przekonał się, że nie osiągnął celu. Okazało się, że w Lommie żyje jeszcze ktoś, kto był w Oświęcimiu. Mało tego. To był ktoś, kto kontaktował się z Marią Jansson. Zbrodniarz nie wiedział, ale mógł przypuszczać, że ta kobieta podzieliła się ze swoim rodakiem i współwięźniem posiadaną tajemnicą. Musiał więc popełnić drugie morderstwo, zabić jeszcze jednego Oświęcimia.

- Przecież mógł uciec - zauważyłem. - Są kraje, które nie wydają hitlerowskich zbrodniarzy. Choćby Hiszpania czy Portugalia, nie mówiąc już o republikach południowoamerykańskich.

- Widocznie ucieczka nie wchodziła w rachubę - odpowiedział porucznik. - Może ten człowiek jest tu dobrze urządzony? Ma, na przykład, jakieś poważne przedsiębiorstwo? Żał mu było zostawić ten dorobek. Uważał, że wygodniej jest zabijać. Był i, jak widzimy, jest do tej pory pewny swojej bezkarności.

- Nie rozumiem jednak trzeciego morderstwa. Dlaczego zabił policjanta

Algota Olssona. Przecież w ten sposób znacznie pogorszył swoją sprawę, bo zadarł, jakby tu powiedzieć, „osobiście” z policją. Wie, że koledzy zabitego nigdy mu tej zbrodni nie zapomną i z tym większą gorliwością będą ścigać.

- To prawda - przyznał porucznik. - Niech pan weźmie jednak pod uwagę pierwsze morderstwo. Ofiarą jego padła kobieta bogata i niewątpliwie bardzo ustosunkowana. Mogę pana zapewnić, że nie ma dnia, aby ze Sztokholmu nie przyszło przynaglenie o szybsze ujęcie zabójcy Marii Jansson.

- To racja. Niemniej nie rozumiem powodów zamordowania Olssona.

- Całkowicie zgadzam się z teorią pana doktora Nileruda - odpowiedział Magnus Torg. - Olsson zginął, bo spotkał albo widział zbrodniarza bezpośrednio przed lub po zabójstwie. Wprawdzie policjant nie skojarzył tej osoby z przestępcą, ale ta myśl mogła mu w każdej chwili przyjść do głowy. Dlatego trzeba się było natychmiast pozbyć i Olssona. Jak pan widzi, raz uruchomiona maszyna zbrodni ciągle pracuje i wciąga w swoje tryby nowe ofiary. Tymi z kolei mieliśmy być my dwaj, pan doktor i ja.

- Ale dlaczego?

- Widocznie i my znamy mordercę, lecz nie umiemy go zdemaskować, a on obawia się, że taka chwila może nadejść.

Owicki podniósł swój kieliszek.

- Piję - powiedział - za pomyślność śledztwa i szybkie ujęcie zbrodniarza.

- Dziękuję - Magnus Torg lekko się skłonił. - Jestem pewny, że nastąpi to już niedługo. To dzisiejsze posunięcie dopomoże w jego zdemaskowaniu. Najpóźniej za kilka dni za tym człowiekiem zamkną się drzwi celi więzienia.

- Posiedzieliśmy jeszcze parę minut, wysączyliśmy resztę koniaku, po czym Owicki i ja udaliśmy się na pierwsze piętro do swoich pokojów. Było już po godzinie drugiej.

- Długo nie mogłem zasnąć. Ciągle myślałem o tajemniczym człowieku. Czego szukał w willi pani Brands? Miał przy sobie broń, a więc zdecydowany był na wszystko. Najlepiej zresztą świadczy o tym to, że zrobił użytek z tego pistoletu, chociaż, przypuszczam, mógł uciec tą samą drogą bez wyjmowania broni z kieszeni.

- Im dłużej myślę, tym wydarzenia tej nocy stają się dla mnie coraz mniej zrozumiałe. Przecież to nie mógł być morderca pani Jansson! To wprost niemożliwe, żeby człowiek, który wyszedł zza drzew, był tym zbrodniarzem, bezskutecznie poszukiwanym przez Magnusa Torga. A jednak napastnik nie tylko znał drogę do

willi, ale zadał sobie dużo trudu, aby usunąć druty, którymi pani Brands kazała zreperować uszkodzoną siatkę. Już to przeczy moim pierwotnym przypuszczeniom, że mieliśmy do czynienia z włóczęgą lub z jakimś chuliganem; człowiekiem, który raczej przypadkowo wtargnął na teren parku przylegającego do naszego pensjonatu.

- Nie rozumiem też tej pewności naszego *forste kriminalassistent*a. Jego słowa, że najdalej w ciągu kilku dni zdemaskuje mordercę, nie mają żadnego pokrycia w dotychczasowych wynikach śledztwa. Czyżby Magnus Torg miał tak słabą głowę, że wystarczy mu jeden większy kieliszek koniaku? A trudno traktować odezwanie się porucznika inaczej, jak tylko próżne przechwałki. Przestępca jest mądry, doskonale pozacierał za sobą wszystkie ślady i może czuć się zupełnie bezpieczny.

W żadnym wypadku nocny incydent nie przyczynia się do rozjaśnienia tej tajemniczej sprawy, lecz jeszcze bardziej ją gmatwa. Ostatecznie wiele lat jestem lekarzem policyjnym i przyglądałem się z bliska setkom, a nawet tysiącom dochodzeń. Człowiek nabrał już nieco rutyny! Widzę to, co dla każdego fachowca jest zupełnie jasne - śledztwo utknęło na martwym punkcie i nic nie wskazuje, aby mogło ruszyć naprzód.

Przyznaję, że przez te kilka dni bardzo polubiłem młodego porucznika policji. Żał mi go nawet, bo orientuję się, że paskudnie wpadł z tą sprawą. Policja szwedzka słusznie cieszy się opinią jednej z najlepszych na świecie. Ale przecież nie wykrywa się pewnego procentu przestępstw. To zupełnie zrozumiałe. Wprawdzie nie ma „przestępstw doskonałych”, ale jeżeli dochodzenie nie rozporządza dostateczną ilością danych, nie może osiągnąć rezultatu. Takie akta umieszcza się w specjalnej szafie z napisem „sprawy umorzone” i później raz lub dwa razy do roku kontroluje, czy nie ujawniono nowych okoliczności, które starą, umorzoną sprawę mogłyby pchnąć na nowe tory.

Nie ma też w zwyczaju, żeby funkcjonariusz policji, prowadzący śledztwo w takiej nie wykrytej sprawie, miał z tego powodu jakiegokolwiek przykrości. Oczywiście wówczas, kiedy rewizja nie wykryła jakichś zaniedbań. Ale sprawa o zabójstwo Marii Jansson jest zupełnie inna. Tutaj ofiarą przestępcy padła jedna z najbogatszych kobiet Szwecji. Właścicielka wielkiej międzynarodowej firmy. Tacy ludzie mają zazwyczaj ogromne stosunki. W rządzie, opozycji i nawet na dworze królewskim. Na pewno młody Jansson poruszył już niebo i ziemię, żeby pomścić śmierć matki. Przy niepowodzeniu takiego śledztwa zawsze szuka się prawdziwego albo urojonego

winowajcy, a cała sprawa szybko zamienia się ze zwykłej historyjki kryminalnej w rozgrywkę pomiędzy rządem a opozycją. Prasa różnych odcieni odpowiednio urabia opinię publiczną. Opozycja atakuje rząd, rząd broni się tym, że winni zaniedbań zostaną ukarani. A kogo się ukarze? Przecież nie ministra, ani nawet dyrektora policji. Wszystko skrupi się na najniższym ogniwie władzy.

Jeżeli chodzi o morderstwo w Lommie, tym człowiekiem, którego rzuci się jako kozła ofiarnego na pożarcie opinii publicznej, może być tylko Magnus Torg. Pech sprawił, że łaśnie jego wyznaczono do tej skomplikowanej sprawy. Młody porucznik nie zaniedbał niczego, śledztwo prowadził wzorowo i nawet sam Sherlock Holmes nie osiągnąłby lepszych rezultatów. Pomimo to wszyscy okrzykną go winowajcą i nikt nie stanie w obronie *förste kriminalassistent*a. Będzie mógł mówić o dużym szczęściu, jeżeli wszystko skończy się jedynie przeniesieniem gdzieś za koło podbiegunowe, a nie karnym usunięciem z policji. Bardzo mi go żal, ale niestety, nie mogę mu pomóc.

Magnus Torg staje się bardzo rozmowny

Nastroje w pensjonacie na Strandvagen wyraźnie się poprawiły w ciągu paru następnych dni. Przyczyniła się do tego przede wszystkim wspaniała pogoda. Rozpoczęły się upały, jakich o tej porze w Skanii „nawet najstarsi ludzie nie pamiętali”. Nic dziwnego, że później lato 1967 roku nazywano w Szwecji „latem stulecia”. Kto tylko miał czas, korzystał z okazji i wyjeżdżał na urlop.

Toteż tak popularna miejscowość jak Lomma, również szybko zapełniła się tłumem letników. Nie pozostawało to bez żadnych skutków dla pensjonatu pani Brands. Przyjechało sporo nowych gości, zarówno ze Sztokholmu, jak i z północnej Szwecji. W tych warunkach nawet pani Nora Lindner przestała narzekać na nudy i wspominać o rychłym wyjeździe.

Prasa jak to prasa, znalazła sobie inną sensację. W jednym z kanałów pod Sztokholmem znaleziono ciało jakiegoś człowieka z trzema kulami w piersi. A że przed paru miesiącami zaginął w tajemniczych okolicznościach pewien przemysłowiec z Goteborgu, teraz wszyscy zastanawiali się, czy to właśnie nie jego zwłoki wyciągnięto z dna fiordu? O dziwnej serii zabójstw w Lommie - przestano pisać.

Förste kriminalassistent w ostatnich dniach prawie nie zjawiał się w

pensjonacie pani Astrid Brands. Zatrzymał dla siebie pokój na parterze, natomiast zwolnił pomieszczenie na drugim piętrze, gdzie nocowali dwaj jego pomocnicy. Odesłał ich Mo Lund. Nawet doktor Bjorn Nilerud, który tak ochoczo pomagał porucznikowi w prowadzeniu śledztwa, teraz zaprzestał pisania swojego pamiętnika, bo po prostu nie udało mu się zamienić choćby kilku słów z oficerem policji.

We wtorek dwudziestego czerwca, po obiedzie, jak to bywało w zwyczaju pensjonariuszy, większość gości przeszła do salonu. Lilljan roznosiła na tacy filiżanki z kawą lub do wyboru jakiś napój chłodzący. W progu pokoju stanął reporter z „Kvällsposten”, Sven Breman. Rozejrzał się dokoła, szukając widocznie znajomej twarzy. Jego wzrok padł na doktora Nileruda, który siedział w kącie salonu obok pana Ingvara Hardinga i państwa Tuveesson.

Popularny dziennikarz z Malmö przywitał się ze znajomymi i przerywając rozmowę o perspektywach tegorocznego sezonu turystycznego, zapytał lekarza policyjnego:

- Szukam Magnusa Torga. Co się z nim dzieje?

- My również chcielibyśmy to wiedzieć - roześmiała się pani Klara Tuveesson.

- Siedzimy tutaj jak w więzieniu. Pan wie, że nie wolno nam opuścić Lommy bez pozwolenia naszego *utredningsmana*.

Reporter rozejrzał się po pięknie urządzonej celi i uśmiechnął się:

- Musi pani jednak przyznać, że jest to wyjątkowo luksusowe więzienie.

Gdybym kiedykolwiek był w niezgodzie z kodeksem karnym, życzylibym sobie nawet karę dożywocia odbywać w takich warunkach.

- Rzeczywiście, nie możemy narzekać - zgodziła się żona kapitana marynarki

- ale urlop mojego męża dobiega końca. Chcielibyśmy jeszcze odwiedzić moich rodziców w Borlänge i później mieć kilka wolnych dni w Göteborgu. Przecież Egil znowu wyrusza do tej swojej Australii i zobaczę go dopiero za cztery miesiące i to zaledwie na pięć dni.

- Od paru dni usiłuję skontaktować się z Magnusem Torgiem - wyjaśnił dziennikarz. - Kilkakrotnie telefonowałem do Lund i tutaj, do Lommy, ale nigdy nie mogłem go zastać. A mój dziennikarski nos powiada mi, że ta nieuchwytność i ruchliwość naszego *forste kriminalassistent*a świadczy o złapaniu przez niego jakiegoś nowego tropu. A przecież porucznik obiecywał mi pierwszeństwo w opisanu na łamach „Kvällsposten” całej tej tajemniczej afery, lecz teraz ukrywa się przede mną.

- Sądzę - zauważył doktor Nilerud - że Magnus Torg nie tyle ukrywa się przed prasą, co w ogóle stara się nie pokazywać na oczy nikomu. Zwłaszcza swoim przełożonym. Jak się orientuję, a nie chwaląc się, wiem raczej wszystko, śledztwo nie ruszyło z martwego punktu. I nic nie wskazuje, żeby pańska popołudniówka mogła w najbliższym czasie zdobyć nowy materiał w tej sprawie. A wracając do kwestii poruszonej przez *fru* Tuveesson, zgadzam się z nią całkowicie. Najbardziej luksusowe więzienie jest jednak tylko więzieniem. Każdy z nas ma swoje sprawy. Osobiste i zawodowe i nikogo nie można, bez dania racji, trzymać w tym nawet przyjemnym i wygodnym pensjonacie pani Brands. Mój urlop również kończy się już dwudziestego piątego czerwca. Musimy kategorycznie rozmówić się z porucznikiem, a jeśli to nie da rezultatu, interweniować u *polismastare* w Lund.

W tej chwili przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Nie upłynęła minuta, kiedy Magnus Torg stanął w drzwiach salonu. Rozejrzał się wokoło, a dostrzegając reportera, który dawał mu znaki ręką, zbliżył się do siedzącego tu towarzystwa.

- O wilku mowa, a wilk tuż - roześmiał się dziennikarz, podając rękę porucznikowi.

- Rozmawialiście państwo o mnie? - Magnus Torg udawał zdziwienie.

- O panu i o więzieniu, jakie nam pan tu stworzył - powiedziała złośliwie Klara Tuveesson.

- Więzienie? Kto mówił kiedykolwiek o więzieniu? Na pewno nie ja.

- Więc możemy stąd wyjechać?

- Kiedy tylko państwo będą chcieli.

Przecież mówił pan, poruczniku, że nie możemy opuszczać Lommy aż do wyjaśnienia sprawy zabójstwa Marii Jansson. - Egil Tuveesson powiedział te słowa nieco zdenerwowanym głosem.

- Rzeczywiście tak mówiłem - przyznał Magnus Torg. - Ale ponieważ sprawa została wyjaśniona, więc ten zakaz, a właściwie nie zakaz, lecz moja uprzejma prośba do państwa, jest już nieaktualna.

- Sprawę wyjaśniono?! - reporter i lekarz policyjny zadali jednocześnie to samo pytanie.

- Tak jest - przytaknął Magnus Torg. - Właśnie zakończyłem śledztwo.

- Wie pan, kto jest zabójcą Marii Jansson? - dziennikarz wyjął notes i długopis.

- Oczywiście, że wiem. Wiem w ogóle wszystko.

- Morderca został aresztowany?

- Jeszcze nie. Przyznam się szczerze, że nie widziałem potrzeby, aby z tym się spieszyć. W każdym razie mogę go zatrzymać w każdej chwili i zrobię to jeszcze dzisiaj.

- Kto to taki?

- Pewien oficer SS. Były członek załogi obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

- Do diabła! - zdenerwował się król reporterów szwedzkich. - Niech pan wreszcie przestanie mówić zagadkami. Za stary jestem na zabawy w ciuciubabkę!

- Dobrze - zgodził się porucznik. - Dotrzymam umowy i wyjaśnię panu całą sprawę. Obawiam się jednak, że nie na wiele to się przyda. „Kvallsposten” jest przecież popołudniówką, a cała poranna prasa ogłosi komunikat dyrekcji policji w Lund o zakończeniu sprawy i zdemaskowaniu potrójnego zabójcy z Lommy. Za to pan, doktorze Nilerud, będzie mógł zakończyć swój pamiętnik.

- A ja obawiam się - dziennikarz był coraz bardziej wściekły - że dojdzie jeszcze i do czwartego zabójstwa. Pewnego oficera policji.

- Ach, jacy ci dziennikarze są niecierpliwi - Magnus Torg był w coraz lepszym humorze. - No, trudno, ponieważ niedwuznacznie grożono mi przed chwilą, w obawie o swoje życie ustępuję.

Sven Breman chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką.

- A więc - rozpoczął swoją opowieść Magnus Torg - muszę przyznać, że mieliśmy do czynienia z bardzo sprytnym przestępcą. Zdawało mu się, że potrafi dokonać sztuki, jaka nikomu nie może się udać - mordować bezkarnie ludzi. Ten człowiek był poza tym tak zarozumiały, że do niedawna sądził, iż nie popełnił żadnego błędu i stoi poza wszelkimi podejrzeniami. A jednak mylił się. Podejrzewałem go od pewnego czasu, właściwie od pierwszego dnia, kiedy objąłem śledztwo. W miarę upływu dni, moje podejrzenia coraz bardziej się krystalizowały. Początkowo nie miałem prawie żadnych dowodów, teraz jednak rozporządzam niezbitymi argumentami. Tym bardziej że zbrodniarz popełniał nowe błędy. Chciałbym podkreślić, że cenna pomoc pana doktora Nileruda i prowadzony przez niego pamiętnik również ogromnie się przyczyniły do zdemaskowania przestępcy. Bardzo panu za to dziękuję, doktorze.

Lekarz policyjny w milczeniu skłonił głowę.

- Ustaliliśmy, jak o tym państwo wiecie, że Maria Jansson spotkała pewnego

człowieka, który przypominał jej jednego ze zbrodniarzy wojennych, ukrywającego się oficera SS z dawnej załogi obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Maria Jansson nie była pewna, czy jej podejrzenia są słuszne, przeto nie zwróciła się do policji, lecz podzieliła się swoimi obawami z panem Helmerem Janssonem i z polskim dyplomatą Witoldem Owickim oraz pewnym więźniem Oświęcimia, mieszkającym stale w Lommie.

- *Den gammie fiskaren?* - zapytał reporter.

- Właśnie! Ze starym rybakim. Wiemy dobrze, że wszystkie te trzy rozmowy prowadzone były w języku polskim. Pan Jansson, jak i pan Owicki doskonale pamiętają, że Maria Jansson mówiła do nich przez telefon po polsku. Również *fröken* Lilljan przypomina sobie, że ostatnia rozmowa telefoniczna, jaką w dniu swojej śmierci prowadziła pani Jansson, odbywała się w jakimś nie znanym młodej Szwedce języku. Stąd prosty wniosek: przestępca zna ten język. Przyznaję, policja zrobiła pewną niewinną próbę i przekonała się, że rzeczywiście ten, którego podejrzewaliśmy o dokonanie zbrodni, włada polskim językiem. Może zresztą nie włada nim w mowie i piśmie, ale doskonale rozumie po polsku.

- Nic nie rozumiem - stwierdził doktor Nilerud.

- Niedługo państwo zrozumiecie już wszystko - odpowiedział porucznik i powrócił do swojego opowiadania. - Ale zdradzenie się z tym, że zna polski język, nie było bynajmniej pierwszym błędem przestępcy. Już przedtem zrobił pewne niefortunne porównanie, wyrażając się z uznaniem o mojej sportowej sylwetce: żałował, że nie noszę munduru, chociaż bardzo twarzowo byłoby mi w zielonym uniformie. Zbrodniarz fatalnie się zapomniał. Zielone mundury miało Gestapo w Oświęcimiu. Policja szwedzka, ta jej część umundurowana: służba ruchu i porządkowa ma mundury ciemnogrnatowe. To był pierwszy moment, kiedy powziąłem podejrzenia w stosunku do tego człowieka.

Nikt nie przerywał, a porucznik mówił dalej:

- Tak więc w Lommie nastąpiło spotkanie ukrywającego się zbrodniarza wojennego z jego byłą ofiarą. Ale zbrodniarz również nie był pewny, czy go rozszyfrowano. Dlatego też bacznie śledził zachowanie się pani Jansson. Uciekać nie mógł. Od razu by się zdradził. W tej sytuacji nie zdołałby opuścić nawet Skandynawii. Najwyżej dotarłby do sąsiedniej Kopenhagi. Na razie przeto obserwował posunięcia Marii Jansson. Udało mu się podsłuchać jej rozmowę ze starym Polakiem. Zrozumiał, że musi działać szybko i zdecydowanie. W parę godzin

później najbogatsza kobieta Szwecji nie żyła.

Sven Breman szybko notował słowa oficera policji.

- Przypuszczam, że pierwotnie przestępca nie miał zamiaru uśmiercać starego rybaka. Myślał, że o jego osobie i o jego związkach z Marią Jansson policja nigdy się nie dowie. Ale właściciel sklepu futrzarskiego w Malmö wspomniał starego Polaka w swoich zeznaniach, a Lilljan pomogła nam w zidentyfikowaniu tej postaci.

Postanowiłem zobaczyć się ze Stanisławem Trzecieckim nazajutrz rano. Niestety, morderca był szybszy.

- Teraz już rozumiem - stwierdził dziennikarz.

- Ale jeśli raz wstąpi się na drogę zbrodni, trzeba mordować aż do końca.

Przestępca przed czy też po zamordowaniu Polaka, spotkał policjanta z Lommy, Algota Olssona. Przestraszył się. A może Ollson skojarzy to spotkanie ze zbrodnią? Z kolei policjant ginie z tej samej ręki. Jednocześnie przestępca robi wszystko, żeby zaciemnić obraz rzeczywistości. Doskonałym pociągnięciem było podrzucenie w mieszkaniu Trzecieckiego pierścionka z perłą, o którym wszyscy wiedzieliśmy, że stanowił przedtem własność *fru* Jansson. Przypuszczam, że znalazł pierścionek, kiedy ten zsunął się z palca Lilljan.

- Ciągłe mówi pan zagadkami - wtrącił kapitan marynarki. - Słucham tego opowiadania i nawet nie mogę się domyślić, kim jest przestępca. Jak się nazywa?

- Proszę bardzo. Oto jego imię i nazwisko oraz pełny tytuł służbowy:

Oberscharführer SS, Hubert Meixner.

- Jak pan do tego doszedł?

- Kiedy nasze podejrzenia coraz bardziej się konkretyzowały, przeprowadziliśmy małe doświadczenie. Wykazało ono, że człowiek, którego podejrzewamy, włada językiem polskim. Zdobyliśmy też bez trudu odciski jego palców. Po prostu pozostawił je na szkle. Mieliśmy też jego zdjęcia. Zarówno te ostatnie z Lommy, jak i różne inne z okresu wcześniejszego, nawet sprzed dwudziestu lat. Dowody będące w naszej dyspozycji przesłaliśmy do Polski. Tam nie zapomnieli, jak gdzie indziej, ogromu zbrodni hitlerowskich. Polska posiada ponadto bogatą kolekcję fotografii i dowodów zbrodni przestępców wojennych, którzy „pracowali” w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Maria Jansson na próżno szukała kogoś, kto również był w Oświęcimiu i pomógłby jej utwierdzić się w podejrzeniach; zrobiła to niezbyt umiejętnie, wybrała drogę prywatnych poszukiwań, a policji było o wiele łatwiej. Mogliśmy skorzystać z kontaktów międzynarodowych. Polacy bez trudu

rozpoznali, kogo przedstawia nasza fotografia i nadesłali nam obszerne dane dotyczące osoby Huberta Meixnera oraz jego bogatej przeszłości. Dzięki tym dokumentom wiemy, że matką Huberta była Norweżka, ojciec zaś - Hans Meixner - przez przeszło dziesięć lat pracował w Sosnowcu, gdzie młody Hubert nawet uczęszczał do polskiej szkoły. Dzięki temu, prócz języka niemieckiego, znał zarówno polski, jak i norweski. Wiemy także, że specjalnością *Oberscharführera SS* były zastrzyki fenolu w serce. W ten sposób uśmiercił co najmniej tysiąc więźniów. Poza tym, kiedy do Oświęcimia przybywały nowe transporty ludzi, Hubert Meixner dokonywał tak zwanej „selekcji”. Część transportu wysyłał od razu do komór gazowych, a młodszych i silniejszych - do pracy, co w tamtejszych warunkach równało się wyrokowi śmierci, rozłożonemu jedynie na raty. Prawdopodobnie to właśnie ten człowiek posłał „do gazu” matkę i rodzeństwo Marii Jansson. Później ukrywał się przez jakiś czas w Niemczech, podając się raz za Polaka, raz za Norwega. Miał doskonałe dokumenty, zaopatrzył się w nie w Oświęcimiu. Po prostu zabrał je ludziom, których sam zamordował. Dzięki temu zdołał w końcu dotrzeć do Norwegii, a stamtąd do Szwecji. Ukrył się doskonale. Istnieje takie przysłowie, że pod lampą jest najciemniej. Gdyby nie przypadek, właśnie spotkanie z Marią Jansson, nikt nigdy by chyba go nie znalazł. Ale dzisiaj będzie aresztowany. Na nic mu się nie przydały trzy morderstwa, zresztą kropla w morzu jego przestępstw.

Magnus Torg przerwał swoją opowieść i spojrzał na zegarek.

- Strasznie się zasiedziałem - dodał - wpadłem tu, do pensjonatu pani Astrid Brands, aby zabrać resztę swoich rzeczy. Muszę wracać do Lund. Wybaczenie państwu, że was opuszczę. Czekam na mnie jeszcze dzisiaj dużo pracy.

To mówiąc porucznik zrobił ruch, jak gdyby chciał wstać, ale powstrzymała go widocznie jakaś myśl, bo zwrócił się do doktora Bjorna Nileruda:

- Pan, doktorze, wspominał, że chce wybrać się dzisiaj do Lund? Dobrze się składa, bo mam miejsce w samochodzie.

- Musiałbym się przebrać - odpowiedział lekarz policyjny nieco zachrypniętym głosem.

- No cóż, ostatecznie piętnaście, powiedzmy dwadzieścia minut, mógłbym na pana poczekać.

- Dziękuję. Za dwadzieścia minut będę z powrotem - doktor Nilerud wstał i szybko wyszedł z salonu.

- A jednak nie chciał pan nam zdradzić, kto jest tym przestępcą Hubertem

Meixnerem? - Kilara Tuveesson również podniosła się ze swojego fotela.

- Przed oficjalnym podpisaniem nakazu aresztowania przez prokuratora - wyjaśnił Magnus Torg - nie wolno mi zdradzić tajemnicy służbowej. I tak powiedziałem państwu aż za dużo. Rozgadałem się ponad miarę.

- Idę na górę - Klara Tuveesson skinęła głową oficerowi policji i dziennikarzowi i także opuściła pokój. Jej mąż podążył za nią. W salonie pozostało jedynie dwóch mężczyzn. Magnus Torg i król reporterów, Sven Breman. Dziennikarz przysunął swój fotel do fotela oficera policji i chociaż w pokoju nie było nikogo, zaczął mówić szeptem...

Porucznik słuchając dziennikarza uśmiechał się lekko. Pozornie nie zwracał uwagi na nic i na nikogo, prócz swojego rozmówcy. Ale kto bliżej znał Magnusa Torga, tego uwadze nie uszłoby, że *forste kriminalassistent* siedzi wprawdzie bez ruchu, ale wszystkie nerwy ma napięte do ostatnich granic. Co chwilę jego spojrzenie biegło od jednego okna salonu do drugiego. Na dworze, w to piękne letnie popołudnie panowała kompletna cisza. Tylko od szosy dobiegał czasem warkot przejeżdżającego samochodu. Na trawnikach, w beztrioskiej pozie, z każdej strony willi stał jeden policjant. Również przy furtce prowadzącej na plażę widać było sylwetkę w ciemnym mundurze. Oprócz samochodu, którym porucznik przyjechał, taki sam drugi z napisem „Polis”, zaparkował przed bramą pensjonatu.

Ludzie Magnusa Torga znajdowali się na posterunku, a on sprawdzał na zegarku, jaką drogę zrobiła już duża wskazówka i siłą woli zmuszał się do prowadzenia swobodnej rozmowy z królem reporterów.

Parę razy ktoś zajrzał do salonu, ale widząc dwóch panów zatopionych w poważnej rozmowie, wycofywał się bez słowa.

Doktor Nilerud przerywa pisanie pamiętnika

wtorek, 20 czerwca

Tak więc mam zaledwie dwadzieścia minut na zakończenie swoich zapisków. Podszedłem do okna i sprawdziłem. O ucieczce przez park nie ma mowy. Aż trzech policjantów czuwa na dole. Trzeba uciec inną drogą...

Podszedł mnie ten Magnus Torg. Przyznaję, że nie doceniłem przeciwnika. Taki młody, zdawałoby się, że do trzech zliczyć nie umie, a cóż dopiero poprowadzić

śledztwo w tak trudnej, skomplikowanej sprawie. Lekceważyłem go, teraz muszę za to płacić. To był mój największy błąd. A co do munduru, to przecież mam rację. Jaki inny może się porównać z tym pięknym, zielonym, w którym tak wspaniale wyglądała młodzież niemiecka. Trupie główki na czapkach, znak „SS” na kołnierzu!

To były czasy. Wtedy, kiedy tam stałem na rampie kolejowej. Wokoło kłębił się tłum podludzi. Jeden krótki mój ruch trzcinką znaczył dla tej hołoty życie lub śmierć. Niestety, miałem zbyt dobre serce. Trzeba było ich wszystkich bez wyjątku posłać do komory gazowej. Maria Jansson nie żyłaby już od dwudziestu pięciu lat i nie spotkałbym jej w pensjonacie na Strandvagen - w epoce, kiedy zdawało mi się, że jestem już zupełnie bezpieczny. Nas, Niemców, w ogóle zgubiła zbytnia dobroć. Źle pojęty humanitaryzm. Nie był od niej wolny ani *Fiihrer*, ani nasz bezpośredni zwierzchnik, Heindrich Himmler. Przecież tych wszystkich Francuzów, Polaków, Norwegów, Holendrów, Belgów, Rosjan i innych podludzi należało od razu zlikwidować. Zamiast jednego Oświęcimia, stworzyć przynajmniej sto takich obozów. Dzisiaj płacimy wysoką cenę za nasze dobre serce.

Tych dwoje: Maria Jansson i Stanisław Trzeciecki tylko mojej łasce i mojemu dobremu humorowi zawdzięczali, że żyli dwadzieścia pięć lat dłużej. Ich życie było w moim ręku, było po prostu moją własnością. Upomniałem się o tę własność wtedy, kiedy uważałem to za konieczne. To nie była żadna zbrodnia, jak o tym deklamował ten szczeniak ze szwedzkiej policji, ale odebranie tego, co od dawna było moje. Zresztą stary rybak sam sobie winien. Nie otwiera się o północy drzwi tylko dlatego, że na dworze ktoś o to prosi w języku polskim.

Trochę mi nieprzyjemnie, że musiałem wsunąć nóż w plecy temu dryblasowi o jasnych włosach. Po co jednak pętał się w nocy po plaży tuż przed pensjonatem pani Brands wtedy, kiedy wracałem z Lommy po zlikwidowaniu starego?; Naturalnie, gdybym wiedział, że Magnus Torg podejrzewa mnie już od dłuższego czasu, pewnie bym pozostawił przy życiu prostodusznego *konstapla* i spróbował ostatniej szansy; ucieczki gdzieś do Południowej Ameryki. Może, może by się udało...

A swoją drogą, jak ten Magnus Torg doszedł do tego wszystkiego? Jaki podły, podstępny! Specjalnie sprowadził ze Sztokholmu tego przeklętego Polaka. Nie zorientowałem się wieczorem kiedy rzekomy morderca podkradł się pod willę, że Owicki odzywa się do mnie po polsku. Wiedziałem przecież, że zabójca Marii Jansson nie wyjdzie z gąszczu krzaków. Spodziewałem się jakiejś sztuczki tego policjanta, ale nie przypuszczałem, że to chodzi o próbę ze znajomości języka

polskiego. Złapał mnie, przyznaję.

A później ten koniak w pokoju oficera policji. Nie mieściła mi się w głowie taka hojność i taki gest Magnusa Torga. A jemu szło jedynie o odciski moich palców na szkle kieliszka.

Udało mu się. Ale jedno mu się nie uda. Zbyt naiwny i łatwowierny, żeby mnie mógł aresztować. Pisząc te słowa trzymam w ustach małą szklaną fiolkę. Na pewnej odprawie u Heindricha, on sam osobiście rozdał nam te ampułki. Później skorzystał też z jednej z nich. Piszę więc spokojnie. Kiedy usłyszę kroki na schodach wystarczy, bym ścisnął zęby. Kruche szkło pęknie. Odchodzę bez żalu. Moje życie nie kończy się dzisiaj. Skończyło się już wtedy, kiedy marszałek Keitel zmuszony był do podpisania aktu kapitulacji. Później była to już tylko nędzna vegetacja, nie warta ani jednego dnia tych wspaniałych czasów, gdy chodziłem w zielonym mundurze.

Wierzę, że Niemcy się obudzą, że przyjdzie nowy wódz, który poprowadzi młodzież niemiecką nie tylko na Moskwę, na Paryż, ale także i na Sztokholm.

Słyszę kroki na schodach. Trzeba kończyć.

Heil Hitler!

Hubert Meixner

Oberscharfii...

* * *

- Naturalnie - tłumaczył Sven Breman - *fru* Klara może zarzucać panu mówienie zagadkami. Dla mnie jednak od pierwszej chwili było jasne, kogo pan miał na myśli. Twierdzi pan również, że rozporządzenie nawet odciskami palców, pozwalającymi zidentyfikować waszego podejrzanego z oficerem SS z załogi Oświęcimia. Obawiam się jednak, że nie posiadacie bezpośrednich dowodów, że ten człowiek jest zarówno mordercą Marii Jansson, jak i sprawcą następnych zbrodni.

Chroni go pewien urzędowy dokument

- Jaki? - mruknął Magnus Torg.

- *Rättsläkare* z Lund, profesor tamtejszego uniwersytetu, sława w dziedzinie medycyny sądowej, doktor Thorsten

- Ross, stwierdził wyraźnie, że zgon Marii Jansson nastąpił pomiędzy godziną piątą a siódmą po południu. W tym czasie wszyscy mieszkańcy pensjonatu, a więc i pański podejrzan, mają niepodważalne alibi. A poza tym ja sam odnalazłem dziurę

w kracie ogrodzenia, co świadczy, że zabójca przybył z zewnątrz. Jak śledztwo przeskoczy tę przeszkodę?

- To bardzo proste. Skoro świadectwo stwierdza, że zgon nastąpił pomiędzy piątą a siódmą i w tym czasie wszyscy mieszkańcy pensjonatu mają alibi, a nikt z zewnątrz nie mógł dostać się do środka willi, bo Lilljan siedziała przy wejściu, wniosek jest łatwy. Cudów nie ma, tylko świadectwo jest nieprawdziwe. Maria została zamordowana o innej porze dnia. Przypuszczam, że zaraz po obiedzie.

- Pan kwestionuje uczciwość profesora Rossa?

- Broń Boże! Zwracam jedynie uwagę redaktora na fakt, że profesor oglądał ciało dopiero na drugi dzień rano. Przy wydaniu swojego orzeczenia oparł się wyłącznie na obserwacjach, jakie poczynił doktor Nilerud, kiedy Lilljan odkryła wieczorem morderstwo. W każdym podręczniku medycyny sądowej znajdzie pan stwierdzenie, że ściśle ustalenie godziny zgonu człowieka jest możliwe tylko w ciągu najdalej dwunastu godzin po jego śmierci. Im później dokonano oględzin zwłok, tym margines czasu musi być większy. Zapytaliśmy o to doktora Rossa. Przyznał on, że gdyby wydawał orzeczenie wyłącznie na podstawie obserwacji własnej, wówczas mógłby jedynie skonstatować, że Maria Jansson zmarła pomiędzy godziną trzecią a dziewiątą wieczorem, w środę, siódmego czerwca. Mam to oświadczenie w swojej teczce. Stanowi ono jeszcze jeden dowód obciążający mordercę.

- A dziura w płocie?

- Pan ciągle nie docenia sprytu mordercy. Jeżeli podrzucił w domku rybaka pierścioneł z perłą, to musiał też pomyśleć i o zasugerowaniu nam, że przestępca nie kryje się wśród mieszkańców pensjonatu, lecz przyszedł z zewnątrz. Nożyce do cięcia drutu można kupić w każdym sklepie metalowym, a przecięcie kraty nie zajmuje więcej, jak pół godziny. Ponieważ ten człowiek robił wszystko po gruntownym przygotowaniu, mam wrażenie, że zrobił tę dziurę jeszcze za życia Marii Jansson, wtedy, kiedy już liczył się z ewentualnością usunięcia niebezpiecznego świadka z grona żywych.

Chwilę milczeli. Magnus Torg spojrział na zegarek i dodał:

- Teraz już chyba wszystko jasne, redaktorze? Łańcuch podejrzeń jest nie do rozerwania, a dowody nie do obalenia. Prokurator i sąd nie będą mieli wielkich kłopotów. Chyba że...

Porucznik zamilkł i zapalił następnego papierosa.

- Nie rozumiem jednego - Sven Breman jeszcze bardziej ściszył głos. -

Dlaczego pan go z miejsca nie aresztował? Dlaczego pan pozwolił mu wyjść z tego pokoju? Pan dał mu szansę!

Oficer policji uśmiechnął się:

- Uciec nie może. Cały dom jest otoczony. Rzeczywiście dałem mu tę szansę. Myślę, że z niej skorzysta. Taki zbrodniarz po tysiąc razy zasłużył na śmierć. A przecież u nas w Szwecji, nie istnieje kara śmierci...

Magnus Torg znowu spojrzął na zegarek i zakończył:

- No, minęło dwadzieścia minut. Możemy iść na górę.

Koniec

„KB”